

BERNICE RUBENS

Wybrany

Przełożył: Michał Alenowicz

dla Rudiego

„[...] o ile [...] pacjenci doznali zaburzeń, to nader często właśnie ich rodziny okazywały się zaburzające”

– R. D. Laing, *Polityka doświadczenia*

Norman Zweck nie miał odwagi otworzyć oczu. Obróciwszy się na brzuch, podciągnął wysoko kolano i wyprężył drugą nogę. Wsunął stopę w przerwę między materacami, delektując się chłodem drugiej strony, odziedziczonej strony. Kiedyś to ogromne, szerokie na ponad dwa metry, łożo należało do jego rodziców – przez wzgląd na formę spięte mahoniowymi szczytami, lecz z przyczyn praktycznych rozdzielone pośrodku. Kładli się tu przez czterdzieści pięć lat małżeństwa: razem, lecz osobno. Dwa lata temu, kiedy matka Normana umierała – w tym samym łóżku, ale po drugiej stronie – przekazała mu je w spadku. Ojciec chętnie przeniósł się do jednoosobowej sypialni syna, pozostawiając go przykutego do tej schedy. Zdarzało się, że w niespokojnym śnie Norman przetaczał się na drugą stronę, obejmując swoje chłodne dziedzictwo. Tam natomiast czekały na niego koszmarnie sny i straszne przebudzenia. Ostrożnie wycofywał się na bezpieczną połowę łóżka, na stronę ojca, po czym prostował jedną nogę i podciągał drugą do góry, wsuwając stopę w linię podziału, a wtedy, nie dotykając swojego ciała, odczuwał je całe. „Młody chłopak – myślał – poczułby to samo, z łatwością rozprostowując nogę, swobodnie odprężając przestrzeń między łopatkami”. Nie dotykał więc ani fałd na swoim brzuchu, ani żyłastych połączeń pachwin. Stanowiły one zintelektualizowaną rzeczywistość, nieprzystającą do godnej nastolatka pozycji, w jakiej ułożył swoje ciało. Wsunął rękę pod poduszkę i potarł pokryty szczecinią policzek. Uśmiechnął się smutno na myśl o tym niezaprzeczalnym świadectwie upływu czasu, po czym, jakby dla potwierdzenia, ujął w zrogowaciałe dłonie pomarszczone fałdy swego ciała. Zbierał je w ręce po kolei – pozbawione mięśni wałki na brzuchu, pod brodą, na udach – miał je i wykręcał, opętany poczuciem upływu lat. W końcu wrócił do pierwotnej pozycji, ale wiedział już, że to tylko zwykłe oszustwo. Fałdy i zmarszczki na jego skórze były jak rysy wydrapane na więziennej ścianie: po jednej za każde z czterdziestu jeden lat.

Zacisnął powieki, by schronić się przed mrokiem. Wiedział, że jego krótki sen dobiegł już końca, był jednak zbyt przerażony, by przyjąć to do wiadomości. Nie powinien był w ogóle pozwolić sobie na drzemkę. Bóg jeden raczy wiedzieć, co one robiły, kiedy spał. Bóg jeden raczy wiedzieć, co robią teraz; gdzie jeszcze się kryją, ile ich jest. Nie otworzy oczu, o nie. Jeśli wciąż przy nim były, mógł być pewien, że nie odejdą. Zakrył sobie uszy poduszką. Słyszeć ich również nie chciał. Powinien jednak sprawdzić, czy nadal tu są. Bał się ich obecności, lecz ich nagłe zniknięcie przeraziłoby go jeszcze bardziej. Stanowiły jedyny dowód na to, że nie jest obłąkany.

Otworzył oczy; najpierw wpatrywał się w ciemności panujące pod poduszką, następnie w mrok rozlewający się po pokoju. Poczul strach. Wstał i po omacku znalazł kontakt. Włączył światło, po czym, mrużąc oczy, szybko wrócił do swojego kokonu z pościeli. Podczas gdy jego wzrok powoli przyzwyczajał się do światła, Norman leżał, wpatrując się w swoje dziedzictwo, w drugą stronę łóżka. Był zaskoczony, gdy poczul pieczenie oczu – preludium do łez. Miał niejedną powód do płaczu, ale nigdy nie uważał się nad sobą. Dość często myślał, żeby z tym wszystkim skończyć, jednak przed odejściem musiał przekonać do swoich racji kogokolwiek, chociaż jedną osobę – w przeciwnym razie dla innych umarłby jako szaleniec. Nikt nie chciał go już słuchać. Nikt mu nie wierzył. Nikt nie wykazał dość zaangażowania ani cierpliwości, aby usiąść z nim na jakiś czas – jeśli trzeba, może nawet na kilka godzin – i zobaczyć je tak, jak on je widział; aby podzielić odrobinę jego lęku.

Wodził dłonią po dziewiczym prześcieradle okrywającym drugą połowę łóżka. Nagle poczuł na skórze muśnięcia jakichś krawędzi i krzywizn. Gdy przesunął rękę niżej, odciskając kształty na materiale tak, jakby leżała pod nim płaskorzeźba, odkrył głowę i ramiona – ciało matki leżącej na brzuchu. Jego ręka zatrzymała się, jakby sparaliżowana, w miejscu, gdzie powinny znajdować się nogi matki; przerażony zdarł z łóżka prześcieradło, aby odsłonić całą postać. Wpatrywał się w nią, czując, jak lodowate łyzy plamą ogień jego rozpalonych policzków. Otworzył usta, by ją zawołać, jednak powstrzymał się. Nie chciał przyznać, że matka jest przy nim. Powiedział sobie, że to tylko koszmarny sen. Ale w takim razie wszystko inne również mogło być zmorą; możliwe, że w tym pokoju nie istniało nic poza jego własną, znękaną duszą i jej zużytym, pomarszczonym opakowaniem. Może to wszystko halucynacje.

– Nie! – krzyknął w pościel.

Tylko nie to słowo. Nie to pieprzone, obrzydliwe określenie, które ojciec i siostra podchwycili od psychiatry. Wszyscy byli ślepi, wszyscy. Przerzucali się tym słowem porozumiewawczo, lecz zarazem ze wstydem, szukając ukojenia we wpisanym w nie wydźwięku tymczasowości. Kiwali głowami i mówili „ma halucynacje”, a Norman miał ochotę pozabijać wszystkich za to ich dobre samopoczucie.

Ponownie spojrzął na matkę. To pewne – naprawdę tam była, podobnie jak wszystko inne. Ona by je zobaczyła. Ona przyznałaby, że istnieją i pozbyłaby się ich. Ona przyniosłaby mu ukojenie.

– Mamusiu – szepnął, ale kształty rozplynęły się, wnikając w prześcieradło. Nawet on wiedział, że zniknęła. Przez lata stał się już ekspertem w dziedzinie znikania i pojawiania się rzeczy. Wiedział jednak, że matka wróci, czekał więc na nią na łóżku, trzymając swoją zmarzniętą rękę na prześcieradle obok.

Podniósł głowę z poduszki i wtedy je usłyszał: to ich pełzanie, skrobanie, ten chrobot przyprowadzający o zgrzytanie zębów. Było coś jeszcze. Poczłł ich zapach. Z poczttku wstrzymał oddech, potem podniesiony na duchu zaczął węszyc dokoła. Człł duszną woń, jakby zapach herbatników, ktłre ktłs zostawił na wierzchu, żeby zmiękły. To był kolejny dowłd ich istnienia. Skoro istniały, miały przeciez prawo hałasować i wydzielac jakiś zapach. Norman był jednak coraz bardziej przestraszony. Każde kolejne świadectwo ich obecności wzbudzało w nim lęk: im bardziej przytłaczające były dowody, tym bardziej nieufna stawała się rodzina. Pogrzył twarz w poduszce i objął własne ciało rękami. Palce zaczęły się powoli poruszać, drapiąc skłrę na ramionach. Starał się nie zwracać uwagi na to, co robią; zaczął im nucić jakąś melodię, żeby mogły się zająć wybijaniem rytmu na plecach. Palce nie zwróciły jednak uwagi na podsunięty przez niego rytm i w spazmatycznym szale zaczęły drapać całe jego ciało. Zaczął śpiewać na głos, ale palce nadal odmawiały posłuszeństwa. W końcu, pokonany, wtulił twarz w poduszkę i przyznał przed sobą otwarcie, że one już go oblażyły. Pełzały po jego plecach, spijały strużki potu spływające wzdłuż kręgosłupa, wałęsały się po biodrach i wślizgiwały podstępnie w pachwiny. Wyskoczył z łłżka, chwycił poduszkę i pobiegł do łazienki. Cisnął poduszkę do wanny i zlał ją gorącą wodą. Wiedział, że są w niej żywe, a zatem mógł je zabić. Wyjął z szafki butelkę Dettolu i wylał ją na siebie. Młgł tolerować ich obecność na podłozde czy parapecie, ale na własnym cieie – nigdy. Musiał im pokazać, gdzie ich miejsce. Musiał kontrolować je chociaż na tyle. Z tym że – zreflektował się – jeśli zamierzał przegnać je ze swojego ciała, to dlaczego nie potrafił usunąć ich również z podłogi? A może nigdzie ich tak naprawdę nie było? Dostrzegł cień swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Nie rozpoznał postaci wpatrującej się w niego, pogroził jej więc zaciśniętą pięścią i krzyknął:

– Czyżbyś popadał w obłęd?

Łkając, poczłpał do swojego pokoju, aby przywitać się z nimi.

Zgasił światło, po czym, uważając, aby nie wejść w łóżko, po omacku przebył drogę dzielącą go od ich zwyczajowego miejsca spotkań za kominkiem. Sięgnął po latarkę stojącą na gzymsie i poświecił z ukosa w róg pokoju. Czekał na nie, cały czas drapiąc się wolną ręką. Miał nadzieję, że ślady ugryzień i blizny będą widoczne. To byłby dla ojca niepodważalny dowód. Ich zapach był przytłaczający, ale Norman się nim rozkoszował. To przecież również dowód. Rano ojciec przyjdzie, żeby go obudzić, a wtedy też poczuje ten zapach. A tymczasem Norman posiedzi tutaj, przyglądając się im i próbując przezwyciężyć lęk.

Nie kazały mu na siebie długo czekać; był przecież aż nazbyt dobrze przygotowany na ich przyjście. Przypelzły gęsiego w krąg światła latarki i tam przystały, zgromadziły się i zaczęły się kłębić. Rój wijących się, srebrzystych rybików cukrowych – ten sam, który Norman widywał każdego dnia i każdej nocy, jak sięgał pamięcią. Inne dni i noce zostały już zatarte w jego pamięci przez obłąd. Przesunął snop światła w prawo, wyznaczając robactwu nowy przystanek. W ten sposób Norman Zweek w powoli jaśniejącym mroku przeprowadzał swoje stado to na jedną, to na drugą stronę kominka, dopóki pierwsze światło poranka nie pozbawiło latarki znaczenia. Wtedy nagle zniknęły. Norman skulił się przy kominku, wypatrując, węsząc i drapiąc, trzymając się kurczowo ich zapachu i wrażenia ich obecności, szukając ich śladów na wytartym chodniku przy palenisku. Zawsze bał się tej pory dnia: gdy światło odsyłało rybiki w nieznaną, pozostawiając mu jedynie wspomnienia ich oślizgłego przemarszu. Teraz strach nawiedził go z pełną mocą, w towarzystwie budzącego grozę pytania, które w łazience Norman zdołał rzucić człowiekowi z lustra. Patrzył, jak kropelki potu dojrzewają i kwitną na jego nogach i ramionach. Sycił się lękiem, który rozrzedził jego wnętrzości, przespacerował się powoli po jego udach i w końcu usadowił się w tyle kolan.

– Są tutaj – szepnęły do siebie. – Widzę je, czuję ich zapach, zdrapuje je z własnego ciała.

Zacisnął ramiona na ciele, obejmując własną rozpacz, po czym wrzasnął z przekonaniem, które mogą mieć jedynie szaleńcy:

– Wiem, że one tu są!

Wczołgał się na skraj łóżka, położył się w poprzek i zaczął ocierać swoje swędzące ciało o szorstki koc. W końcu zasnął, a gdyby jego ojciec wiedział, jaką noc syn ma za sobą, nie budziłby go rano.

A jednak o ósmej, zgodnie ze swoim zwyczajem, rabin Zweck wszedł do pokoju Normana, aby go obudzić. Zawahał się, gdy zobaczył go skulonego w nogach łóżka, ale nie pozwolił, by to zbiło go z tropu. Jego syn miał widocznie kłopoty z zaśnięciem, a może zły sen; od czasu do czasu zdarzało się to wszystkim. Nawet kiedy rabin poczuł zapach Dettolu, wciąż starał się odpędzić znajome skojarzenia. Delikatnie postukał syna w ramię.

– Norman – powiedział. – Już ósme.

Norman zareagował natychmiast, a gdy podniósł głowę, zobaczył, że ojciec węszy po pokoju. Wyskoczył z łóżka, oszalały z wdzięczności.

– Czujesz ich zapach? – zapytał.

Rabin Zweck pobałdł. Wszystko zaczynało się od nowa. To był już piąty nawrót w ciągu niespełna roku.

– Dettolu zapach czuję! – krzyknął gniewnie. – Ot co! Dettol czuję! – Jego niepokój eksplodował, przeistaczając się automatycznie w gniew wobec szaleńca. – Do powąchania nic tu nie ma, tylko Dettol. Wstawaj, *meszuga*. Śniadanie na stole.

Rabin Zweck z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Wątpił, czy wytrzyma kolejny nawrót Normana. Gdy usłyszał dźwięk klucza przekręcanego w zamku, zrobiło mu się słabo. Stojąc przed kuchennymi drzwiami, wzdrygnął się na myśl o własnej samotności, jednak to świadomość odosobnienia Normana, ukrywającego się w zamkniętym pokoju, o mało nie przyprawiła go o śmierć.

Norman odczekał, aż szuranie kapci ojca ucichnie. Przyklęknął i zaczął się szarpać z luźną deską podłogową pod łóżkiem, chcąc dostać się do swojej codziennej działki. W dziurę pod deską wetknięty był stary sweter, w który zawinięta była duża butelka. Norman przytrzymał ją przed oczami, żeby sprawdzić poziom. Przestraszył się, gdy zobaczył, jak mało już zostało. Kupił tę butelkę zaledwie tydzień temu. Wpadł w popłoch na myśl, że będzie musiał zdobyć pieniądze na więcej. Wysypał sobie całą garść, wspominając dawne czasy, w których nieśmiało łykał tylko jedną tabletkę. Pośpiesznie wepchnął sobie wszystkie pigułki do ust, drugą ręką zakręcił butelkę. Odłożył deskę na miejsce i, chwając się, wstał z podłogi. Przekręcił cicho klucz i uchylił drzwi. Słyszał dobiegające z kuchni szepty ojca i siostry. Myśleli, że oszalał. Ależ nie, to nie to. Coś takiego nie mogło zdarzyć się w ich rodzinie. Przecież on po prostu perwersyjnie znęcał się nad nimi, z braku lepszego zajęcia łamiąc im serce. To nie były jego katusze, tylko ich.

– Rybki – usłyszał mamrotanie ojca – znowu te jego rybki. Kto kiedy usłyszał, coby rybki pełzały po dywanie? Wody przecie potrzebują. Ale nie. Syna takiego zmyślnego mam, co jemu rybki żyją na dywanach, w poduszkach, w pościeli. To owad, mówi. Rybe jest rybe! – krzyknął do córki tak, jakby próbowała zaprzeczyć. – Rybe na dywanie, dobre sobie.

– Zamknij drzwi, na niebiosą – szepnęła Bella.

Norman wiedział, że zaczęli spiskować przeciw niemu. Nie tracił czasu na ubieranie się czy mycie. Chciał ukrócić ich knowania. Zarzucił na siebie szlafrok, po czym na palcach podszedł do kuchennych drzwi i otworzył je bez ostrzeżenia. Jego siostra urwała w pół zdania i zakrzatnęła się przy jego miejscu przy stole. Kiedy podszedł, by usiąść, zaczęła węszyć.

– Czujesz jakiś zapach? – zapytał z wyrazem gasnącego optymizmu.

– Dettol czuje – ojciec wciął się, odpowiadając za nią.

– Są w całym domu – ostrzegł Norman. – Są też na moim cielem. Musicie być parą ślepych, obojętnych skurwieli, jeśli ich nie widzicie.

Co prawda wulgarne zachowania zawsze towarzyszyły halucynacjom Normana, ale rabin Zweek nigdy nie zdołał się do nich przyzwyczaić. W nieczęstych okresach, w których jego syn zachowywał się normalnie, kiedy wracały dobre relacje między nimi, rabin zapominał o całej wcześniejszej ordynarności i agresji. Gdy doświadczał ich ponownie, zawsze czuł się tak, jakby to był pierwszy raz. Popatrzył na syna, na siłę próbując przypomnieć sobie o wrodzonej delikatności chłopca. To nie jego syn bredził o jakichś cukrowych rybkach; to jakiś diabeł, który go zniewolił, jakieś złe oko, które znalazło sobie w nim tymczasową kwaterę. Gdy rabin Zweek spojrział na Normana jak na opętanego, łatwiej przyszło mu przebaczyć. Sięgnął przez stół i położył rękę na dłoni syna.

Norman wyszarpnął rękę.

– Mam zamiar zadzwonić po inspekcję sanitarną – oznajmił.

– Znowu? – spytała zmęczonym głosem Bella. – Już tu byli. – Starala się nie stracić cierpliwości. – Byli tu dwa miesiące temu. Przeczesał każdy zakamarek. Zabrali próbki, które im dałeś. Badali je w laboratoriach. Nie znaleźli niczego poza kurzem i kłakami z dywanu. Dostałeś od nich list. Masz wszystko czarno na białym. Czego jeszcze chcesz?

– Byli tu może z pięć minut! – wrzasnął Norman. – Co niby spodziewali się znaleźć w pięć minut? Powinni podnieść dywany i gruntownie wszystko przeszukać. A was to, do jasnej cholery, nie obchodzi – krzyknął do obojga – że one pełzają w najlepsze po całym domu?

– Śniadanie zjedz – powiedział łagodnie ojciec.

Norman postukał go w ramię i uśmiechnął się szeroko.

– Założę się, że ciebie też całego oblaży.

Właśnie ten uśmiech wyprowadził rabina z równowagi. Podczas nawrotów Normana nieraz odnosił wrażenie, że syn sobie z nim igra; że dla zabawy próbuje doprowadzić go do szaleństwa.

– Takiś zabawny?! – krzyknął i uderzył Normana w policzek wierzchem swej uzbrojonej w pierścienie dłoni.

– Pożałujesz tego – powiedział Norman cicho.

Na dłuższy czas zapadło milczenie. Norman pocierał ręką swój nieogolony policzek, a Bella patrzyła, jak ojciec próbuje powstrzymać łzy napływające mu do oczu. Widziała, że raz czy dwa otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale słowa więzły mu w gardle. Wreszcie wymamrotał przeprosiny i podjął kolejną próbę.

– Norman – zaczął łagodnie. Zawahał się, przepełniony obawą przed pytaniem, które musiał zadać. – Norman – powtórzył – od kogo dostałeś? Ile wziąłeś?

– Niczego nie dostałem! – krzyknął Norman. – Niczego nie wziąłem. Nie biorę ich już od lat.

Rabin Zweck znowu stracił panowanie nad sobą.

– Co za morderce tobie sprzedaje? Zabiję go. Zabiję. – Cierpienie doprowadziło go do łez. – Na co tobie brać? – wpadł w błagalny ton. – Skończcie nareszcie te tabletki, bo oszaleję.

– Dlaczego mu to robisz? – krzyknęła Bella. – Nie widzisz, że w końcu wpędzisz go do grobu? Co ty nam próbujesz zrobić?

Rabin Zweck ukrył twarz w dłoniach.

– Skończcie nareszcie te cholerne tabletki – powiedział słabym głosem. Nie znosił swojej dziwacznej angielszczyzny, tym razem jednak użył jej świadomie, rozpaczliwie walcząc o zaufanie syna. – Doktoru Levy’emu zadzwonię – powiedział, wstając od stołu.

– Niech ten skurwysyn trzyma się z dala od naszego domu – syknął Norman. – Nie chcę go tutaj widzieć. Co ten konował wie o tym wszystkim? Spróbujcie tylko go tu sprowadzić, to go zabiję. – Odepchnął od siebie talerz z niedokończonym śniadaniem i wyszedł z kuchni. Czekali, nasłuchując, dopóki ich uszu nie dobiegł dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

– Biedny, biedny chłopiec – wymamrotał rabin, podchodząc do telefonu. – Doktor Levy?

– Rabinie Zweck – odpowiedział doktor, który rozpoznał głos rozmówcy. Dobrze wiedział, w jakiej sprawie dzwoni rabin. Te telefony zdarzały się coraz częściej.

– Znowu rozchodzi o cukrowe rybki – powiedział rabin. Pogarda wobec syna, którą dosłyszał we własnym głosie, napełniła go zgrozą.

– Już jadę.

Rabin Zweck odłożył słuchawkę. Drżał ze strachu – zaraził się lękiem syna. Błagał Boga, aby pozwolił mu je zobaczyć, tak jak widział je Norman; żeby razem mogli pograć się w obłądzenie, idąc ramię w ramię. To właśnie samotność Normana najdotkliwiej jątrzyła serce rabina. Z pewnością właśnie teraz jego synek – położył na twarzy, udręczony przez trawiące go lęki – siedzi skulony na swojej zarobaczonej podłodze i poluje na dowody.

– Powiem mu, co ja też je widzę – mruknął rabin do siebie. – Może wtedy ochotę na żarty mu odejdzie.

Zapukał do drzwi Normana.

– Norman! – zawołał.

– Czego chcesz?

– Norman – powtórzył łagodnie. – One wciąż tutaj? Może raz jeszcze spojrzeć powinienem?

Za drzwiami zapadła przesiąknięta podejrzliwością cisza.

– Może raz jeszcze spojrzeć powinienem? – powtórzył błagalnie rabin.

Klucz drgnął w zamku; drzwi uchyliły się powoli. W pokoju panował mrok. Zasłony były zaciągnięte i przyłożone książkami na rogach, tak aby światło nie dostawało się przez szpary.

– Musisz być bardzo cicho – szepnął Norman.

Ojciec patrzył na wymizowaną twarz syna i wyzierające z niej wylupiaste, czarne oczy. Poczul się zawstydzony tymi szeptami w ciemnościach; zaczął zastanawiać się, co Bóg sobie myśli o jego obecnym zachowaniu. Miał nadzieję, że nie zostało źle odebrane. Kogo On w ogóle chce ukarać – zastanawiał się – mnie czy mojego syna?

– Stań przy kominku – mówił dalej Norman. – Cicho. Zobaczysz ich mnóstwo, jeśli tylko poczekaasz.

Rabin był już jednak przygotowany, by zobaczyć je nawet bez czekania.

– Widzę je – szepnął, wpatrując się w pusty dywan. W podnieceniu aż stanął na palcach. – O rety, rety – powiedział zdumiony – ileż ich, toż to całe armie jest. – Zerknął na syna, oczekując oznak wdzięczności.

– Myślisz, że zwariowałem, co? – spytał cicho Norman.

– Patrz. – Otworzył szufladę. W jej narożniku stał słoik z kilkoma liśćmi spoczywającymi na czerwonych kłakach wyrwanych z dywanu. Naprzeciw słoja stało lusterko powiększające.

- Spójrz w lustro – powiedział Norman – to zobaczysz je na pewno.
- Liście, owszem, widzę – stwierdził rabin skonsternowany.
- Dokarmiam je – zaśmiał się Norman.

Rabin znowu chciał uderzyć syna, ale powstrzymał się i w milczeniu wyszedł z pokoju.

– Nie wracaj tu – krzyknął za nim Norman, niemal szlochając. – Zostaw mnie w spokoju. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Klucz znowu obrócił się w zamku. Rabin wrócił do kuchni.

– Na dół idź, sklep otwieraj – powiedział. – Dziewiąte jest.

Przechodząc obok ojca, Bella położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie martw się – powiedziała. – Niedługo mu przejdzie.

– A potem wszystko od nowa zacznie. – Chwycił ją kurczowo za rękę. – Znaleźć je musimy – powiedział rozpaczliwie. – Z pokoju go wyciągnąć, a ty je znaleźć musisz. Są tam. Ktoś jemu sprzedaje. Niech go tylko w ręce dostanę, to go... Nie dość dokładnie pokoju przeszukałaś! – krzyknął. Przygryzł wargę, by powstrzymać się od płaczu. – Idź, idź – powiedział szybko – sklep otwieraj. Tego by jeszcze zabrakło, cobym na dokładkę interes stracił.

Gdy wychodziła z kuchni, wzrok rabina padł na jej białe, wywijane skarpetki. Jego Bella miała już prawie czterdzieści lat, a wciąż chodziła w dziecięcych skarpetkach. To jednak było całkiem odrębne cierpienie, nie miał nawet odwagi o tym myśleć. Pociągnął nosem, odpędzając łzy. Czekał na przybycie doktora.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Norman krzyknął:

– Jeśli to ten gnojek Levy, powiedzcie mu, żeby spierdalał!

Rabin Zweek wiedział, że Levy na pewno usłyszał Normana przez drzwi, zaczął więc już od progu przeproszać doktora za zachowanie syna.

– Spokojnie, to całkiem naturalne – odparł doktor. – Czy możemy przejść do kuchni? – spytał szeptem. Wiedział, że Norman z pewnością podsłuchuje przez drzwi swojego pokoju. Doktor nie chciał, by chory słyszał ich rozmowę. Poszedł za rabinem do kuchni i usiadł przy stole. Dobrze znał to pomieszczenie. Miedziana chochla wisząca nad zlewem była zawsze nachylona pod tym samym kątem i niezmiennie wypolerowana na wysoki połysk. Rozpoznał znajomy – teraz już wyblakły – różany wzór, zdobiący obrzeże filiżanki z herbatą, którą rabin właśnie przed nim postawił. Levy nie był ich oficjalnym lekarzem rodzinnym. Był psychiatrą. Był również wieloletnim przyjacielem rodziny. Jako przyjaciel był obecny przy śmierci pani Zweek. Tamtego dnia siedział na tym samym krześle, przy tym samym stole, popijając herbatę z filiżanki ozdobionej tym samym, lecz nieco mniej wyblakłym, różanym wzorem. Siedział wtedy sam na sam z rabinem Zweekiem – podobnie jak teraz – pocieszając go w obliczu wypowiedzianej na głos prawdy.

– To tylko kwestia czasu – powiedział wtedy do rabina – a im szybciej to nastąpi, tym lepiej dla was wszystkich.

Pani Zweek leżała wtedy w swoim ogromnym łóżu, zastanawiając się, dlaczego jej rekonwalescencja po operacji trwa tak długo. Doktor powiedział jej: „Takie rzeczy trwają dłużej, gdy jest się starszym. Jeszcze może z miesiąc i stanie pani na nogi”. Leżała więc cierpliwie, kartkując folder z ofertami biur podróży, który mąż kupił jej, żeby mogła zdecydować, gdzie pojedzie, aby wrócić do pełni sił.

Teraz w tym samym łóżku leżał Norman ze swoimi złudzeniami – co prawda odmiennymi – a nad kuchennym stołem, przy którym doktor Levy siedział z rabinem, zawisła ta sama niewygodna prawda co tamtego dnia.

– Od jak dawna zachowuje się w ten sposób? – spytał doktor.

– Skąd mnie to wiedzieć? – Rabin bezradnie rozłożył ręce. – Od wielu dni już nie je. Śniadanie, owszem, ogromne śniadanie, a potem nic.

– Czy bywa w sklepie?

– Na dół schodzi. Siada. Bella mówi, co on nic nie robi. Zawsze taki bezczelny, co aż wstyd przed klientele. Jakbym tylko tego dowiedział, gdzie je bierze. Jakbym tylko...

– Rabinie – wtrącił doktor łagodnie – nawet gdyby udało się odszukać jego dostawcę, nic by to nie dało. Znalazłby inne źródło. Wszyscy nałogowcy są tacy sami. Są przebiegli. Co by się nie działo, zawsze znajdą sposób, żeby dostać to, czego chcą. Oczywiście jest to bardzo kosztowne. Czy Norman ma aż tyle pieniędzy?

Rabin Zweck milczał. Nie patrząc na doktora, wyciągnął w jego stronę rękę.

– Doktoru – powiedział – tak mi wstyd. Ale doktoru powiem w zaufaniu.

Doktor Levy poklepał go po dłoni.

– Kradnie? – zapytał.

Rabin zwiesił głowę.

– Rodzony syn – szepnął – zwykły *ganew*, ojcowski pieniądz kradnie. Z kasą w sklepie. W zeszły tydzień mojej Belli piętnastu funtów brakło. Co robić? Przecie cały czas pilnował nie będę.

Doktor otworzył swoją czarną teczkę.

– Musimy zatroszczyć się o poprawę jego stanu, a przynajmniej pomóc mu przetrwać ten atak. Potem należy przekonać go do podjęcia leczenia w szpitalu. To jedyny sposób. Sześć miesięcy, może rok, z dala od narkotyku. Wtedy będzie miał szansę na pokonanie uzależnienia.

– Próbowałem – oznajmił rabin – i Bella próbowała. Zawsze, jak przestanie, mówi, co już nigdy więcej. A potem znowu zaczyna. Co z nim będzie?

– Najpierw uporajmy się z obecną sytuacją – zalecił doktor rzeczowo.

Rabin ścisnął rękę doktora.

– Tak sobie myślę – powiedział – może jemu w pokoju *take* zalega robactwo? Może czyściciele nie dość dokładnie szukają, kiedy przyjdą. Tak jest, jak Norman powiedział: urządzić prawdziwe wiosenne porządki powinniśmy. Wtedy robaki znajdziemy i wytępiemy. – Popatrzył na doktora błagalnym wzrokiem.

– Doprowadzi się rabin do szaleństwa – szepnęła doktor Levy. – Próbuje rabin bronić go kosztem własnego zdrowia psychicznego. W tym pokoju nic nie ma. Obaj dobrze o tym wiemy. Otóż sprawa jest prosta. – Doktor nachylił się do rabina i zaczął mówić bardzo powoli, z cierpliwością typową dla osoby, która po raz kolejny wyjaśnia od początku tę samą kwestię. – Kiedy zaczął brać te środki, dawały mu, jak to się mówi, kopa. Rozumie rabin?

– A co ja wiedzieć mogę o jakichś kopach? – spytał rabin zmęczonym głosem. Za każdym razem, gdy Norman przechodził nawrót, a doktor tłumaczył sytuację, rabin nie potrafił przyjąć do wiadomości, że diagnoza może dotyczyć jego syna. – Lekarskie gadki – wymamrotał. – A Bella prawdziwe wiosenne porządki robi – oznajmił.

– Kiedy Norman zaczynał, czuł się dobrze już po jednej tabletkie – kontynuował Levy, nie zwracając uwagi na rabina. – Z czasem jednak, żeby osiągnąć ten sam efekt, musiał przyjmować ich coraz więcej i więcej. A teraz doszło już do tego, że musi brać całą garść na raz. Obecnie te środki stały się naprawdę niebezpieczne. Jeśli człowiek przyjmie ich dostatecznie dużo, zaczyna widzieć różne rzeczy, których nie widzą inni. Węże, słonie, kolce albo – jak Norman – rybiki cukrowe. Dla niego są prawdziwe, ale to tylko halucynacje. W rzeczywistości nie istnieją – powiedział doktor Levy z naciskiem – bez względu na to, jak przekonująco mówi o nich Norman. Dobrze rabin wie, że nie istnieją, prawda?

Rabin Zweck westchnął. Czasami szczerze nienawidził Levy'ego.

– A skąd w doktoru pewność, co one nie istnieją? – mruknął.

Doktor Levy wyjął z pudełka niewielką pigułkę. – Nie będę do niego szedł – stwierdził. – To tylko pogorszyłoby sytuację. Namówcie go, żeby przed południem wypił z wami kawę. Rozkruszcicie to i dosypcie do cukru. Niech Bella to robi. Proszek rozpuści się w kawie, a przy odrobinie szczęścia Norman nie wyczuje jego smaku. Jeśli wypije całą filiżankę, zaśnie na kilka godzin, a wtedy przyjdę i zrobię mu zastrzyk. Tak jak poprzednio. Na dwa tygodnie wprowadzimy go w stan głębokiej sedacji. Tak samo jak za ostatnim razem.

– I za przedostatnim – dodał rabin. – I tak samo za następnym.

– Przebrnijmy najpierw przez ten kryzys, dobrze? Potem spróbujemy z nim porozmawiać. Wszyscy. To o rabina najbardziej się martwię. Bardziej niż o Normana – stwierdził doktor.

– Pozwala rabin, żeby to wszystko go powoli zabijało.

– Tańczyć może mam? – spytał rabin pod nosem.

– Niech rabin wspomina czasy, gdy wszystko było w porządku.

Okresy między nawrotami. To dla nich warto żyć, na nie warto czekać. Na okresy, kiedy Norman jest dobrym synem.

– Często to ostatnio nie nadarza. Nie, ostatnio nie – stwierdził rabin. W nagłym przypiływie gniewu uderzył pięścią w stół. – Niech no ja tylko mordercę znajdę, co jemu sprzedaje!

– Zejdźmy do sklepu – powiedział łagodnie doktor. – Kupię u was papierosy.

Rabin przystanął pod pokojem syna.

– Norman! – zawołał.

– Przekaż ode mnie doktorowi Levy’emu – krzyknął Norman – że taki z niego psychiatra jak z koziej dupy trąba i że może sobie wsadzić gdzieś te swoje zastrzyki. Ze mną jest wszystko w porządku! – wykrzyczał, na wpół szlochając. – To wy jesteście nienormalni, ty i cała ta twoja banda! Pomyleni co do jednego! Zostawcie mnie w spokoju.

– Do sklepu schodzę – odpowiedział spokojnie rabin. – Niedługo wracam. Wtedy może herbatę razem napijemy, co? Ty, ja i Bella.

– Nie mam ochoty na żadne rodzinne posiedzenia – odparł Norman.

– Po prostu dajcie mi spokój.

Doktor Levy objął rabina Zwecka ramieniem i sprowadził go do sklepu.

—

Godzinę później Bella zostawiła sklep pod opieką sprzedawcy i wróciła z ojcem do mieszkania. Rozmawiali szeptem w kuchni. Bella starła białą pigułkę i zmieszała proszek z cukrem na dnie filiżanki, po czym przykryła wszystko plasterkiem cytryny.

– Będzie lżej, kiedy już zaśnie, tatusiu. Znowu będzie trzeba poprosić ciotunię Sadie, żeby przyjechała i pomogła się nim zajmować. Mam do niej zadzwonić?

– To szóste raz już będzie.

– Ona to uwielbia, dobrze o tym wiesz. Zejdę na dół i zadzwonię.

– Czekaj. Niech wpierw zaśnie – powiedział ojciec. – Wtedy zobaczymy.

Herbata była gotowa. Spoglądali na siebie; żadne z nich nie miało najmniejszej ochoty wołać Normana.

– Mówić mu powinnaś, co herbatę gotowe – oznajmił rabin.

– Ty mu powiedz. Mnie nie posłucha. Chociaż... niech będzie – zmieniała zdanie, widząc wahanie ojca. – Ja mu powiem.

Wyszła na korytarz i krzyknęła: – Norman, herbata gotowa!

– Norman, herbata gotowa! – zaczął ją przedrzeźniać brat.

– Chcesz herbatę, czy nie? – spytała ze złością.

– Chcesz herbatę, czy nie? – rozległo się za drzwiami Normana.

Bella wróciła do kuchni.

– Ja się z nim nie dogadam – stwierdziła.

Rabin wstał wyraźnie zmęczony i ruszył przez korytarz.

– Norman – zawołał łagodnie. – Herbatę napijesz?

– Już mówiłem, że nie mam ochoty na żadne rodzinne posiedzenia.

Ani się obejrzę, a ciotunia Sadie wpadnie do nas w swoim białym kitlu i odstawi mi tu siostrę miłosierdzia.

– Może w pokój herbatę chcesz? – spytał usłużnie ojciec.

– Postaw pod drzwiami.

– Proszę – przynagliła ojca Bella. Z trudem przychodziło jej traktowanie brata jak niepełnosprawnego. Chciała ukarać go za to, co zrobił ojcu. Również za to, co zrobił jej samej. Bo jej już też wystarczająco dużo zrobił. Spojrzała na swoje stopy. Oczywiście nie musiała już nosić tych dziecięcych białych skarpetek, ale to weszło jej w nawyk. Gdyby zaczęła się ubierać inaczej, musiałyby stać się inną osobą. To również była jego wina. Nienawidziła tego swojego poczucia, że coś mu się od niej należy. Nie łączyło ich nic z wyjątkiem wspólnych rodziców, wspólnego smutnego dzieciństwa i wspólnego wstydu. Z trudem opierała się pokusie, by życzyć bratu śmierci.

Rabin Zweck wziął ze stołu filiżankę Normana.

– To ta? – spytał. Zamieszał herbatę jeszcze raz, po czym zaniósł ją pod drzwi syna. – Norman, herbate u drzwi – poinformował. – Uważaj, gorące.

Wrócił do kuchni. Usiedli z Bellą przy stole i czekali. Słyszeli, że drzwi od pokoju Normana otworzyły się i po chwili znowu zamknęły. Rabin wyjrzał z kuchni i zobaczył, że filiżanka zniknęła.

– Bogu dzięki – powiedział – przynajmniej to wypije. – Jednak ledwo rabin zdążył usiąść do stołu, usłyszeli, że Norman znowu otwiera drzwi.

– Za kogo wy mnie macie? – wrzasnął. – Myślicie, że nie czuję tego smaku? – Wparował do kuchni i postawił filiżankę na stole. – Co wy mi próbujecie zrobić? Chcecie mnie zamordować?

– Jak to, jak to? – wymamrotał rabin. – W czym problem?

– Dodaliście mi czegoś do herbaty – oznajmił Norman. – Posmakujcie.

– W twojej herbacie nic nie ma – stwierdziła chłodno Bella. – Wszyscy pijemy to samo. Nalewałam herbatę z jednego dzbanka.

– Czyżby cytryne zbyt kwaśne? – spróbował rabin. Nie był zbyt wprawnym kłamcą.

– Gównu nie cytryna – skwitował Norman. – Proszę bardzo, jeśli jesteś tak przekonany, że nic nie ma w mojej herbacie, to sam ją wypij. – Podsunął filiżankę ojcu.

Rabin Zweck nie przewidział takiego obrotu spraw. Nie miał jednak innego wyjścia. Ostrożnie podniósł filiżankę i upił z niej tak mały łysek, jaki tylko mógł, by synowi nie wydało się to podejrzanе. – Wszystko w porządku – stwierdził. – Może cukru tobie mało?

– Wypij więcej – rozkazał Norman – wtedy poczujesz.

Rabin ponownie podniósł filiżankę do ust. Norman stał nad nim, odmierzając jego dawkę.

– Więcej, więcej – powtarzał, aż ojciec wypił pół filiżanki.

– Wszystko w porządku – oznajmił ponownie rabin.

– W takim razie ty posmakuj. – Norman podsunął filiżankę siostrze.

Gdy Bella zobaczyła, jak dużo wypił ojciec, ogarnęło ją przerażenie.

– Dalej – powiedział Norman, widząc jej wahanie. – Podtruj się trochę.

Wypiła spory łyk. Herbata była gorzka, bez dwóch zdań. Doktor Levy chyba postradał rozum, jeśli sądził, iż tak wytrawny koneser środków farmakologicznych jak Norman nie zwróci na to uwagi. Nienawidziła Levy'ego. Nienawidziła wszystkich za to, co jej zrobili. Nienawidziła swojej siostry Esther za to, że wyszła za męża i w ten sposób uchyliła się od odpowiedzialności. Nienawidziła Normana za to, co im robił. Nienawidziła nawet ojca za miłość, której nie potrafiła mu odmówić.

– Wszystko w porządku – potwierdziła. – Wymyśliłeś to sobie, tak samo jak te twoje rybiki.

Nienawidziła też siebie za to, że mówiła takie rzeczy. Dlaczego nie potrafiła zachowywać się tak, jakby jej brat cierpiał na żółtaczkę, odrę, reumatyzm czy jakąkolwiek inną przyzwoitą chorobę, w pełni nadającą się na temat rozmowy? Popatrzyła na czarną szczecinę, ocieniającą jego szczęki, na ziemiste plamy na jego policzkach. Wyglądał na chorego, na bardzo ciężko chorego. Czy to nie mogło jej wystarczyć?

Norman przysunął filiżankę z powrotem do ojca.

– Dalej, smakuj – zarządził kapryśnie – sam dobrze wiesz, że coś w niej jest.

Rabin sumiennie spełnił żądanie syna, po czym ogłosił swój werdykt: – Nic nie ma. – Był już bardzo śpiący, podparł więc czoło ręką.

– Daj mu wreszcie spokój – poprosiła Bella.

– W takim razie ty posmakuj jeszcze raz – obruszył się Norman. – Jeśli ktoś w tym domu odwali kitę, to na pewno nie ja. – Stał nad nią, kiedy piła. Po wypiciu sporego łyka Bella zdobyła się na odstawienie filiżanki.

– A zatem – powiedział, stając w drzwiach – życzę wam obojgu jak najdłuższego życia. – Bella słyszała, jak brat ciężkim krokiem maszeruje do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– I co teraz? – spytała z rezygnacją. Ojciec osunął się na blat stołu. Lekko nim potrząsnęła, ale spał już twardo. Usiadła przy nim, zastanawiając się, jak sama poradzi sobie z odpowiedzialnością. Nie potrafiła przegnać z myśli tego, co dostrzegła w twarzy brata, gdy stał nad nią i patrzył, jak pije. Gdyby tylko nie była jego siostrą, mogłaby objąć go ramieniem i uwierzyć w niego, tak po prostu – dla jego dobra. Mogłaby go nawet pokochać. Więzy krwi stanowiły jednak barierę dla tego rodzaju miłości – dla uczucia pozbawionego egoizmu. Kiedyś go kochała, a on kochał ją; kiedy byli dziećmi, kiedy miała jeszcze pełne prawo nosić swoje białe skarpetki. Później żadne z nich nie wspomniało już o tym ani razu; nikt nie poznał ich tajemnicy. „Chociaż – pomyślała – Bóg jeden raczy wiedzieć, całkiem możliwe, że Levy zdążył już wszystko wyciągnąć z Normana”. Wstała, by posprzątać ze stołu, ale kolana się pod nią ugięły. Nie próbowała stawiać oporu, chciała na jakiś czas uciec od tego wszystkiego. Miała wręcz nadzieję, że zaśnie na zawsze. Bezwładnie opadła z powrotem na krzesło i poddała się ogarniającemu ją stopniowo otępieniu.

Norman zastawił drzwi komodą i przykucnął na podłodze. Pomimo że zaciągnął zasłony, światło przeświecające przez cienki materiał odpędziło jego towarzyszy. Postanowił, że kupi zasłony z ciężkiego aksamitu z czarnym wykończeniem, żeby w jego pokoju nieprzerwanie panowała noc, a jego pełzające dowody były zawsze obecne. To właśnie w świetle słońca, gdy nie sposób było zaprzeczyć, że jest w pokoju całkiem sam, najdotkliwiej dręczyło go pytanie o stan własnego zdrowia psychicznego. Już samo rozważanie tej kwestii było potwierdzeniem, że ojciec i siostra mogą mieć rację. Nie, tego pytania nie mógł do siebie dopuszczać pod żadnym pozorem – tylko w jaki sposób miał je przepędzić za dnia? Siedział tak, nieuzbrojony, osaczony przez niechciane pytania, których ciche wtargnięcie w jego prywatność było tylko kwestią czasu. Czy ja oszalałem? Czy rybiki naprawdę istnieją? Jeśli istnieją, to gdzie się teraz podziewają? To wina Belli, to ona dała mi te zasłony. Rybiki uciekają od światła. Dlaczego Bella nie chciała w nie uwierzyć? A ojciec? W jaki obłęd popadli, że nie potrafili dostrzec, że on jest całkiem zdrowy? Ale skoro oni nie potrafili zobaczyć rybków, to dlaczego go to tak rozjuszało? W końcu pytania zrobiły swoje i, najwyraźniej usatysfakcjonowane, zostawiły go poranionego i samotnego. Przez cały długi dzień miał czekać, aż nadejdzie noc i doda mu sił.

Usłyszał dzwonek do drzwi. Przyszli po niego. To ten tuman, Levy, przyszedł ze swoją strzykawką, żeby go uśpić, tak jak ostatnio. Norman skoczył na równe nogi i dosunął komodę do drzwi. Chciał tylko dotrzeć do zmroku, kiedy będzie miał więcej dowodów. Wtedy wpuści ich wszystkich.

– Wtedy zobaczymy, kto jest obłąkany – powiedział do siebie. Nasłuchiwał, ale najwyraźniej nikt nie podszedł do drzwi wejściowych, aby je otworzyć. Wcześniej nie słyszał, żeby ktokolwiek wychodził, ojciec z siostrą musieli więc nadal być w mieszkaniu. Miał nadzieję, że osoba stojąca pod drzwiami – ktokolwiek to był – zaraz sobie pójdzie. Dzwonek jednak rozległ się ponownie: teraz już dzwonił dłużej, raz za razem. Norman czekał. Pomiędzy kolejnymi dzwonekami słyszał, że w mieszkaniu panuje absolutna cisza. Musieli się wymknąć po kryjomu. Dokąd poszli? Może po kogoś, kto miał go stąd zabrać? Czyżby ten ktoś stał już pod drzwiami? Usłyszał trzaśnięcie skrzynki na listy.

– Panno Zweck? – wysoki głos zasyczał w holu. To był Terry, sprzedawca ze sklepu. Nie stwarzał zagrożenia; był mały i delikatny. Norman odsunął komodę i otworzył drzwi.

– Czego chcesz? – krzyknął.

– Szukam panny Zweck – odpowiedział Terry. – Nie wróciła do sklepu. Pora na moją przerwę obiadową.

– Tutaj jej nie ma – odparł Norman. – Będziesz musiał wrócić na dół i na nią poczekać. Przykro mi – dodał. Czuł do chłopaka ogromną sympatię; to była jedyna osoba w jego otoczeniu, która nie uważała go za wariata. Terry kiedyś je widział. Pewnego wieczoru, po zamknięciu sklepu, kiedy ojca i siostry nie było w domu, Terry przyszedł do pokoju Normana i wtedy je zobaczył. Był przerażony; stanął jak wryty i kurczowo zacisnął rękę na klamce, najwyraźniej chcąc jak najszybciej przed nimi uciec. Wydusił w końcu z siebie: „nie zniosę tego”. Norman pozwolił mu odejść, wdzięczny za jego zrozumienie.

– A pan nie mógłby zejść? – spytał potulnie Terry.

– Nie mogę. Próbuje pozbyć się tych stworzeń z mojego pokoju.

Usłyszał kroki Terry'ego, schodzącego po kamiennych schodach – stawał co drugi stopień, a na koniec zeskoczył na kamienną posadzkę.

Norman stał na pustym korytarzu. Zastanawiał się, dokąd poszli siostra i ojciec. Do jego uszu dobiegło odległe sapanie. Poczł nieopisaną radość – wiedział, że oto rybiki wróciły do jego pokoju. Kiedy jednak wszedł do środka, odgłos przycichł. Po chwili stwierdził, że dźwięk rozlega się za jego plecami, że niesie się korytarzem. Oparł się o drzwi, próbując w pełni pojąć znaczenie tego nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń. Najwyraźniej były również i tam; dokonały już absolutnej inwazji na całe mieszkanie. Był zadowolony. Teraz, skoro rozlały się już wszędzie, inni będą musieli mu uwierzyć. Został oczyszczony z zarzutów. Nie miał jednak zamiaru mścić się na rodzinie. Będzie łagodny i wyrozumiały, przebaczy im wszystkie oskarżenia. Pragnął, by jak najszybciej wrócili do domu. Otworzył drzwi sypialni na oścież i odsunął zasłony. Nie potrzebował już swojego schronienia. Ruszył korytarzem w stronę kuchni. Stwierdził, że dźwięk się nasila, ale nie był tym zaniepokojony. Kuchnia była najbardziej oczywistym miejscem, w którym mógł zebrać się rój. On sam już je tam kiedyś widział. Właściwie niewiele było miejsc, w których by ich nie zobaczył, gdyby się dobrze przyjrzał. A teraz rybiki miały już dość ich ignorancji, przybyły więc do kuchni ogromnymi zastępami, aby wszyscy je zobaczyli. Norman stanął pod kuchnią. Drzwi były lekko uchylone; dźwięk był już wręcz ogłuszający. Zwlekał z wejściem, smakując radość, odwlekając chwilę ostatecznego potwierdzenia; swojego ratunku. W końcu otworzył drzwi na oścież.

Jego ojciec siedział przy stole, na wpeł leżąc na białej. Chrapał. Ojciec chrapał. To wszystko. Nawet Norman, w którego umyśle dźwięki życia i śmierci mieszały się z wytworami wyobraźni, musiał teraz przyznać, że hałas, który słyszy, jest tożsamy z chrapaniem ojca. Śpiąca u boku rabina Bella dodawała do tego tematu nieśmiały kontrpunkt. „Co za obrzydliwy duet” – pomyślał Norman. Popatrzył pod stół na białe, wywijane skarpetki Belli, na wystające spod nich szorstkie pęczki czarnych włosów zadarte przez gumkę. Wszyscy winili go za te białe skarpetki, ale Chryste Panie, przecież nie musiała ich dalej nosić. Unikał patrzenia jej w twarz. Kiedyś ją kochał, ponieważ było to zakazane. Teraz doszedł do wniosku, że to był jedyny raz, kiedy tak naprawdę kogokolwiek kochał. Zerknął na ojca. Jarmułka zsunęła mu się na ucho; odsłonięta połowa głowy była pokryta żyłami jak ręka staruszki. To właśnie ten człowiek uczył go, że morze rozstąpiło się przed Żydami, to ten człowiek wierzył w cuda, to on wierzył we wszystkich dobrych ludzi poza własnym synem. Norman poczuł przyływ litości wobec ojca, ale szybko przywołał się do porządku. Nie pozwoli, by wzruszyła go starcza głowa ojca czy białe skarpetki siostry. Musiał nienawidzić ich, dopóki wszystkiego nie zrozumieją. Stał między nimi, otworzył usta i wydał z siebie długi, przesywający wrzask. Poruszyli się natychmiast, w półśnie jedno zwróciło się w stronę drugiego, przeczuwając katastrofę, szukając w sobie nawzajem oparcia. Bella otworzyła oczy pierwsza, ale natychmiast zamknęła je znowu, jakby chciała unicestwić rzeczywistość, która zdążyła dotrzeć do niej przez ten ułamek sekundy. Rabin Zweck rozchylił powieki powoli, jęknął, ale nie zamknął już oczu. Chociaż spał głębokim snem, widmo tragedii syna nie opuściło go ani na chwilę. Gdy po przebudzeniu zobaczył Normana, nie miał większego problemu z odnalezieniem się w sytuacji – syn i tak nieustannie mu towarzyszył. Bella ponownie otworzyła oczy i tym razem musiała już pogodzić się z zastaną rzeczywistością.

– Herbata – burknęła pod nosem. A on, jej obłąkany brat, przetrwał razem ze swoimi rybikami. Jej siostra Esther wyszła za mąż i trzymała się z daleka od tego wszystkiego, matka nie żyła, a Norman swoim szaleństwem próbował doprowadzić ojca do śmierci. Wstała i objęła ojca ramieniem. – Co teraz zrobimy? – spytała bezradnie.

– Które godzinie? – spytał rabin Zweck.

– Dopiero druga.

– A gdzie Terry’ego przerwe na obiad? – Chwycił się tej sprawy jak czegoś namacalnego. To był przynajmniej konkretny problem, który można było szybko rozwiązać. – Idź, sklepem zajmij – powiedział do Belli.

– A co z nim? – Zepchnęła brata w anonimowość należną szaleńcowi. – Co z nim zrobimy? – Trawiły ją gniew i nienawiść.

– O mnie się nie martwcie – odparł Norman. – Zaraz podpalę dywan i nareszcie się ich pozbędę. – Uśmiechnął się do niej niewinnie.

– Dobry Boże – powiedziała, opadając na krzesło – ile jeszcze mamy znieść? Nie masz racji – krzyknęła nagle do Normana – w tym mieszkaniu nie ma żadnych owadów. Nie masz racji, nie masz racji – krzyczała. – Pomyleni nigdy nie mają racji.

Norman wrócił do swojego pokoju. Nachylił się do dziurki od klucza i zaczął nasłuchiwać, próbując rozpoznać następne posunięcie rodziny. Po chwili usłyszał, że Bella przeszła przez korytarz i wyszła z mieszkania. Telefon zadzwonił krótko – to ojciec zaczął wykręcać numer. Norman odszedł od drzwi. Ojciec dzwonił do doktora Levy’ego; wszystko miało zacząć się od początku. Nagle poczuł się zmęczony całą tą sytuacją.

– Byłoby znacznie łatwiej, gdybym naprawdę był obłąkany – powiedział pod nosem. – Wtedy mogliby mnie wyleczyć i już więcej nie widziałbym rybików.

Igrał z myślą, czy nie zacząć udawać obłąkanego. Pozwoliłby się „wyleczyć”, a po „leczeniu” dalej widziałby rybiki i wtedy może w końcu by mu uwierzyli. Nie potrafił jednak udawać, że jest obłąkany. „Tylko skrajni szaleńcy mogą pozorować szaleństwo – pomyślał – nikogo bym na to nie nabrał. Nawet ten konował Levy zrozumiałby, co jest grane. On będzie uważał mnie za wariata tak długo, jak będę zdrowy. Musi tak myśleć, to jego praca. Gdyby stary Levy stwierdził, że wszystko ze mną w porządku, miałbym prawdziwe powody do zmartwień.” Uśmiechnął się do swoich myśli. To oni byli pomyleni, wszyscy, co do jednego. Ogarnięty tym niezachwianym przekonaniem zamknął drzwi na klucz.

Ojciec wciąż rozmawiał przez telefon, ale Norman nie chciał podsłuchiwać. Nie chciał, by zmusili go do snucia planów. Gdzieś w sobie odczuwał już pierwsze ukłucie bólu kapitulacji, tego samego, który poczuł kilka miesięcy temu, gdy igła Levy’ego wbiła się w jego ramię.

– Tym razem – powiedział na głos – muszę stawić im opór. To ja mam rację, to ja mam rację – jęczał do siebie. Dosłyszał echo dokładnie odwrotnego oskarżenia, wygłoszonego wcześniej przez siostrę.

Przycupnął na podłodze; starał się nie myśleć o tym, co mu zrobią. Po jakimś czasie usłyszał stukot skrzynki na listy. Czekał, aż jego ojciec otworzy drzwi.

– Czy mieszka tu Norman Zweek? – rozległ się męski głos. Jakimś sposobem Norman wyczuł, że mężczyzna trzyma w ręce dokumenty.

Było ich dwóch, obleczonych w czerń i aurę biurokracji, z dwiema identycznymi, brązowymi teczkami. Rabin Zweek wpuścił ich do środka. Wyglądali jak para grabarzy, brakowało im tylko taśmy do brania miary ze zwłok.

– Czy możemy gdzieś porozmawiać? – spytał jeden z lekarzy, rozglądając się po korytarzu za odpowiednim zakamarkiem.

– W kuchni – odpowiedział rabin bezbarwnym głosem. Dwaj mężczyźni ruszyli jego śladem. Usiedli przy stole i od razu przeszli do rzeczy.

– Doktor Levy opisał nam sytuację – powiedział jeden z gości. – Oczywiście, jak zapewne pan wie, niezbędne jest, byśmy zobaczyli się z pańskim synem. Musimy zaświadczyć, że kwalifikuje się do leczenia w szpitalu. Takie jest prawo, rozumie pan – dodał łagodnym głosem.

– Tak, takie jest prawo – powtórzył rabin. Nie mógł pojąć, dlaczego w ogóle wpuścił tych ludzi do domu. Zaprosił ich, żeby wystawili zaświadczenie dla syna. Sam pomagał im zabrać swojego chłopca. W ten sposób przyznawał, że syn oszalał.

– Jednakże – spróbował zaprotestować, zrozumiawszy powagę sytuacji – czy to absolutnie konieczne, co by w szpital szedł? On tylko odrobinę pomyłony jest, ten mój syn – powiedział z prośbą w głosie. – Powiem, co by już nie brał tych tabletek, a wtedy od razu poprawi. Obiecuję – wpadł w błagalny ton. – Przysięgam na pamięć mojej biednej żony, *aleha ha szalom*. – (Co ci *gojim* mogą o tym wiedzieć?) – On nie oszalał, o nie. Zmęczony jest, to wszystko. Niewiele spał, trochę mu w głowie pomieszało. Ja też, kiedy zmęczony, nieco *cemiszt* jestem, owszem, jestem. – Zdał sobie sprawę ze słabości swoich argumentów i poczuł gniew, że musi błagać kogoś o zdrowie psychiczne syna. Szybko podniósł się z krzesła. – Proszę wyjść – powiedział. – Za przybycie panom dziękuję i przepraszam, co na niedogodność naraziłem. Na dworze pada – dodał z bolesnym poczuciem, że to zupełnie bez związku.

Dzwonek rozległ się ponownie. Jeden z mężczyzn ruszył w kierunku drzwi, a drugi próbował przytrzymać rabina na miejscu. Rabin odtrącił jego rękę.

– We własnym domu – powiedział cicho – drzwi sam otwierać mogę.

Nie próbował jednak wyjść. Wyczuł instynktownie, że na korytarzu rozegra się bitwa, równie beznadziejna co ta, którą próbował ignorować w kuchni. Czekał na powrót lekarza. Wraz z nim do kuchni wszedł inny mężczyzna o przerażającej powierzchowności sanitariusza z zakładu psychiatrycznego, przez tamtych przedstawiony jako pan Angus. Wyciągnął rękę i ucisnął dłoń rabina Zwecka z bezwstydnym, profesjonalnym zrozumieniem. Rabin cofnął się do stołu i opadł na krzesło.

– Na dworze pada – powtórzył.

Lekarze wyszli z kuchni. Pan Angus zamknął za nimi drzwi i przesunął swoje krzesło na stronę rabina Zwecka. Położył rękę na jego ramieniu. Wiedział, że nie ma nic do powiedzenia. Jego zawód w ogóle nie należał do lekkich, ale radzenie sobie z rodzinami pacjentów było zdecydowanie najgorszym aspektem. Wiedział, że niektórzy spośród jego kolegów karmili się tym wpisanym w ich pracę *schadenfreude*, on jednak nie był taki. Po raz kolejny przysiągł sobie – przez ostatnie dziesięć lat robił to bardzo często – że znajdzie sobie inną pracę. Siedzieli obok siebie, z braku lepszego zajęcia wsłuchując się w hałasy dobiegające spod drzwi Normana. Gdy dźwięki stały się głośniejsze, pan Angus przysunął swoje krzesło bliżej staruszka i delikatnie pogładził go po ramieniu.

– Won mi stąd! – krzyczał Norman. – Jakim prawem chcecie wejść do mojego pokoju?

– Otwórz drzwi – mówił łagodnie lekarz. – Chcemy tylko z tobą porozmawiać. Nie chcesz chyba, żebyśmy je wyważyli, co? No, zachowuj się jak grzeczny chłopiec.

To właśnie słowo „chłopiec” doprowadziło rabina Zwecka do łez. Jego syn był dorosły, a na dorosłego mężczyznę „chłopiec” mówi się tylko wtedy, gdy czuje się do niego pogardę.

– Mój syn obłąkany nie jest, prawdę? – szepnął rabin do pana Angusa. Sanitariusz mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu.

– Tak będzie dla niego najlepiej. Przysięgam. To potrwa tylko kilka tygodni, potem wyjdzie ze szpitala. Niedługo będzie po wszystkim – zapewnił. Musiał powstrzymać się przed dodaniem: „aż do następnego razu”. Miał już do czynienia z wieloma podobnymi przypadkami. Pocieszał oniemiałych rodziców lub zapłakane żony i dzieci. Zasłaniając im drzwi, kojąc ich łagodnymi kłamstwami, w dobrej wierze próbował zakamuflować odrażające szczegóły związane z odwożeniem ludzi do zakładów. Nie było jeszcze tak źle, kiedy szli dobrowolnie. Najgorzej, kiedy stawiali opór, tak jak ten tutaj. To było prawdziwe piekło: nie tyle dla pacjenta, co dla tych, którzy musieli na to patrzeć i nie potrafili tego znieść.

– Kiedy lekarze go zbadają – powiedział – porozmawiam z nim. Zrobię, co w mojej mocy.

Rabin Zweck chciał poznać odpowiedzi na tyle pytań. W jaki sposób zmuszą go do wyjścia? Czy użyją kaftana? Czy pod drzwi podjedzie policja? Czy wsadzą go do białej karetki? No i do jakiego rodzaju zakładu go zabiorą? Czy to miejsce będzie pełne szaleńców, prawdziwych *meszujojim*, nie takich jak jego syn, który przecież niedługo poczuje się lepiej? Nie śmiał jednak zadać żadnego z tych pytań na głos. Nie chciał przyjąć do wiadomości powagi sytuacji. Ta jednak krzyczała do niego z korytarza. Usłyszał mocne, donośne kopnięcie w drzwi, a po nim głos:

– Jeśli nas nie wpuścisz, będziemy musieli zadzwonić na policję.

– Niech im pan powie, co by szli – błagał rabin. – Albo dajcie, cobym ja rozmawiał. – Podniósł się, by podejść do drzwi sypialni. Norman nigdy mu nie wybaczy. Znowu usiadł, ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kiwać, to w przód, to w tył. Płaczem i modlitwą zdołał doprowadzić się do stanu względnego spokoju. Nagle usłyszał, że drzwi do pokoju Normana otworzyły się; zaczął znowu płakać na myśl o kapitulacji syna. Słyszał, że lekarze weszli do pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

– Już mu lepiej, w porządku wszystko będzie – powiedział do pana Angusa. – Wizyte nim wstrząśnie, teraz już dobrze jest. Po prostu ktoś nauczkę dać musiał. Do domu już wszyscy idźcie. – Próbował podsunąć im wymówkę na ostatnią chwilę, ale syn już się przyznał. Rabin poczuł, że ręka pana Angusa podnosi się z jego ramienia; wiedział, że jest w kuchni całkiem sam.

Wolał nie myśleć o tym, co się działo w pokoju Normana. Nie był nawet w stanie pojąć, że ma to cokolwiek wspólnego z nim samym. Zdawał sobie sprawę tylko z tego, że na dworze pada, że z nieba nieustannie sący się rzadka mżawka. Usłyszał, że dwaj mężczyźni przeszli przez korytarz i wyszli przez drzwi frontowe. Cieszył się, że po drodze nie próbowali się z nim żegnać. Miał tylko nadzieję, że wzięli z domu parasole. Posłyszał mamrotanie dobiegające z pokoju Normana; przypomniał sobie, że podobne dźwięki towarzyszyły śmierci jego żony. Przeczynał, że nadciąga podobna katastrofa.

– Tato – zawołał Norman rozpaczliwie i błagalnie jak mały chłopiec. Było to wołanie o jak najszybszą pomoc i ochronę. Był to okrzyk przepełniony fizycznym cierpieniem. Rabin natychmiast zareagował. Bez względu na to, co spotkało syna, ojciec pocałuje, żeby przestało boleć, opowie historyjkę, która odwróci jego uwagę od udręki. Pośpieszył do pokoju Normana. Pan Angus siedział na łóżku, bezradnie przypatrując się Normanowi.

– Tato – zaczął błagać Norman, gdy ojciec wszedł do pokoju – powiedz temu człowiekowi, żeby sobie poszedł. Przychodzą tu ludzie, całkiem obcy, wchodzą do mojego pokoju, chcą mnie gdzieś odwiedzić. Nic złego nie zrobiłem. Tatusiu, powiedz im, że wszystko ze mną w porządku. Nie daj mnie stąd zabrać.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Angus wyszedł szybko, żeby otworzyć.

– Przyszli po mnie – powiedział Norman. – Tato, tatusiu – błagał – nie pozwól, żeby mnie zabrali.

Rabin Zweck wziął go w ramiona.

– To dla twojego dobra, cobyś się lepiej poczuł – powiedział łagodnie. – Z tobą pojedę – dodał – razem pojedziemy.

– Nie, nie! – krzyknął Norman. Wyrwał się ojcu i przyjrzał mu się w osłupieniu. – Tato? – spytał, jakby podawał w wątpliwość jego prawo do ojcostwa. – Nie... nie możesz. – Jego oczy rozszerzyły się niedowierzaniem. Patrzył na ojca bez cienia nienawiści czy rozgoryczenia: jedynie z wyrazem absolutnej, niewinnej niezdolności do uwierzenia w to, co przed chwilą usłyszał. To było spojrzenie, które rabin Zweck miał zabrać ze sobą do grobu.

– Proszę ze mną. – Do pokoju weszła nowa postać, kolejny nieznajomy, tym razem mężczyzna ubrany w mundur. – Pójdziemy spokojnie, prawda? Nie chcemy żadnych awantur.

– Spójrz na nich – powiedział Norman – zabierają mnie, a ty stoisz i milczysz. Tato – powiedział czule – co się z tobą dzieje? Źle się czujesz? Chcesz się położyć do łóżka? Mam się tobą zaopiekować?

Podczas gdy Norman mówił, umundurowany nieznajomy stanął za jego plecami i ruchem ręki nakazał panu Angusowi, aby również stanął obok. Norman nie zwrócił uwagi na ich manewry.

– Ojciec źle się czuje – powiedział do nich, wciąż nie podnosząc wzroku. – Muszę go położyć do łóżka i wezwać lekarza.

Rabin Zweek spojrział Normanowi w twarz; przeszedł go dreszcz na myśl o nieświadomym szantażu wpisanym w miłość i troskę syna. Zarzucił na niego swoje wątle ramiona i uściśnął go z siłą, która Normanowi przywiodła na myśl przedśmiertny uścisk matki.

– Mój ojciec jest konający – powiedział Norman do nieznanego.

– Chodźmy już – odpowiedział mężczyzna, łapiąc go pod ramię.

– Kurtkę przeciwdeszczowe wzięć musisz – powiedział rabin, łkając.

– Na dworze pada.

Pan Angus i nieznanomy ujęli Normana pod ręce, ponaglając go do wyjścia.

– Zostawcie mnie – krzyknął Norman. – Muszę zostać w domu i opiekować się ojcem.

Mężczyźni stracili cierpliwość; złapali go i powlekli bosego w stronę drzwi. Rabin Zweek zobaczył na ziemi buty syna.

– Buty załóż! Buty załóż! – zaszlochał. Nie mógł znieść widoku bezpieczeństwa butów porzuconych na podłodze. Nieznanomy przełożył je i pchnął nogą w kierunku Normana, który nieporadnie wsunął w nie stopy. Jego obnażone, lśniąco piętę oparły się na przydepniętej skórze.

Rabin zszedł za nimi na dół. Od tyłu jego syn wyglądał zaskakująco staro. Przerzedzone, czarne włosy odstawały po obu stronach głowy. Jego szlafrok był podciągnięty w mocnym uścisku sanitariuszy, nogawki piżamy podwinęły się do kolan. Rabin był zdumiony ilością włosów pokrywających nogi syna. Być może po raz pierwszy w życiu przyjął do wiadomości, że Norman jest dorosłym mężczyzną, może nawet starym mężczyzną, dostatecznie starym – pomyślał rabin – żeby umrzeć z przyczyn naturalnych.

W drodze na ulicę musieli pokonać dwa biegi schodów prowadzące na parter, a następnie wejść od zalepca do prowadzonego przez rabina sklepu spożywczo-przemysłowego, którego frontowe drzwi stanowiły jedyne wyjście na zewnątrz. Norman szarpał się w uchwycie mężczyzn, ale nie wypowiedział ani słowa, obrzydzony jawną niesprawiedliwością, która go spotkała. Dotarli do wąskich drzwi prowadzących do sklepu. Końcówka paska od szlafroka Normana ciągnęła się po podłodze. Rabin Zweek schylił się i podniósł ją czule, jakby podtrzymywał tren panny młodej. Ruszył za grupką w głąb sklepu, stopniowo zwijając pasek.

Bella właśnie obsługiwała klientkę; w kolejce do kasy stało jeszcze kilka kobiet. Bella utkwiała wzrok w skromnym orszaku sunącym przez sklep. Wiedziała, że będzie musiała podnieść ruchomą część lady, żeby ich przepuścić, ale sama również nie chciała przykładać ręki do uprowadzenia Normana, bojąc się, że brat odnotuje jej współudział. Na szczęście klientka stojąca przy przerwie w ladzie – Bogu ducha winna kobieta, niepodatna na oskarżenia – podniosła uchylony blat. Bella pobłogosławiła jej za to w głębi duszy.

– Czy ty też musisz jechać? – spytała ojca. Żadne z nich nie zwracało uwagi na klientów.

– Dużo trudniej zostać – odparł rabin.

Gdy trzyosobowe czoło pochodu dotarło do wyjścia na ulicę, Norman, dotychczas milczący, odwrócił się nagle i stanął przodem do klientów.

– Mam świadków! – krzyknął tryumfalnie. – Wszyscy jesteście świadkami, że mnie zabierają. Wiozą mnie do wariatkowa! – Aż wrzasnęła z przerażenia, gdy dotarło do niego pełne znaczenie właśnie wypowiedzianych słów. – Jeszcze tego pożałujecie! – krzyknął, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Pozwę was wszystkich, jak leci. Posypią się odszkodowania.

Pan Angus wraz z nieznanym wywlekli Normana na ulicę, a rabin Zweck poszedł za nimi, wciąż ściskając w rękach pasek od szlafroka. W progu sklepu przystanął i odwrócił się do klientów.

– Za przykrość państwa ubolewam – szepnął.

Bella odprowadziła ich wzrokiem. Patrzyła, jak mężczyźni wpychają jej brata na tylne siedzenie czarnego samochodu; za chwilę ujrzała przygarbione, odziane w czerń plecy ojca, który wdrapał się do środka za nimi. Wpatrywała się w samochód, dopóki nie zniknął jej z oczu. Odwróciła się do klientów.

– Na dworze pada – powiedziała.

Nieznamy prowadził, cały czas w napięciu kontrolując sytuację za plecami. Norman siedział z tyłu, włoczony między pana Angusa a ojca. Jego współpasażerowie z tylnego siedzenia nie mieli odwagi – każdy z własnych powodów – patrzeć ani na niego, ani na siebie nawzajem. Co prawda Norman był teraz spokojniejszy, ale rabinowi Zweekowi zdawało się, że jego własne ramiona dygoczą od szloch syna. Rabin widywał już płaczących starszuchów czy chłopców, ale nigdy płaczącego mężczyzny. Modlił się, żeby do szpitala nie było daleko. Cokolwiek go tam czekało, chciał mieć to już za sobą. Przez okno widział młode kobiety robiące zakupy oraz dzieci skaczące na palcach po płytach chodnikowych. Przypomnił sobie, że kiedyś Norman bawił się w ten sam sposób. Rabin zaczął się wiercić na swoim miejscu. Dokuczał mu żołądek. Zdawał sobie sprawę, że w jego ciele narasta boleść niemająca nic wspólnego ze zgrozą ogarniającą jego umysł. Po jego plecach rozlewał się dokuczliwy, tępy ból; jego żołądek co chwilę skręcał się w bolesnych skurczach. Na co dzień był zdrowym człowiekiem, nie potrafił pojąć, skąd wzięły się te nagłe objawy. Zastanawiał się, czy Norman również cierpi. Odwrócił się w jego stronę. Norman uśmiechnął się, po czym pochylił się do przodu, najwyraźniej po to, aby poprawić przydepnięte tyły butów. Wykorzystując chwilę nieuwagi obu sanitariuszy, bez ostrzeżenia wyciągnął rękę w stronę drzwi i szarpnął za klamkę. Gdy klamka odskoczyła do poprzedniej pozycji, zdał sobie sprawę, że drzwi są zamknięte od zewnątrz. Wiedział, że wszyscy zauważyli nie tylko jego próbę, lecz również niepowodzenie. To upokorzenie nagle rozbudziło w nim szaleńczą wolę ucieczki. Zaczął bić pięściami w szybę.

– Pomocy, pomocy! – zawołał. Paru ludzi obejrzało się za pomyłkowanym przytykającym twarz do szyby.

– Dajecie sobie radę? – spytał kierowca, nie odwracając się do tyłu.

Norman zdążył już wstać. Walił w okno, próbując zwrócić na siebie uwagę przechodniów.

– Jak zobaczysz jakiegoś policjanta, zatrzymaj go – nakazał kierowcy pan Angus.

– Nie, nie – zaprotestował rabin Zweek. – Pozwólcie, co ja spróbuję. Norman, usiądź, proszę cię, proszę, dla mnie to zrób. Policjanta nie zatrzymujcie – próbował ubłagać pana Angusa. – Ja uspokoić spróbuję.

Pan Angus objął Normana w pasie i spróbował ściągnąć go na podłogę samochodu.

– Niech go pan złapie za nogi – krzyknął do rabina, jednak ojciec nie był w stanie tego zrobić. W swoim szaleństwie syn osiągnął pewną wyniosłą nietykalność, która dla rabina Zweeka stała się niemal święta. Rabin przyglądał się bezradnie poczynaniom pana Angusa, który ostatecznie zdołał przewrócić Normana na podłogę, po czym rozsiadł się na swoim miejscu i – niczym jakiś zdobywca – postawił obie nogi na ciele pacjenta.

– Nie zwracaj sobie głowy policją – powiedział do kierowcy pan Angus. – Teraz wszystko będzie w porządku. – Z pewną irytacją otrzepał ubranie i przycisnął stopą brzuch Normana.

– A teraz się zamknij – zwrócił się do pacjenta – dosyć już nam sprawiłeś kłopotów. – Nawet w oczach tych, którzy zawodowo zajmowali się chorymi umysłowo, szaleńcy byli grzesznikami i zasługiwali na karę. Rabin nachylił się nad synem i pogłaskał go po głowie. Czoło Normana sływało potem; rabin czuł, że syn ma gorączkę.

– Temperaturę ma – powiedział do Angusa oskarżycielsko.

– To nie jedyne, co ma – odparł Angus.

Budynki zostały gdzieś za tylną szybą; niebawem samochód wjechał na wiejską drogę. Rabin Zweek wtulił się w płaszcz, próbując odciąć się od otoczenia i zapadając się głęboko w bezosobowe rozmyślenia nad sytuacją, której realiów nie potrafił pojąć. Bez przerwy wpatrywał się w Normana, wlewając w swoje spojrzenie całą miłość, którą go darzył. Miał nadzieję, że syn nie odbierze tego opacznie.

Jednak Norman, leżąc na podłodze, nie był świadomy żadnego ruchu ojca; nie był świadomy nawet samego siebie – ani skierowanych na niego ojcowskich spojrzeń, ani urągającego mu buta wciśniętego w brzuch. Wpatrywał się w górę, w czarną podsufitkę ze sztucznej skóry, która wybrzuszała się i pękała na rogach. Zdawało mu się, że materiał opada i otula go łagodnie niczym całun, przeznaczony specjalnie do użytku przy jego konkretnym, całkiem osobistym konaniu. Tak właśnie się czuł, leżąc na podłodze: to było odejście, wycofanie się ze wszystkich wątpliwości, odstępianie od własnych i cudzych podejrzeń, łagodny odwrót od wszelkiej niepewności. Zamknąwszy oczy, poddał się w pełni spokojowi i radości, które na niego spłynęły.

Rabin wciąż wpatrywał się w twarz syna; obserwował, jak powoli rozkwita na niej uśmiech. „Na razie jest szczęśliwy” – pomyślał. Poczul potężny przypływ czułości. Trącił łokciem pana Angusa, zapraszając go, by podzielił z nim tę krótką chwilę ulgi. Pan Angus uśmiechnął się do niego.

– Już dojeżdżamy – powiedział. – Zaraz będzie po wszystkim.

Rabin Zweck zdążył na chwilę zapomnieć o celu podróży. Teraz, gdy pan Angus przypomniał mu o nim, zadrżał. Samochód sunął wąską, krętą drogą; nigdzie nie było widać żadnych śladów ludzkich osiedli. Ta pustka dawała tylko przedsmak zbliżającego się gorszego odosobnienia.

Norman nagle otworzył oczy. Wyczuł otaczające go więzienie. Spróbował się podnieść, ale but Angusa wpił się mocniej w jego brzuch.

– Wypuście mnie! – krzyknął.

– Zaraz cię wypuścimy – odpowiedział Angus. – Za chwilę będziemy na miejscu.

Norman poczuł, że samochód gwałtownie skręcił na zalesiony teren ośrodka. Po chwili kierowca ostro zahamował. Pan Angus musiał się zaprzec, żeby nie polecieć do przodu, przez co wcisnął stopę jeszcze głębiej w brzuch pacjenta. Czysty fizyczny ból momentalnie wymazał z umysłu Normana wszelką myśl o przyczynie, o człowieku stojącym za przyczyną, o tym, jak i dlaczego ten człowiek się tam znalazł. Norman wiedział tylko, że za tym cierpieniem kryje się długa, krępująca historia – po części zapomniana, lecz nadal dokuczliwie obecna. Tymczasem jednak sam ból stanowił problem ponad jego siły, trzymał się więc za brzuch, podczas gdy Angus i kierowca wywlekali go z samochodu.

– W czym problem? W czym problem? – krzyknął rabin, żywiący nikłą nadzieję, że oto wreszcie znalazło się jakieś autentyczne, namacalne wytłumaczenie zaburzeń syna. – Zapalony wyrostek – zawyrokował tryumfalnie. Podzielił się swoją diagnozą z ubranymi na biało mężczyznami, którzy przyszedli do nich szpitalnym korytarzem. – W szpital odwieźć jego musicie. Natychmiast.

– Zaopiekujemy się nim. Bez obaw – odpowiedział jeden z pielęgniarzy. – Próbują przeróżnych sztuczek, żeby się stąd wydostać – zagał swobodnie, jakby rabina Zwecka z nowym pacjentem łączyło jedynie czysto zawodowe zainteresowanie.

– Ojcem jestem – wyjaśnił rabin.

– Proszę sobie usiąść – odparł pielęgniarz łagodnie. Rabin Zwick nie chciał jednak spuścić Normana z oczu. Dotarli do holu przed głównym oddziałem. Pomieszczenie było obstawione stołami; mężczyźni w piżamach i kapciach nosili kubki z herbatą i talerze, na których leżały kromki chleba z masłem. Otaczała ich aura bezgranicznej słabości, charakterystyczna dla mężczyzn ubranych w piżamy: bezradnych, odkrytych i bezbronnych. Jeden z nich, jakiś łysy jegomość, poklepał Normana po ręce. Nowa twarz zawsze wywoływała poruszenie na oddziale. Dawała nadzieję na urozmaicenie w codziennej monotonii cudzego szaleństwa. Po jakimś czasie miało się już dość człowieka, który twierdził, że jest ślimakiem albo faceta, który połykał wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Przybycie nowego pacjenta mogło przynieść interesujące zmiany.

– Czołem, stary – powiedział łysy. – Chrystus już na ciebie czeka. Przebierz się w piżamę, to cię do niego zabiorę.

– Daj spokój, Harry. Żeby stanąć przed obliczem Chrystusa, potrzebujesz żakietu – wtrącił inny pacjent, popisując się żalonym humorem obłąkanego, który natrząsa się z drugim obłąkanego.

Łysy mężczyzna odmaszerował ze swoim kubkiem herbaty, uśmiechając się pod nosem. Po chwili zastanowienia wrócił jednak pośpiesznie do Normana.

– Myślą, że oszaleliśmy – szepnął. – Ale mnie to nie obchodzi. Chrystus przyjmuje tylko szaleńców, więc wcale nie chcę nie być szalony! – ostatnie zdanie wykrzyczał do swoich sączących herbatę kolegów. Niektórzy wybuchnęli śmiechem, inni byli zbyt zamknięci w sobie, aby w ogóle zwrócić na niego uwagę. Puścił rękaw Normana. – Alleluja! – krzyknął, wolną ręką wykonał znak krzyża, po czym skoczył między stoły. – Alleluja, włóczę się, alleluja, włóczę znów! – śpiewał, dopóki pielęgniarz go nie złapał i, poklepawszy po plecach, nie posadził na krzesło.

Ograniczone pozostałości zdrowia psychicznego Normana nagle dotkliwie doszły do głosu. Popatrzył na ojca, omiatając jednym spojrzeniem zarówno jego, jak i całe groteskowe otoczenie, po czym powiedział:

– Dziękuję za to, co mi zrobiłeś. Bardzo ci dziękuję.

Rabin Zweek złapał się najbliższego krzesła. Pielęgniarz pomógł mu usiąść.

– Nie ma pan najmniejszego powodu, żeby się obwiniać – powiedział. – Zrobił pan to, co dla syna najlepsze.

Wyprowadzili Normana do malutkiego pokoju sąsiadującego z herbacianym korytarzem; rabin Zweek widział, że zamknęli za sobą drzwi. Wpatrywał się w poplamioną biel obrusa leżącego przed nim na stole. Kątem oka zobaczył, że jakiś mężczyzna siada po drugiej stronie. Ręce o brudnych paznokciach postawiły na blacie talerz chleba z masłem, po czym złożyły herbatę ze spodka z powrotem do kubka. Na niektórych spośród kromek chleba rabin dostrzegł cienką warstwę dżemu malinowego. Ucieszył go ten lekki powiew luksusu; uśmiechnął się do mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Czuł potrzebę, by porozmawiać z tym starszym człowiekiem. Chciał opowiedzieć komuś o synu. Musiał zostawić tu Normanowi anioła stróża, który opiekowałby się nim podczas pobytu w szpitalu.

– Pan tu dawno? – spytał rabin nieśmiało.

Staruszek nie odpowiedział.

Rabin podjął kolejną próbę: – Pan niedługo do domu wyjdzie?

Mężczyzna ugryzł kanapkę i zapił herbatą.

– Wszystko panu w porządku? – dociekał rabin Zweek.

Mężczyzna wstał od stołu z połową kanapki wciąż wystającą z ust. Ujął kubek w dwie dłonie, po czym zdecydowanym krokiem odszedł korytarzem i zniknął w głębinach oddziału.

– Zostawcie mnie! Nic nie mam w kieszeniach! – za drzwiami rozległy się krzyki Normana. Rabin Zweek odruchowo wstał, by ruszyć synowi na pomoc, ale pielęgniarz zdążył już podejść, aby go powstrzymać.

– Co oni mu robią? – szepnął rabin.

– To rutynowa kontrola – odpowiedział sanitariusz. – Jeśli wniesie w kieszeniach jakieś tabletki, żeby je tutaj brać, leczenie będzie pozbawione sensu. Musimy się upewnić, że nic przy sobie nie ma.

Rabin pokiwał głową. Popierał ich podejście. Po prostu nie mógł znieść upokorzenia syna.

– Mordercę, co jemu sprzedaje, dopaść muszę – poprzysiągł sobie. – Jak nie dopadnę, Norman wyjdzie i znowu zacznie. Do domu pojedę, szuflady przetrząsnę, wszystko do góry nogami wywrócę i znajdę, znajdę... – Zdał sobie sprawę, że mówi to wszystko na głos. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że siedzi przed nim inny mężczyzna, tym razem młodszy. Jego paznokcie były przycięte i czyste, jedną ręką trzymał kubek, a drugą dostojnie podnosił kanapkę do ust. Uśmiechnął się do rabina.

– Czy pana syn grywa w szachy? – spytał. Mówił łagodnie, z arystokratycznym akcentem.

– Owszem – odpowiedział rabin, przepełniony nadzieją. Może to był wreszcie człowiek na tym samym poziomie co Norman.

– To dobrze – odparł mężczyzna – nie grałem od sześciu miesięcy. Wtedy wyszedł ostatni szachista.

– Pan tu dawno? – rabin Zweek spytał, nie bez obaw.

– Tym razem sześć miesięcy.

– Tym razem?

– Kiedyś przesiedziałem tu rok.

Rabin chciał się dowiedzieć, co z nim jest nie tak. Może to samo, co z Normanem? Czy Norman też był skazany na kolejne powroty do szpitala, tak jak ten tutaj?

Gdy mężczyzna uniósł kubek do ust, rękaw jego jedwabnego szlafroka zsunął się prawie do łokcia, odsłaniając krąg czerwonych blizn na nadgarstku – bransoletę samobójcy. Rabina przeszedł dreszcz.

– Zaopiekuję się pana synem – powiedział mężczyzna. – Niech się pan o niego nie martwi.

– Nie najlepszy z niego szachista – oznajmił rabin. Teraz próbował wybawić Normana od opieki tego człowieka. – Tak w zasadzie – mówił dalej – Norman w szachy grać nie lubi, chyba coby zupełnie sam. Tak, wtedy lubi.

Rabin miał właśnie rozwinąć wątek niechęci syna do wszelkiego towarzystwa, kiedy drzwi na końcu korytarza otworzyły się i stanął w nich Norman: okiełznany, pokonany i bosy. Ścisnął kurczowo rękę pielęgniarza, który wcześniej wyszedł po nich przed szpital. Nie obejrzał się w stronę ojca. Powłókł się u boku sanitariusza w stronę oddziału niczym dziecko idące z matką do parku. Rabin patrzył za nim; śledził wzrokiem końcówkę jego paska od szlafroka, który po chwili zniknął za progiem drzwi prowadzących na oddział. Nie wiedział, co robić. Bał się iść do Normana, lękał się również wstać i pójść do domu. Siedział więc w miejscu, przeklinając bezimiennego dostawcę zaopatrującego jego syna i przysięgając na głos, że go wytropi.

Po chwili pielęgniarz wrócił z oddziału i podszedł do rabina.

– Może się pan teraz zobaczyć z synem – powiedział – na chwilę.

Rabin Zweck zawahał się.

– Bez obaw – pocieszył go pielęgniarz. – Już się opanował. Podaliśmy mu środek uspokajający, więc zaraz zaśnie.

– Czy prosił, cobym przychodził? – spytał rabin.

– Proszę do niego podejść – powiedział pielęgniarz, pomagając rabinowi wstać z krzesła.

Rabin Zweck był przestraszony. A jeśli Norman wcale nie chce go widzieć, to jak ma odmówić – bezbronny, zapewne przykuty do łóżka? Czy zostało między nimi jeszcze coś, co któryś z nich potrafiłby wyrazić słowami? Jednak rabin nie mógłby nie pójść na oddział, zresztą pielęgniarz już go tam prowadził. Nie wiedział, czego się spodziewać za zamkniętymi drzwiami. Czekając przed oddziałem, widział mężczyzn, którzy z niego wychodzili – mężczyzn o identycznych twarzach bez wyrazu, pozbawionych nadziei, a mimo to żywiących jakieś nadzieje.

Sala zdawała się nie mieć końca. Po obu stronach ciągnęły się rzędy przerażająco równo ustawionych łóżek. Na niektórych siedzieli lokatorzy, w innych pod kocami kuliły się kłębki nieszczęść, ale zasadniczo wszystkie były na swój sposób puste. Pomiędzy dwoma rzędami łóżek kręcili się mężczyźni w kapciach, łązili tam i z powrotem, jakby czekali na peronie, do którego dawno nie podjeżdżają już pociągi. Rabin poczuł, że chce już wracać do domu, jednak właśnie w tym momencie dostrzegł Normana, czy raczej bryłę jego skulonego ciała spoczywającą na łóżku w połowie długości sali. Sylwetka była taka sama jak wszystkie wokół – zwarta, spokojna i pusta – jednak po nagłym ukłuciu w kroczu rabin Zweek rozpoznał, że oto patrzy na swojego syna. Pielęgniarski podsunął do łóżka krzesło, aby rabin mógł usiąść, po czym zostawił go całkiem samego.

Rabin dotknął bryły leżącej na łóżku.

– Norman? – zagadnął. – To tata.

Kształt ukryty pod kocem ani drgnął. Rabin pomyślał, że być może Norman nie dosłyszał. Wstał i nachylił się nad zawiniątkiem.

– Norman – powtórzył. – To tata.

– Zabierz mnie do domu – szepnął Norman.

Rabin Zweek rozejrzał się wokół. Szachista szedł w ich kierunku, niosąc szachownice. Rabin pokręcił głową.

– Nie teraz – szepnął, gdy mężczyzna podszedł bliżej. – Syn zdrzemnął zechce.

Rozczarowany szachista wzruszył ramionami. Oddalił się niespiesznie i dołączył do grupy mężczyzn wędrujących między łózkami.

– Norman. – Rabin Zweek podjął kolejną próbę.

Norman ściągnął koc z twarzy. Widać było, że przed chwilą płakał.

– Co oni w tamtym pokoju zrobili? – spytał rabin.

– To ty mnie tutaj przywiozłeś – powiedział Norman.

– Dla twojego dobra. Tak lekarze mówią. – Rabin Zweek nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

– Ależ tato, ty sam im powiedziałeś, że mogą mnie zabrać. Mogłeś ich powstrzymać. Zabierz mnie do domu, proszę. – Norman wybuchnął płaczem.

Rabin próbował być stanowczy. Podtrzymał głowę Normana w ramionach.

– Trochę zostań – powiedział. – Tylko parę dni. Jeśli dziś do domu wrócisz, znowu tabletki zaczniesz.

– Nie zacznę, nie zacznę! – krzyknął Norman. – Obiecuję. Już nigdy ich nie tknę. Nigdy. Dobrze wiem, co one ze mną robią. Obiecuję. – Łzy popłynęły obfitym strumieniem z jego opuchniętych oczu.

To było ponad siły rabina. Zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno właściwie postąpił. Przez chwilę igrał nawet z myślą, że mógłby przemycić Normana na zewnątrz. Spojrzał na łóżko stojące pod przeciwległą ścianą. Wcześniej nikogo tam nie widział, ale teraz stwierdził, że bacznie przygląda mu się stamtąd mężczyzna oparty o poduszki upchnięte za plecami.

– Na co gapi? – krzyknął do niego rabin. – Nie twój interes! – Ogarnął go szal rozpacz. – To mój syn! – krzyknął. – Na co gapi?

Mężczyzna nadal niewzruszenie wpatrywał się w niego.

– Na co gapi? – krzyknął ponownie rabin.

Norman usiadł w pościeli.

– Cicho, tato – powiedział. – Nie zwracaj na niego uwagi. To wariat. Wszyscy tutaj są pomyleni. Zabierz mnie do domu, proszę.

– Z lekarzem porozmawiam – odpowiedział rabin. Wiedział, że nie powinien tego mówić. Co prawda było to bolesne, ale musiał tu zostawić syna.

– Idź do niego od razu – powiedział Norman. – Ja poczekam na ciebie tutaj – dodał wspaniałomyślnie.

– Słuchaj – odparł ojciec – zostać tu musisz. Dla własnego dobra – dodał bezradnie. – Może nawet nie na długo. Lekarza zapytam – nie mógł się powstrzymać przed tą wzmianką.

– Idź, spytaj go teraz.

– Kiedy wyjdę. Wychodząc jego zapytam.

Norman popatrzył na niego z nienawiścią.

– Coś ci powiem. Jestem tak samo normalny jak ty, cokolwiek to znaczy, ale jeśli zostanę w tym wariatkowie choćby na parę dni, to oszaleję, tak jak cała reszta. Przysięgam. Chcesz, żebym zwariował? – spytał ojca.

Pielęgniarz podszedł do łóżka i gestem ręki dał rabinowi do zrozumienia, że pora wychodzić. Rabin Zweek był wdzięczny sanitariuszowi za to, że po niego przyszedł. Z drugiej strony ulga, którą poczuł, wzbudziła w nim poczucie winy.

– Do zobaczenia, Norman – powiedział, rozgniewany własną słabością. – Teraz już pójdę, dłużej mi tu siedzieć nie pozwolą. Zdrzemnąć powinienes.

Norman zanurkował pod koc.

– Do zobaczenia, Norman – powtórzył rabin Zweek.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nachylił się nad łóżkiem i pocałował obleczony kocem garb, po czym pozwolił pielęgniarzowi delikatnie wyprowadzić się z oddziału.

Za drzwiami rabin poprosił o możliwość rozmowy z lekarzem. Jak jednak miał się nauczyć podczas swoich przyszłych wizyt, spotkanie się z lekarzem w szpitalu psychiatrycznym wymagało nie lada szczęścia. Należało pojawić się nie tylko we właściwym dniu, ale i o właściwej porze. Jeśli się nie udało, trzeba było zadowolić się kontaktem z pielęgniarkami: z tym niezliczonym zastępem mężczyzn pchających przed sobą wózki ze środkami uspokajającymi, co godzinę odbywających obchody między łózkami, dawkujących pacjentom zapomnienie lub substytuty złudzeń. Nie, rabin nie chciał rozmawiać z pielęgniarkami. Oznajmił, że chce się widzieć z lekarzem.

– Lekarza teraz nie ma, będzie dopiero jutro.

– Z kim w takim razie mówić? – spytał ulegle rabin.

– Może pan porozmawiać ze starszym pielęgniarzem.

Rabina zaprowadzono do pomieszczenia, w którym Norman był wcześniej przeszukiwany. Ku zdziwieniu rabina pokój okazał się bardzo mały i niepozorny: stół, parę krzeseł, wózek z lekarstwami. Za stołem siedział ubrany na biało pielęgniarz. Gdy rabin wszedł, mężczyzna wstał i podsunął mu krzesło. Rabin spostrzegł, że pod krzesłem leży jeden z butów Normana – przydepnięty na pięcie i całkiem opuszczony. Rabin Zweek wybuchnął płaczem, otwarcie i bez skrępowania. Pielęgniarz położył rękę na jego rękawie.

– Wszystko będzie w porządku – powiedział. – To najtrudniejszy moment, zwłaszcza dla pana.

– Jak długo zostanie?

– Nie potrafię powiedzieć – odparł pielęgniarz. – Jutro zbada go lekarz.

– Jutro przychodzić mam? – spytał rabin.

– Lepiej poczekać kilka dni. Może pan dzwonić o dowolnej porze.

– Skąd on bierze? – spytał rabin Zweck. – Dowiem tego, dom cały przetrząsnę. Tego, co jemu sprzedaje, znajdę. – Oklapł bezradnie na krzesło.

– Proszę się tym nie martwić – powiedział pielęgniarz. – Zatrószymy się najpierw o pana syna. Uspokoi się po paru dniach. Myślę, że nawet mu się u nas spodoba.

Rabina przeszedł dreszcz. Wcale nie chciał, żeby synowi się tu spodobało. Pragnął, żeby Norman wrócił do domu, bez żadnych cukrowych rybek, i zachowywał się jak kochający syn.

– W domu je widzi – powiedział bezbarwnym głosem. – Wszędzie je widzi. Słyszy, zapach czuje. Przy nim żyją. Dlaczego to właśnie mojemu synu stało? Mojemu zdolnemu synu? – powiedział prawie do siebie.

Pielęgniarz nachylił się nad stołem.

– Rabinie – powiedział – gdyby rabina syn wyszedł do ogrodu i po powrocie powiedział: „Ojcze, widziałem płonący krzak!”, czyż nie otrzymałby od rabina błogosławieństwa?

Odprowadził rabina Zwecka do drzwi. Na korytarzu już czekał na niego kierowca. Pan Angus gdzieś zniknął, tak więc w długiej drodze powrotnej rabin był jedynym pasażerem.

– Dom cały przetrząsnę – powtarzał raz po raz. Wciąż dzwonił mu w uszach błagalny ton głosu Normana proszącego, by zabrał go do domu.

Kiedy wrócił, w sklepie nie było ani jednego klienta. Bella siedziała za ladą. Podobnie jak ojciec wołała już nie rozmawiać o tym wszystkim. Próbowwała nakłonić go, żeby się położył, ale był zbyt niespokojny. Z trudem poczłapał po schodach do mieszkania, po czym, nie zdejmując nawet płaszcza, poszedł prosto do pokoju Normana.

Z początku rabin Zweek gorączkowo otwierał wszystkie szuflady i przetrząsał ich zawartość rozbieranymi palcami. Po chwili usiadł na łóżku wyczerpany. Wiedział, że czeka go żmudna praca. Materiałów nie brakowało, a każdy świstek mógł stanowić wskazówkę – lub poszlakę prowadzącą do wskazówki – w sprawie mordercy Normana. A może było więcej morderców – cała sitwa skrytobójców bogacących się na łaknieniu jego syna?

Na łożu śmierci jego żona – niech spoczywa w pokoju – przekazała Normanowi tę sypialnię wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza. Wszystkie papiery, które gromadziła, nadal tu leżały, a nieład wprowadzony już przed laty teraz jedynie pogłębił się dzięki szpargałom Normana. Podczas pobieżnego rekonesansu rabin natknął się na świadectwo ślubu, szkolne cenzurki, akty urodzenia, potasowane jak popadnie, bez względu na chronologię wydarzeń. Tak, czekała go żmudna praca; Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie jeszcze nieistotne, acz bolesne znaleziska miały przejść mu przez ręce podczas tych poszukiwań. Rabin opatulił się płaszczem. Czuł, że jego ciało jest zmarznięte. Siedząc na łóżku naprzeciwko rozgrzebanych szuflad, poczuł się jak złodziej. Był zły na siebie za to, że dobrowolnie zabrał się za tę pracę. Nikt nie ma prawa naruszać prywatności drugiego człowieka w sposób, w jaki właśnie sam to zrobił. Poczuł mdłości na samą myśl o tym, jak niemoralnie postępuje. Przed przystąpieniem do obszukiwania cudzych kieszeni należy zaczekać, aż właściciel umrze; a nawet później czyn ten lekko pachnie zdradą. Rabin Zweek musiał to jednak zrobić; prosił Boga, by ten wybaczył mu jego wiarołomstwo. Żywił głęboką nadzieję, że Norman w tym czasie śpi.

Wstał z łóżka, wciąż wpatrując się w szuflady. Od czegoś musiał zacząć. Przykleknął i zaczął kartkować pliki dokumentów, poszukując czegoś, co obciążałoby jego syna w możliwie najmniejszym stopniu i zawierało jak najmniej informacji o jego życiu prywatnym. To tylko tak na początek – obiecywał sobie – potem oczywiście trzeba będzie przystąpić do rzetelnej pracy. Przetraszając jedną z szuflad, zignorował dzienniki Normana i zwitek jego listów. Bał się tej lektury, zamknął więc oczy i ukrył groźne materiały na dnie szuflady. Miał nadzieję, że już nigdy ich nie znajdzie. Po chwili natknął się na wyświechtany, wyblakły pergamin. Położył złożony dokument na podłodze. Kiedy go otwierał, arkusz zaczął lekko pękać na zgięciach. Rozprostował go ostrożnie. W roztaczającym aurę urzędowego majestatu dokumencie, opieczętowanym i oznaczonym czerwonym lakiem, rabin Zweck rozpoznał swój akt naturalizacji. Uśmiechnął się. To znalezisko go ucieszyło; nie miało nic wspólnego z Normanem. To był okruch jego własnego życia, i to budzący tak nieszkodliwą nostalgię, że można mu było przyjrzeć się bez obaw. Próbował przymusić pamięć, by odkryła przed nim początki jego historii. Otoczony chaosem zaniedbania i nieciągłości, rozpaczliwie pragnął określić ten jeden punkt odniesienia: siebie samego, stawiającego pierwsze kroki w Anglii, na długo przed pojawieniem się jego żony Sarah – Panie, obdarz ją pokojem – i jego syna Normana – Panie, przyjdź mu z pomocą. Chciał zrzucić z siebie lata małżeństwa i ojcostwa; narodziny dzieci i śmierć Sarah. Chciał zedrzeć powłokę wszystkich uwarunkowań i ociosać siebie z powrotem do tego krótkonogiego, upartego konkretnego, reagującego na imię Abraham Zweck.

Położył otwartą dłoń na dokumencie i skoncentrował się na statku, którym przyплыł do Anglii. Chwycił się balustrady na burcie, aby nie pozwolić ulecieć wspomnieniu. Przy całym ogarniającym go smutku i niepokoju ucieczka w przeszłość miała znaczenie nadrzędne, terazniejszość była bowiem nie do zniesienia. Złapał się mocniej poręczy. Musiał trzymać się jej wystarczająco długo, aby chłodna stal zmaterializowała się w jego dłoniach. Kiedy poczuł dotyk relingu, zimnego i niezaprzeczalnie rzeczywistego, wiedział, że jest już bezpiecznie otulony swoim dwudziestotrzyletnim ciałem – prawie pięćdziesiąt lat temu – zwróconym w stronę nieznanego, groźnego łądu.

Na widok wybrzeża zrobiło mu się słabo. Zarówno oczekująca go rzeczywistość nowego życia, jak i wspomnienie zerwanych więzów oraz domu pozostawionego na Litwie, straciły jakiegokolwiek znaczenie podczas morskiej podróży. Teraz, wpatrując się w brzeg, Abraham doświadczył na nowo bólu rozstania oraz niepokoju o to, co czeka go po przybyciu. Już nigdy nie ujrzy rodziców. Tego był pewien. Bez wątpienia oni również o tym wiedzieli. Jego braciom – obaj byli już żonaci i mieli dzieci – dużo trudniej było wyjechać, wysłali więc przodem Abrahama, dzieciaka, aby zbadał teren i w dogodnym momencie wezwał ich do siebie. Zadrzał na myśl o odpowiedzialności spoczywającej na jego barkach; z lekkim rozgoryczeniem pomyślał o oczekiwaniach braci.

Odwrócił się plecami do nadciągającego brzegu. Popatrzył w dół i przyjrzał się sobie. Jego ciasne, czarne buty i białe, wełniane pończochy wystawały niechlujnie spod krawędzi niedopiętego chałatu. Cień jego czarnego kapelusza z szerokim rondem przewędrował po czubkach butów. Kiedy nachylił się do przodu, jego pejsy również przyłączyły się do gry cieni. Kiwał się w tę i we w tę, próbując ustawić kontur kapelusza dokładnie na butach, z pejsami zwisającymi równolegle po bokach. W końcu uzyskał pozycję, w której cały obraz był symetryczny: buty pośrodku, cień kapelusza nasadzony na ich czubki, pejsy w roli nawiasu. Utrzymawał elementy swego dzieła w niezmiennym położeniu, dopóki para marynarskich butów nie wkroczyła w kadr i nie zburzyła kompozycji. Gdy Abraham Zweek podniósł wzrok, ujrzał uśmiechniętego oficera.

– Dobijamy za pół godziny – poinformował marynarz. Abraham uniósł brwi, co było najbezpieczniejszą reakcją w przypadku, gdy nie rozumiało się języka. Wyraz jego twarzy mógł oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”; dopuszczał również takie niuanse jak „być może” czy „tym niemniej”. Kiedy oficer ruszył w swoją stronę, Abraham Zweek odwrócił się z powrotem do wybrzeża, które w międzyczasie zdążyło podkraść się bliżej, namacalne i niezaprzeczalnie obecne.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, aby jeszcze raz spojrzeć na skrawek papieru będący jego jedynym punktem odniesienia w czekającym go obcym świecie. Przyjrzał się zmiętej karteczce. Poszukiwaną osobą był rabin Salomon, zamieszkały pod numerem 16 przy ulicy o niemożliwej do wymówienia nazwie, zakończonej znakami E.2. Abraham zszedł po drabince na dolny pokład. W kącie czekał na niego stosik paczek, które pozostawił tam, gdy postanowił wybrać się na górny pokład, aby zaczerpnąć powietrza. Kiedy zaczął je podnosić, sznurek zsunął się z jednej z nich, a rozdarty brązowy papier odsłonił wyściółkę z rosyjskich gazet. Próbował dociągnąć do siebie krawędzie dziury, ale sznurek zsunął się do końca, a Abrahama otoczyły nagle zwinięte skarpety, wełniana bielizna, jego *tales*, *sidur* i biała pończocha bez pary. Potrząsnął papierem, by upewnić się, że nic nie zostało w środku. Na pokład spadła druga pończocha i nic poza tym. Przeszedł go dreszcz upokorzenia. Zaiste, był tylko biednym Żydem, i to na dodatek takim, który nie potrafi się nawet porządnie spakować – a umiejętność ta stanowi przecież jeden z największych talentów jego ludu. Podniósł modlitewnik, ucałował go, po czym wstał i rozejrzał się wokoło. Owszem, tylko tyle miał. Tylko tym był: ciałem i środkami pozwalającymi mu na funkcjonowanie. Ta rozerwana paczka go obnażyła; gdy zdał sobie sprawę z obecności gapiów, poczuł się zawstydzony – nie swoją nędzą, ale nagością. Położył rękę na kroczu, ścisnął w garści czarną alpaka płaszcza i schylił się, aby pozbierać resztę siebie. Poruszał się powoli, licząc na to, że grupa gapiów niebawem się rozproszy. W końcu usiadł na pokładzie i solidnie przewiązał swoją paczkę, po czym wstał i zszedł po trapie w ślad za innymi pasażerami.

Później ruszył za nimi w stronę Londynu – przeszedł przez odprawę celną i wszedł do pociągu, nie wymawiając ani jednego słowa i tylko od czasu do czasu unosząc brew. Nie przypominał już sobie teraz, jak dotarł pod właściwy adres na londyńskim East Endzie. Pamiętał tylko, że ludzie gapili się na niego na ulicy i w dziwnych tramwajach; że często sprawdzał sznurek, chcąc upewnić się, czy paczka jest dobrze zawiązana. A później już coraz mniej osób się za nim oglądało. Zaczął zauważać mężczyzn podobnych do siebie – ubranych w chałaty i białe pończochy, niosących paczki. Jeden z nich nawet przywitał się w jego ojczystym języku. Były też sklepiki, takie same jak w rodzinnych stronach, z wystawionymi na zewnątrz beczkami śledzi i czarnych oliwek. Po raz pierwszy od dnia wyjazdu poczuł się szczęśliwy.

W przyprawie pewności siebie wszedł do jednego ze sklepów i pokazał świstek z adresem mężczyźnie stojącemu za ladą. Tamten podniósł wzrok i przemówił w jidysz. Skąd przyjechał? Kim był? A jego ojciec? Jaki interes prowadził? Owszem, że się sprawy coraz gorzej mają, wiedział. Każdego miesiąca coraz więcej ludzi *hejm* opuszczało, tutaj jechali. A tu również najlepiej nie było. Antysemityzm? Jak najbardziej. A co? Tam gdzie Żydzi, tam antysemityzm. Czy ja tu wyżyję? Cztery córki mam. Wyżyć jakoś muszę. A ty, chłopcze? Z czego wyżyjesz? Rabinem zostać chcesz? Bo rabinów już nam za mało. No cóż, każdy ma swój *geszef*.

Mężczyzna nagle urwał i przyjrzał się nieznajomemu młodzieńcowi. Podniósł ladę i powiedział:

– Wejdz. Szklanke herbaty z cytryny napijesz. Reb Salomon rzut kamienia stąd mieszka. Córki cię zaprowadzi.

Kuchnia znajdowała się zaraz za sklepem. Stała tam cała czwórka – wszystkie podobne, niemal nie do odróżnienia – odwracały się do siebie i chichotały.

– Sadie, Sarah, Leah i Rachel – powiedział ojciec, odfajkowując swoje potomstwo. – Szklanke herbaty z cytryny naszemu gościu.

Wszystkie podeszły do samowaru stojącego pośrodku stołu. Jedna z nich się uśmiechnęła i to jej Abraham Zweek oddał swoje serce. Z miejsca i na zawsze. Była w jego wieku, może odrobinę młodsza.

– A ty, to która? – spytał w jidysz. Dziewczęta zachichotały.

– *Gojim*, te moje córki. Jidysz tyle znają, co kot napłacze. Sarah – krzyknął – jak ci na imię, panu powiedz.

Skinęła głową. Tak, miała na imię właśnie tak, jak powiedział ojciec. Zarumieniła się z wysiłku, jaki sprawiło jej przedstawienie się.

Abraham Zweek przyjął herbatę, którą podała mu jedna z pozostałych. Wszystko działo się tak szybko. Jeszcze parę minut temu był nieznanym, otoczonym przez wszystko, co obce, wyśmiewanym, tropionym i upokarzonym. A tu nagle inni zrobili się tacy jak on, jak w domu – z takimi samymi ubraniami i językiem, z takimi samymi sklepami, zmartwieniami i córkami na wydaniu. Ogarnęło go nieodparte przecucie, że wreszcie dotarł do celu. Włożył do ust kostkę cukru i głośno siorbnął herbatę. Zupełnie jak w domu.

– Na rabina nie warto się sposobić – zaczął ojciec. – Dla ciebie – stwierdził, mierząc go wzrokiem tak, jakby znał go już od lat – interes lepszy będzie. Własny interes. Ożeń się, rodzinę załóż. Żadnych kłopotów – na chwilę zamilkł, rozważając własną sytuację. Sam nie był najlepszym dowodem na słuszność swoich rad, jednak szybko się jednak zebrał w sobie. – Zwłaszcza z żoną do pomocy – dodał. – Biedna Chaja, umarła, kiedy dziewczynki malutkie były. Drugą żonę powinienem wziąć – zadumał się – ale to już nie to samo. Ten *rabiniszkejt* sobie daruj – prawie krzyknął. – Interes znajdź. Własny interes. Sarah – zawołał – jeszcze panu lej.

Rozmawiali. O miasteczku Abrahama, jego rodzinie, jej problemach. To była znajoma historia. Wszyscy to znali; *sztetle* na wschodzie, a teraz i na zachodzie wyrastały z jednego korzenia. Sklepiarz biegle władał jidysz, ale czasami wtrącał pojedyncze angielskie słówka, których znaczenia Abraham Zweek domyślał się z ogólnego sensu zdania. Właśnie w ten sposób miał się uczyć języka przez pierwszy rok spędzony w Anglii – zbierając wszystkie te obce angielskie wtrącenia, dla których rozmówcy nie potrafili znaleźć odpowiednika w jidysz. Słówka takie jak „szafa”, „konserwatywny”, „piecyk elektryczny”. Setki pojedynczych słów, które razem wzięte dały Abrahamowi imponujący słownik, ale znikomą znajomość języka. Jego rozmowy zaczęły z kolei brzmieć jak odwrotność wypowiedzi jego przyjaciół. Ramy swojej łamanej angielszczyzny wypełniał wtrąceniami w jidysz. Sąsiedzi domyślali się znaczenia jego wypowiedzi na tej samej zasadzie, przy okazji ucząc się od niego więcej jidysz. To był dwujęzyczny samouczek.

Sarah przyniosła mu herbatę. Abraham uśmiechnął się do niej w podziękowaniu, ale ona wstydliwie odwróciła wzrok. Kiedy odchodziła od stołu, ojciec poklepał ją po ramieniu.

– Najstarsze córke – powiedział. – Wykapane mamy. Mam ja rację, *Mamele?* – zawołał za nią. Zachichotała z siostrami. Sklepiarz zauważył, że Abraham na nią zerka. Nachylił się nad stołem. – Najlepsza jest, najlepsza – szepnął.

Wypili herbatę. Abraham ponownie spytał, gdzie mieszka reb Salomon.

– Sarah pokaże – odparł sklepiarz. – Niedaleko. Sarah, kurtkę bierz. – Odwrócił się do Abrahama i, przechodząc na jidysz, spytał: – Chcesz pójść na piętro?

Abraham wolałby zostać i patrzeć na Sarah. Był jednak ciekaw, w jakim stopniu piętro w żydowskim domu w Anglii przypominało piętro w jego domu rodzinnym.

– Tak, pójdę na górę – przystał na propozycję. Sklepiarz nachylił się nad poręczą, żeby nim pokierować.

Zniknąwszy z pola widzenia mężczyzny, Abraham zaczął błąkać się po pokojach. W jednym z nich oparł się o drzwi i wlepił wzrok w komodę stojącą naprzeciwko.

Rabinem Zweekiem wstrząsnął dreszcz. Oto ta komoda, w tym samym miejscu, starsza o pięćdziesiąt lat, a wciąż wypełniona rzeczami Sarah. Skupił wzrok, a to, co w jego wspomnieniach było „tam”, w momencie nagłego przebudzenia zmieniło się w „tutaj”. Owszem, to był właśnie pokój w domu za sklepem, który Sarah odziedziczyła po starym ojcu. Odwrócił wzrok od komody i spojrzał na łóżko, a następnie na powyciągane szuflady, niosące potworne wspomnienie tego, co tu przed chwilą robił.

– Ach – jęknął, składając akt naturalizacji wzdłuż dawnych zgieć. Od dnia swojego przybycia, przez blisko pół wieku, nie zaszedł zbyt daleko. Za oknem widział boczne wejście do synagogi oraz grupkę dzieci wychodzących właśnie z lekcji hebrajskiego. Sam zapewne uczył ich dziadków w tych samych małych, słabo wentylowanych salkach koło kwatery szamesa. Sam zapewne udzielał ślubu ich rodzicom, łącząc ich pod *chupą* według prawa Mojżesza i Izraela. Przepracował w tej synagodze czterdzieści lat, najpierw sposobiąc się na rabina, później pracując jako pełnoprawny rabin, a w końcu, gdy gmina zaczęła się kurczyć, robiąc również za kantora. Na lekcje hebrajskiego uczęszczała już tylko garstka dzieci, a kto to wie, jakie małżeństwa zawrą? Pomyślał o swojej córce Esther, która swego czasu również prowadziła tam lekcje. Zadrżał na myśl o tym, kogo i w jaki sposób poślubiła. Podszedł do okna. Tylko kilka kroków dzieliło drzwi synagogi od wejścia do sklepu na parterze. Na tej przestrzeni zmieściły się wszystkie wysiłki jego życia. Po czterdziestu latach pracy jako rabin któregoś dnia po prostu przeszedł na drugą stronę ulicy i stał się emerytem pomagającym żonie w sklepie. Przyglądał się temu maleńkiemu obszarowi, na którym osiadło już tyle smutku.

Znowu powiedział sobie, iż ma nadzieję, że Norman śpi. Rozejrzał się wokół po zagraconych szufladach, po obnażonej prywatności jego żony i syna.

– Ach – wymamrotał – naprawdę, gdyby płonący krzew ujrzał, tak jak pielęgniarz mówił, *take*, bym mu pobłogosławił. Ale rybki...

Znowu wstrząsnął nim dreszcz. Rabin zdjął buty i zmęczony wdrapał się na łóżko Normana. Przez chwilę wahał się, nie wiedząc, czy wybrać stronę syna, czy stronę żony. Ostatecznie, jakby uznając ich równoprawny, potworny smutek, położył się w poprzek łóżka, biorąc na siebie po równo z obu stron.

Normana obudził ból. Znał tylko jeden sposób na odparcie ataku. Myśl o skrytce w podłodze pod łóżkiem przyniosła mu ulgę, jeszcze zanim otworzył oczy. Coś jednak przykuło go do łóżka – strach, że zaszła jakaś zmiana, podejrzenie, że deska w podłodze gdzieś się przeniosła albo została w końcu przybita gwoździami. Zadygotał na tę myśl. Nie miał odwagi otworzyć oczu, próbował więc w ciemnościach potwierdzić lub zanegować zmianę, której tak się lękał. Pomacał prześcieradło. W dotyku było sztywne i szorstkie. Może po prostu Bella wymieniła je na świeże. Przeciągnął dłonią po poduszce. Poszwa również była wykrochmalona, ale i to dało się wytłumaczyć. Ostrożnie wyciągnął nogę, aby wsunąć stopę w bezpieczną kryjówkę, w linię podziału biegnącą pośrodku łoża matki. Natrafił na chłodną stal ramy łóżka. Przeszedł go dreszcz. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Nie leżał we własnym łóżku.

Przycisnął dłoń do serca, aby stłumić jego lękliwy łomot. Musiał znaleźć jakieś wytłumaczenie tej zmiany, był to winny swojemu ciału. Ze sobą mógł sobie poradzić, musiał jednak jakoś oszukać swoje serce. „Wczoraj wieczorem źle się poczułeś – powiedział do siebie – więc Bella przeniosła cię do gościnnej sypialni z małym łóżkiem”. Ot, i cała historia. Pozostawał jeszcze problem powrotu do sypialni i dobrania się do skrytki w podłodze. W tamtym pokoju mógł teraz nocować ojciec.

Będzie trzeba poczekać. Tak, łatwo jest poczekać z zamkniętymi oczami, wiedząc, że schowek jest tylko dwa pokoje dalej. Ból nie dawał mu jednak spokoju. Będzie trzeba otworzyć oczy i wstać. Najpierw jednak spełził z łóżka po omacku. Gdy jego stopy oparły się na chłodnym linoleum, zyskał przerażającą pewność, że nie znajduje się w domu. Bo w domu był dywan, dom był zarobaczony od fundamentów po dach, dom wypełniony był ślepotą domowników od ściany do ściany. Usiadł na łóżku i otworzył szeroko oczy, próbując zapanować nad ogarniającą go paniką. Właśnie nadchodził ku niemu pielęgniarz pchający przed sobą wózek ze środkami uspokajającymi. Przystanąwszy przy łóżku Normana, wyjął z butelki dwie różowe tabletki i sięgnął do stolika nocnego po szklanekę. Napełnił ją wodą i przeszedł na stronę pacjenta. Wyciągając do niego rękę z tabletkami, powiedział:

– Kiedy je weźmiesz, poczujesz się lepiej. – Jego głos był łagodny. Obywał się bez typowego dla ludzi w białych fartuchach „dzień dobry, jak się dzisiaj mamy”. Odniósł się bezpośrednio do lęku Normana. – Weź je – nalegał – a wtedy przyniosę ci herbaty.

Norman przyjrzał się różowym pigułkom leżącym na dłoni pielęgniarki.

– Nie mój kolor – stwierdził krótko.

– Obawiam się, że tutaj to będzie twój kolor – skwitował pielęgniarz, dorzucając lekki śmiech, mający złagodzić jego niezaprzeczną władzę nad pacjentem.

– Różowe – zachnął się Norman. – Nie, dziękuję. Różowych mi nie wciśniesz. – Już kiedyś brał te różowe. Doktor Levy nieraz go nimi faszerał. Mówił, że to środki uspokajające, ale Norman był nie w ciemności i wiedział, co to jest. To były narkotyki, które sprawiały, że przestawał widzieć rybiki cukrowe. Levy próbował zrobić z niego ćpuna. To były narkotyki, które odpędzały gdzieś jego owady, żeby ojciec i Bella mogli powiedzieć: „A nie mówiliśmy? Przecież w ogóle ich tu nie było”. – Różowy – zakpił znowu – ten kolor, który mówi: „bądźże grzecznym chłopcem”, „nie działaj mi na nerwy”, „pozbadźmy się dowodów”. Dzięki, sam je sobie łykaj. Śmiało, poczęstuj się.

Usłyszał, że głos mu się łamie od bólu, który go przenikał. Odwrócił się od pielęgniarki. Nie chciał, żeby ten niezajomy widział jego bezsilność.

– Nie masz żadnych białych? – zaczął błagać.

– Weź te – powiedział pielęgniarz, po czym ujął dłoń Normana i oplótł jego palcami szklankę. – To na ból – dodał.

Wszystko, wszystko, byle pozbyć się bólu. Nawet różowe. Nie odwracając się, Norman wziął do ręki tabletki. Ich kolor go upokarzał. Wiedział, że jeśli będzie się w nie wpatrywał wystarczająco długo, zmienia się w białe. Siłą woli zmieni je w białe i dostanie kopa, tego wielkiego, nieopisanego kopa, którego dawały mu białe. „To jednak było dawno temu” – przyznał przed sobą. Musiał przyjąć do wiadomości, że ostatnimi czasy kop stał się jak najbardziej opisany, rozmyty i prozaiczny. A kobieta, a miłość, którą dawały mu białe – to też było dawno temu, a teraz pożądanie odeszło. Połknął tabletki, nie zwracając sobie głowy zapijaniem. Nigdy nie kalął białych żadnym płynem, a zwłaszcza ostatnio, gdy brał ich tyle, ile zdołał, i tak szybko, jak to było możliwe. Musiały pozostać twarde i nieskażone żadnymi płynnymi dodatkami. Ale rety, jak niewiele dostawał w zamian. „Nie, nie – skarcił się w myślach – nie czas teraz na skruchę, na otwieranie nowych rozdziałów. Muszę stawić im czoła. Oni nie mają racji”.

– Nie masz racji... – zwrócił się do pielęgniarza, ale tamten zdążył już odejść.

Na oddziale panowało poruszenie. Pacjenci niedawno się wybudzili i teraz byli usypiani na nowo. Mężczyzna z łóżka stojącego naprzeciw przywołał go ruchem ręki. Ten sam mężczyzna – jak pamiętał Norman – który zeszłego wieczora gapił się na ojca i który zapewne przez całą noc wpatrywał się nieustannie w jego łóżko, tak jak teraz. Norman do niego podszedł. Mężczyzna w jednej ręce trzymał tabletki, a drugą wciąż do niego machał. Norman chwycił go za dłoń.

– Jaki kolor dostałeś? – spytał.

Mężczyzna otworzył rękę. Obrażliwy róż był już rozmazany po wnętrzu jego spoczonej dłoni. Sięgnął po szklankę wody, którą pielęgniarz zostawił na szafce koło łóżka. Wrzucił tabletki do szklanki, po czym wylał wszystko do umywalki. Następnie odstawił pustą szklankę i wytarł ręce po całej tej robocie.

– Musisz mieć jakiś inny kolor – jęknął Norman rozpaczliwie.

– A biały to kolor? – spytał mężczyzna.

– Bóg jest dobry, Bóg jest litościwy – szepnęła Norman, po czym opuścił głowę na dłoń nieznanego. – Proszę, proszę – zaczęła błagać.

Mężczyzna jedną ręką podniósł głowę Normana. Drugą włożył w pościel. Kiedy ją wyjął, ułożył głowę Normana z powrotem na miejscu.

– Otwórz buzię, zamknij oczy – powiedział.

Norman uniósł głowę, zerknął na zaciśniętą pięść mężczyzny i rozejrzał się ukradkowo po oddziale. Pielęgniarski kręcił się ze swoim wózkiem po drugiej stronie sali, w bezpiecznej odległości.

– Pokaż – poprosił Norman.

Mężczyzna otworzył dłoń. Leżała na niej pojedyncza biała tabletki.

– To dla ciebie – powiedział wspaniałomyślnie.

Norman przyjrzał się tabletki, następnie mężczyźnie, a potem znów tabletki leżącej na jego dłoni. Najmocniej uderzyła go nie jej kojąca barwa, ale jej potworne odosobnienie. Od wielu lat Norman nie widział pojedynczej tabletki. Jego dzienną dawką była stale zwiększająca się garść – niepoliczalna. W odosobnieniu ta maleńka, biała plamka zdawała się beczelnie wynaturzona. Jak można nie doceniać jego możliwości w tak upokarzającym stopniu? Bądź co bądź, człowiek ma przecież prawo do odrobiny godności. Spojrzał na mężczyznę i roześmiał się.

– Za kogo ty się masz? Za lekarza?

– Jestem ministrem zdrowia – odparł jegomość. – Tę dostaniesz za darmo.

Nadzieja, była jeszcze nadzieja.

– A dostanę więcej za pieniądze? – spytał Norman.

– Z pewnością wiesz, że to wbrew prawu – stwierdził Minister. – Wbrew ich prawu. Tych wariatów z zewnątrz. – Przyklęknął na łóżku. – Niech zacytuję... – zaczął, nadając swemu głosowi ton ministerialnej powagi – niech zacytuję słowa mego odpowiednika w gabinecie cieni. To znaczy w gabinecie z zewnątrz – dodał, chcąc, żeby go dobrze zrozumiano. – Amfetamina – powiedział, obracając to słowo na języku ze zręcznością godną handlarza narkotyków – amfetamina jest równie niebezpieczna, co ciężki towar, a ten jest zakazany prawem. – Przygarbił się na łóżku. – Innymi słowy, kolego, biorąc pod uwagę, że gustujemy w białych, w tych opartych na amfetaminie, obaj łamiemy prawo. To znaczy prawo z zewnątrz – dodał. – Bo tutaj, dopóki będzie gabinet, dopóki ja będę miał zaszczyt piastować mój urząd, dopóty jedyną rzeczą zakazaną prawem, poza odwiedzinami mojej cholernej mamuśki, będzie brak pieniędzy.

– Po ile sprzedajesz? – spytał Norman.

– Funciaka za dzień. Możesz brać, ile chcesz.

Norman nie mógł uwierzyć w szczęście, które go spotkało. W domu musiał płacić ponad dwa razy tyle, i to za ograniczone ilości. Uśmiechnął się na myśl o tym, co ojciec powiedział mu na pożegnanie. „To dla twojego dobra”. No i proszę, wcale się nie pomylił. Norman rozejrzył się po oddziale, rozważając pozostanie tu na stałe. Czemu nie? Toczyło się tu przecież życie; były inne oddziały, inni ludzie, ogrody, kobiety, a wszystko to z dala od rodziny i – przede wszystkim – z nieograniczonymi zapasami białych. Wsunął tabletkę do ust, chcąc tym gestem zapewnić swój udreńczony żołądek, że już wkrótce dostanie więcej. W tym momencie uzmysłowił sobie, że przyjechał tu bez pieniędzy, w samej piżamie. Znowu wezbrał w nim paniczny strach. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego na łóżku.

– Jak ci na imię? – zapytał. Czuł, że jeśli mają nawiązać jakiegokolwiek stosunki, niezbędna będzie wymiana imion. – Ja jestem Norman.

– Już ci mówiłem. Jestem ministrem zdrowia.

Norman wyciągnął do mężczyzny rękę, zaskoczony szacunkiem, który automatycznie do niego poczuł. – Czy wobec tego mogę mówić ci „ministrze”?

– Minister, do usług.

– W takim razie... – zawahał się Norman. – Ministrze, czy mógłbym dostać trochę białych na kredyt? Przyjechałem tu w piżamie.

– Przewidzieliśmy taką ewentualność – odparł Minister – biorąc pod uwagę, że większość z nas przybywa tu, jakby to ująć, w odzieniu nocnym. Albo gotówka przy odbiorze, albo odsetki dziesięć procent za prowadzenie konta.

Norman nie miał pojęcia, skąd weźmie pieniądze, ale był to problem drugorzędny.

– Tak – powiedział – zgadzam się na te warunki. Jutro przyniosę ci pieniądze. – Wyciągnął rękę.

– Nie teraz – powiedział Minister. – Mam je w biurku, w gabinecie. Przyniosę później.

– Oczywiście – przytaknął Norman, znowu przyjmując bez zastrzeżeń fantazje mężczyzny. – Czy to potrwa długo?

– Po śniadaniu posilimy się białymi razem. Ty i ja.

Norman wrócił do łóżka. Gdy odwrócił się, żeby zerknąć na Ministra, stwierdził, że mężczyzna wciąż mu się przygląda. Pod wpływem spóźnionej refleksji Norman krzyknął przez salę: – Od dawna tu jesteś?

Minister po prostu dalej się na niego gapił.

– Od dawna? – spytał znowu Norman.

– Od sześciu lat, z przerwami – poinformował go inny pacjent. – Jest tutaj od sześciu lat.

Normana przeszedł dreszcz. Na chwilę doznał dziwnej wizji: w zimnym i odległym spojrzeniu Ministra dostrzegł siebie. Przypomniał sobie własną myśl o pozostaniu tu na stałe. Szybko stwierdził, że nie ma takiego zamiaru. Nigdy nie chciałby patrzeć na świat tak jak Minister, bez względu na to, jak niewyczerpane byłyby jego zapasy białych.

– Sześć lat – mruknął do siebie. Będzie się trzeba stąd wydostać, i to szybko. Wstał z łóżka i energicznym krokiem przeszedł przez oddział. Starszy pielęgniarz stał beczynnie pod drzwiami. Norman poszedł prosto do niego.

– Chcę wrócić do domu – powiedział. – Proszę mi zwrócić moje rzeczy.

Pielęgniarz wyprostował się i złapał go za ramię.

– Wziąłeś swoje tabletki? – spytał. Ręka zaczęła pchać Normana w kierunku łóżka.

– Owszem, wziąłem – odparł. – Różowe. Wygląda na to, że wszyscy tu dostajemy różowe.

We własnym głosie usłyszał coś nowego; coś, co go zaskoczyło. Nagle celowo przybrał ton charakterystyczny dla wyższych sfer. Pomogło mu to zbudować pewien dystans między sobą a pielęgniarzem, który tak uprzejmie, acz autorytarnie, wysyłał go z powrotem do łóżka. Potrząsnął ramieniem, wyrывая je z uścisku.

– Pójdę sam – oznajmił dostojnie. – Wszystko ze mną w jak najlepszym porządku – dodał. – Udam się teraz do łóżka, aby tam oczekiwać na herbatę.

Pielęgniarka wypuściła pacjenta i wróciła na swoje stanowisko obserwacyjne przy drzwiach oddziału. Norman położył się w łóżku. Minister wciąż się w niego wpatrywał, Norman dał więc za wygraną i uśmiechnął się do niego nieznacznie. Tamten nawet nie mrugnął okiem. Norman opadł na poduszkę i pozwolił bólowi szarpać swoje wnętrze. Do czasu drugiego śniadania złożonego z tabletek zamierzał zająć się snuciem planów. Planów ucieczki. A na czas poprzedzający ucieczkę – planów zdobycia pieniędzy.

6

– Bella, ty im zadzwoń – poprosił rabin Zweek.

– Nie ma co dzwonić tak szybko. Nie jest tam jeszcze wystarczająco długo, żeby mogli stwierdzić jakkolwiek zmianę.

– Bella, przysługę ojcu wyświadczyć. Do telefonu pójdź.

Siedzieli tak przy kuchennym stole od szóstej trzydzieści.

Oboje tej nocy nie zmrúżyli oka. Leżeli samotnie w swoich sypialniach, czekając tylko na pierwszy brzask, a gdy ten wreszcie nastał, każde z nich wymknęło się ukradkiem z łóżka, nie chcąc, aby drugie dowiedziało się o tych męczarniach. Spotkali się na schodach. Nie odnieśli się w rozmowie do tak wczesnej godziny, jednak oboje czuli się w swoim cierpieniu przyłapani na gorącym uczynku.

– Pierwsza idź – powiedział rabin Zweek, skinieniem głowy wskazując drzwi do łazienki.

– Nie, ty idź – odparła Bella. – Zaczekam.

Patrzyli na siebie, ze wszystkich sił starając się uniknąć tego, o czym woleli nie wspominać. Rabin Zweek nie był już jednak w stanie dłużej się powstrzymać.

– Za wcześniej dzwonić? – spytał potulnie.

– Poczekaaj, zadzwonimy po śniadaniu – odparła Bella. – I tak powinieneś jeszcze wrócić do łóżka. Widzę po tobie, że całą noc nie spałeś.

– Spanie. Po co komu spanie? – wymamrotał rabin, wchodząc do łazienki. Gdy stanął w środku, zrobiło mu się słabo.

Nachylił się nad poręczą na ręczniki. Poczul w klatce piersiowej jakiś ruch; coś zdawało się schodzić skokami do brzucha. Nie sprawiało mu to bólu. Czerpał pewną ulgę ze swojej ciekawości – zastanawiał się, jak skończy się to dziwne poruszenie. Ostatecznie to coś ustało, moszcząc się lekko w jego kroczu. Rabin słyszał, że Bella krząta się po kuchni; do jego uszu dobiegł brzęk filiżanek i czajnika. Białe słońce przykuśtykało w okno łazienki. Odkręcił wodę i poczul ciepło przenikające palce. Posłyszał, że sam nuci coś przez brodę, chociaż nie zastanawiał się nawet nad tym, co mógłby śpiewać. Co prawda męczarnie syna dobijały się do całego jego jestestwa, wciąż jednak przepełniał go pokój. Wykorzystał tę chwilę na modlitwę; wiedział, że nie potrwa długo. Potem się umył, ale świeżość nie przyniosła mu radości, a słońce było równie byle jakie, co każdego innego poranka. Poszedł do kuchni.

– Które godzinę? – spytał.

– Za piętnaście siódma.

– W szpitalach przy telefonu zawsze ktoś siedzi. Proszę, Bella, zadzwoń.

– Norman na pewno jeszcze śpi. Doktor nie miał jeszcze okazji go zbadać.

– No tak – stwierdził rabin Zweck – masz rację. Niech trochę zdrzemnie. Snu potrzebuje. Dużo snu.

Zaczął siorbać herbatę. Chciał mówić do Belli, chciał, aby ona mówiła do niego. Pragnął, by dała mu coś, co przyniesie nadzieję, chociaż dobrze wiedział, że nie będzie mógł tego przyjąć. Bella też potrzebowała rozmowy, ale się jej bała. Oboje liczyli na to, że jeśli nie będą rozmawiać na jakiś temat, to przestanie on istnieć. W końcu to oni utrzymywali ten kłopot przy życiu, nieustannie się do niego odnosząc. Bella często myślała, że być może sami się do tego przyczynili, że to oni wywołali problemy. Te wszystkie oczekiwania wobec Normana. Cała ta gadka o genialnym dziecku. Kiedy Normanowi zaczął rosnać zarost, nadal nosił krótkie spodenki, a ona chodziła w tych białych skarpetkach, żeby podtrzymać złudzenie. Wołała w ogóle o tym nie myśleć. Czuła się winna roli, którą odegrała w obłędzie brata oraz roli odegranej przez całą rodzinę. Norman z całym swoim życiem był atrakcją dla nich wszystkich, był czymś, co przytrafiło się im i ostatecznie nie miało nic wspólnego z samym Normanem. Mógł się znajdować w zakładzie dla obłąkanych, ale to oni, siedzący we dwoje przy stole, przechodzili kryzys, ponieważ to ich atrakcja straciła urok. Wybrali Normana na kozła ofiarnego, każde z nich na swój sposób – ojciec, matka, siostra i ona sama – a teraz jego gwałtowny sprzeciw dotknął właśnie ich. Norman siedział w wariatkowie, upominając się o swoje prawa – o prawo do tego, by nie być wybranym. Przez chwilę Bella widziała go samego, bez sióstr i rodziców, i właśnie w tym momencie ujrzała go całego i zdrowego.

Odwróciła się, żeby dolać ojcu herbaty. Coś do roboty, cokolwiek, byle zabić czas, który już niebawem, w trakcie czekającego ich przerażającego dnia, stanie się całkiem nie do zabicia.

– Które godzinę? – spytał znowu rabin Zweek.

– Za dziesięć siódma.

– Wciąż za wcześnie – stwierdził.

– Tatusiu, wracaj do łóżka – próbowała go przekonać Bella.

– A w łóżku co bym robić miał? – Wstał i podszedł do telefonu.

Położył rękę na słuchawce. Zamierzał ją tam trzymać, dopóki nie nastanie odpowiednia pora, żeby zadzwonić. Wypytywał o godzinę, dopóki Bella nie postanowiła oddać mu swojego zegarka. Odmówił. To oznaczałoby koniec wszelkich rozmów między nimi. – Ty go trzymaj – powiedział. – Jak ósme będzie, powiedz.

Mimo wszystko rabin nadal co pięć minut pytał o godzinę, a jego pytania i jej odpowiedzi wystarczyły, aby utrzymać temat Normana przy życiu. Bella zdołała przyprowadzić ojca z powrotem do kuchni. Próbowwała go namówić, żeby coś zjadł, ale nie miał apetytu. Siedzieli naprzeciw siebie, zaglądając do filiżanek. Słyszeli, że na dole mleczarz rozstawia butelki.

– Już tak późno? – spytał rabin Zweek.

– Ósma – odparła Bella.

– Wystarczająco późno – powiedział, wstając. Zatrzymał się przy telefonie. Nie był w stanie tego zrobić. Bał się. Odwrócił się do Belli. – Ty im zadzwoń – powiedział.

Wiedziała, że i tak w końcu to jej przyjdzie sięgnąć po słuchawkę. Nie mogła pozwolić, żeby ojciec zrobił to sam. Widziała jego strach. Brzydziła się tym beznadziejnym ciężarem. Dlaczego nie mogli wykorzystać jakoś nieobecności Normana? Dlaczego nie mogli zrobić sobie jedno- lub dwugodzinnego urlopu od całej tej żalosalnej sprawy?

– Czemu sam nie zadzwonisz? – spytała, przerażona i bezsilna wobec własnego okrucieństwa.

– Z telefonami nie najlepiej mi idzie – odparł. – Ty zadzwoń, Bella – poprosił.

Wykręciła numer. Chciała, żeby ojciec odsunął się od telefonu. On również czuł, że tak będzie najlepiej. Nie chciał podsłuchać rzeczy, które napawały go takim przerażeniem; z drugiej strony, był ojcem Belli i nie powinien pozwolić sobie na okazywanie strachu.

– Dokończ herbatę przy stole – powiedziała Bella, próbując ułatwić mu całą sprawę.

– Tak. Rację masz – powiedział z wdzięcznością. – Na co komu zimne herbatę.

Wrócił do kuchni i przymknął drzwi. Słyszał podzwanianie, to Bella wykręcała numer. Wyciągnąwszy nogę, delikatnie domknął nią drzwi. Słyszał głos córki, ale nie jej słowa. Namyslał się przez chwile, po czym podszedł do drzwi i lekko je uchylił.

„Dobrze” – mówiła Bella. I znowu: „Dobrze”. W jego sercu wezbrała nadzieja. Otworzył drzwi, teraz już bardziej pewny siebie.

– Mam dzisiaj do niego pojechać? – krzyknął przez korytarz. Szybko zatrzasnął drzwi, obawiając się odpowiedzi. Słyszał głos Belli oraz wypełnione ciszą przerwy, aż w końcu pstryknięcie telefonu obwieściło koniec rozmowy. Otworzył drzwi przed córką. – I co? – spytał.

Uśmiechała się.

– Wszystko w porządku – stwierdziła. – Są z niego bardzo zadowoleni. W nocy dobrze spał, teraz przyzwyczajają się do oddziału – mówiła szybko, tak jakby bała się zapomnieć dokładnej treści raportu.

– Co mówili? – Rabin Zweek chciał usłyszeć powtórkę.

– Wszystko dobrze – podsumowała. – Przyzwyczajają się. – Czuła ulgę, że teraz kto inny wziął na siebie odpowiedzialność. Rabin nie był jednak zbyt szczęśliwy z powodu całego tego przyzwyczajania się. Widział tamto miejsce. Bella nie widziała. A nie było to miejsce, z którym człowiek powinien się oswajać.

– Tylko tyle mówili? – spytał.

– Wszystko w porządku – powtórzyła Bella. – W nocy dobrze spał, a teraz przyzwyczajają się do oddziału. – Powtórzywszy po raz kolejny skrót wiadomości, dostrzegła cały kryjący się w nich fałsz. Ujrzała pielęgniarkę odczytującego te słowa z karteczki. W porządku, spokojna noc, przyzwyczajanie. To była urzędowa, stereotypowa odpowiedź na wszystkie telefony. A może istniała alternatywa: źle, niespokojna noc, nie dopasowuje się. „Założmy – zastanawiała się Bella – że pacjent umarł. Czy na taki wypadek również mieli karteczkę z przygotowaną odpowiedzią?” Czego zresztą się spodziewała? Że brat skończył już na zawsze z tabletkami i ubolewa, iż przysporzył rodzinie tylu kłopotów, głęboko żałuje, przeprasza na kolanach? Że jest gotów rozpocząć nowe życie i odpokutować za grzechy?

– Zapytałaś, czy z odwiedzinami przyjeżdżać nie powinienem? – nieśmiało spytał rabin Zweek.

– Powiedzieli, że trzeba z tym poczekać kilka dni. – Nie spytała. Nie chciała, żeby ojciec tam jechał. Niech Norman jakiś czas pobędzie sam, niech na razie stanowi cudzy problem. Niech dla odmiany to on trochę pocierpi. Ostatecznie miała pełne prawo do takich myśli. Wystarczyło spojrzeć na ojca, aby je dopuścić.

Rabin Zweek poczuł lekką ulgę, że nie może teraz jechać. Mglistość przeczuwał, że Bella w ogóle nie spytała – był jej za to wdzięczny i pozwolił temu niedopowiedzeniu zawisnąć między nimi.

– A więc wszystko w porządku – stwierdził. – To dobrze, co z nim w porządku. A będzie jeszcze lepiej. Skończy z tabletkami. Doktor Levy rację miał. To najlepsze, co zrobić mogliśmy. – Był niemalże zadowolony z tej sytuacji, z faktu, że wszystko jest pod kontrolą. Najmniejsza odrobina otuchy wypływająca z jakiegokolwiek źródła rozkwitała w nim ogromnym optymizmem. – Wielkie śniadanie zjem – oznajmił.

Bella z radością mu je przygotowała.

– W sklepie dziś popracuję – zdecydował. – Tobie odpocząć pozwolę.

Nie chciał wracać do poszukiwań. Dlaczegoż by nie miał zrobić sobie dnia wolnego od całej tej sprawy? Jeśli wyleczą syna, to poszukiwania może wcale nie będą potrzebne. Czy był jakiś sens w dopraszaniu się o kłopoty? Nie. Na dzisiaj da sobie z tym spokój. Spędzi czas w sklepie.

Sklep był azylem również dla Belli, która bała się siedzieć cały dzień w mieszkaniu. Nie mogła jednak odrzucić propozycji ojca. Z drugiej strony przerażała ją nieobecność Normana. Sama czuła się bez niego przedziwnie sparaliżowana, jakby cały sens jej istnienia nagle zniknął. Ojciec już stał przy drzwiach. Znała i rozumiała ten pośpiech.

– Lepiej weź szal – powiedziała. – Na dole bywa chłodno.

– Poradzę – odparł, otwierając drzwi. – Jak zimno robi, grzejnik nakręcę.

Chciała go zatrzymać siłą. Zawsze uważała zależność ojca od siebie za pewnik, a teraz, gdy wychodził, i to z taką pewnością siebie, zrozumiała, że to ona nie potrafi sobie poradzić bez niego, a przynajmniej bez jego potrzeb, które – razem z potrzebami Normana – nadawały sens jej życiu. Teraz została w mieszkaniu sama. Odwróciła się od drzwi, odwróciła się od pokoju Normana, odwróciła się od kuchni; odwróciła się po kolei od wszystkiego, aż zrobiła pełen obrót. Podbiegła do drzwi frontowych, akurat, kiedy ojciec zniknął za załomem schodów.

– Zawołaj mnie, jeśli w sklepie zrobi się za duży tłok – krzyknęła za nim.

– Poradzę! – odkrzyknął. Wydawał się niemal szczęśliwy.

Gdy rabin Zweek podniósł rolety nad drzwiami, dostrzegł panią Golden czekającą przed sklepem. Tak wczesne pojawienie się klientki było dość niezwykle. Rabin przypomniał sobie, że pani Golden była w sklepie poprzedniego dnia i widziała pożegnanie Normana. Teraz przyleciała zziębnięta, nie mogąc się już doczekać najnowszych wiadomości. Rabinowi zrobiło się niedobrze na jej widok. Nie potrzebował jej zawołanego współczucia. Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu o wczorajszych wydarzeniach. Kobieta była jednak najbliższą przyjaciółką Sarah, niech spoczywa w pokoju, zwłaszcza w jej ostatnich dniach, gdy ukochała ją tak bardzo, że mówiła, iż wolałaby odejść pierwsza. Przez wzgląd na pamięć żony, rabin uśmiechnął się i wpuścił panią Golden do środka. Poszła za nim w głąb sklepu, a on poczłapał na drugą stronę lady. Zająwszy swoje stanowisko za blatem rozgraniczającym sklep, podniósł wzrok i przywitał kobietę.

– Pani Golden, co pani podać?

Klientka wyciągnęła z torby skrawek papieru i podała go rabinowi. To również nie leżało w jej zwyczaju. Pani Golden nigdy dokładnie nie wiedziała, czego chce. To do sklepikarza należał obowiązek podsuwania jej różnych produktów i pobudzania jej pamięci. Wzmianka o cukrze wywoływała zapotrzebowanie na herbatę, masło przypominało o chlebie.

O zapalkach pani Golden zawsze zapominała – najwyraźniej nie kojarzyła ich z żadnym innym artykułem. Dzisiaj jednak wszystkie potrzebne jej rzeczy, włącznie z zapalkami, były spisane w równej kolumnie. Rabin Zweek krzątał się po sklepie, zbierając artykuły i znosząc je po jednym na ladę. Pani Golden przyglądała się rabinowi, ale żadne z nich nie odezwało się słowem. Gdy rabin wreszcie zgromadził wszystkie zakupy, podsumował ceny na kawałku papieru pakowego.

– Jeden funt, trzy szylingi, dwa pensy – zakomunikował, podnosząc wzrok. Klientka wyjęła z torby dwa banknoty funtowe i podała rabinowi. W milczeniu wydał jej resztę. Pani Golden zapakowała do torby wszystkie produkty, jeden po drugim. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Rabin Zweek był wściekły. Jej milczenie było tak znaczące, że zaczął wręcz podejrzewać, iż kobieta zachowuje się tak przez wzgląd na jego uczucia. Nagle stwierdził, że nie dba o swoje samopoczucie.

– Pani Golden – krzyknął za nią. – Nic pani nie powie?

Kobieta wróciła do kontuaru.

– Myślałam, że może rabin nie chce, żebym się odzywała.

– Pani ma co do powiedzenia? – spytał rabin gniewnie. – Niech mówi.

– Nic nie mam – mruknęła i znowu odwróciła się od lady, zbierając się do wyjścia.

– Już mu poprawia – zawołał rabin.

Pani Golden obróciła się po raz kolejny i usiadła na krześle przeznaczonym dla klientów.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Oczywiście, że poprawia. Czy inaczej być mogło? – Wyglądało na to, że wbrew swej woli właśnie zakończyła temat i nie miała pojęcia, co dalej mówić. Zerknęła na rabina, licząc na jakiś wkład z jego strony.

– Już niedługo wychodzi – dodał rabin.

– To dobrze. – Pani Golden nie przyszło do głowy nic więcej. Jakimś sposobem oboje zdołali pominąć przyczynę, skutki, objawy i diagnozę, będące przedmiotem plotek i domysłów. A teraz wszystko już zostało wypowiedziane. Poprawiało mu się. Niedługo wróci do domu. To były niepodważalne fakty. Pani Golden nie chciała jeszcze wychodzić, czuła zresztą, że rabin również chciałby zatrzymać ją w sklepie na dłużej.

– Proszę chwilę posiedzieć, pani Golden – zachęcił rabin Zweek. – Taki znowu zajęty nie jestem.

Zawsze zwracał się do niej per „pani Golden”. Sarah mówiła tak samo, chociaż znali się z nią od ślubu. W zasadzie – rabin zastanowił się, wyętzając pamięć – w ogóle zapomniał, jak miała na imię. Pana Goldena pamiętał. Miał na imię Lewis. Mówili na niego Lou. Zmarł już pięć lat temu; może i pani Golden pisane jest umrzeć, jeszcze zanim rabin zdoła sobie przypomnieć, jak ma na imię.

– Pani pamięta – zagał – dawne czasy, kiedy dzieci takie małe były, wasze też, kiedy tak często razem wychodziliśmy? Pamięta pani, jak razem na pikniki jeździliśmy?

– Pikniki pamiętam – stwierdziła. Czując, że teraz na nią kolej, powiedziała: – Pamięta rabin, jak do teatru na sztukę w jidysz wszyscy razem poszliśmy?

– Pamiętam – odparł rabin Zweek. Jego kolej. – Szkolne koncerty pani pamięta? Pamięta?

To też pamiętała. Teatr, pikniki, koncerty – osobno i poprzez łączące je skojarzenia – wyzwoliły w rabinie Zweeku i pani Golden pokłady fotograficznych wspomnień, siedzieli więc obok siebie, rozpamiętując to wszystko, przez jakiś czas racząc się milczeniem.

– Co go tak odmieniło? – spytała zniecacka pani Golden. Każde jej wspomnienie, bez względu na temat, było bowiem osadzone wokół postaci Normana. Zapewne podobnie było ze wspomnieniami rabina Zweeka, biorąc pod uwagę, że nie zaskoczyło go jej pytanie. Tyle razy sam je sobie stawiał. To pytanie trzeba było wciąż zadawać na nowo – na tyle często, by wszystkie odpowiedzi stały się zbytęczne.

– Już mu poprawia – powiedział szybko. – Z lekarzem dziś rano rozmawiałem. Bella rozmawiała. Lekarz powiedział, co jemu bardzo dobrze jest. Już mu poprawia – powtórzył, zaniepokojony nieszczerością pobrzmiwającą we własnym głosie.

– Oczywiście, że poprawia – odparła pani Golden. – Ale co go tak odmieniło? Taki bystry chłopak z niego był. Co go tak odmieniło?

Nie próbowała bynajmniej dręczyć rabina Zweeka. Po prostu chciała, żeby zdobył się na rozmowę na ten temat.

– Już mu poprawia – oznajmił ponownie rabin. Usiadł na wysokim stołku za ladą. To był gest bezsilności i rezygnacji. – Rację pani ma. Taki bystry chłopak z niego był.

– A pamięta rabin... – podjęła na nowo pani Golden, a on ucieszył się z kolejnej pamiętki. Wspominki, dopóki trwają, przekreślają obecną sytuację. Dopiero później na takie wspomnienie patrzy się jak na coś, co było niegdyś i nie ma się już więcej przytrafić.

– A pamięta rabin... – ciągnęła dalej pani Golden. Jej zasoby były niewyczerpane. Nie słabła w wysiłkach mających na celu odwrócenie uwagi rabina od Normana w jego obecnym stanie poprzez zwrócenie jej bezpośrednio na Normana takiego, jakim był niegdyś. – Pamięta rabin jego pierwszą sprawę w sądzie? Kiedy tak stał w todzie i peruce, jak jakaś ślicznotka wyglądał. Wszyscy tam poszliśmy, pamięta rabin, Sarah – niech spoczywa w pokoju – w nowym kapeluszu, brązowym, z piórkami, mój Lou – niech i on spoczywa w pokoju – i Teitlebaumowie, i Greenbergowie, i Schwartzowie, cała ulica, pamięta rabin. Ależ zwycięstwo odniósł! Oj! Co za zwycięstwo. – Mierzyła w każde słowo z osobna, trafiając wszystkie kolejno językiem jak w pojedyncze cele. – Wygrał tą swoją piękną przemową – przypomniała. – Cóż za mowę wtedy wygłosił! Taki bystry chłopak z niego był.

Rabin Zweck przyłapał się na uśmiechu, dopiero gdy wyraz błogości zaczął spęzać z jego twarzy. Wspomnienie pierwszego tryumfu Normana mogło doprowadzić rabina wyłącznie do smutnej myśli o haniebnym zakończeniu kariery syna oraz upokorzeniu, jakie przyniósł mu ostatni występ na sali sądowej. Rabin Zweck wiedział, że pani Golden już oplakuje tę klęskę w myślach, sam więc poszedł w jej ślady, było to bowiem zdarzenie, które musiał przypominać sobie raz po raz, aby wreszcie się z nim pogodzić, może nawet zdobyć na śmiech – to była niezła komedia! – czekając, aż hańba wyparuje.

W mniemaniu rabina Zwecka to była paskudna sprawa, która nigdy nie powinna była wpłynąć do państwowych sądów, ponieważ dotyczyła Żydów, a Żydzi mieli przecież własny sąd, niedaleko jego sklepu, zaraz za rogiem. Kwestia powinna zostać rozstrzygnięta właśnie tam, bez całego rozgłosu, którego nabrała podczas publicznych rozpraw w państwowym sądzie. Sprawa była paskudna, ponieważ dotyczyła rodzinnego konfliktu, a zainteresowani powinni się wstydzić, że nie załatwili tego za zamkniętymi drzwiami. Ale Steinbergowie byli zgorzkniałymi ludźmi, którzy kłócili się między sobą, odkąd najstarsi mieszkańcy dzielnicy sięgali pamięcią. Byli małżeństwem przez trzydzieści przepelnionych smutkiem lat, z których ostatnie dziesięć stało się jeszcze bardziej nie do zniesienia wskutek obecności pani Cass, czyli matki pani Steinberg. A pięć z tych dziesięciu lat pani Cass przeleżała w łóżku, uparcie nieśmiertelna. Każdego ranka udęczonego pan Steinberg zanosił teściowej herbatkę, z trudem ukrywając rozczarowanie, że znowu zastał ją żywą. Nie tylko żywą, ale również gderającą – że za późno, że za mało albo za dużo cukru, że nikt o nią nie dba, że przecież sama wie, ile z nią mają roboty, ale co ona może zrobić...

– Umrzeć – mamrotał pod nosem pan Steinberg, wychodząc z pokoju. Potem szedł do kuchni, gdzie siadał z żoną i razem z nią słuchał krzyków staruszki, dobiegających z sypialni na dole.

– Tylko czekacie, kiedy umrę, powiedzcie, że nie!

– Owszem, czekamy – szeptało każde ze Steinbergów na osobności. Od czasu do czasu panu Steinbergowi zdarzało się wypowiedzieć tę myśl na głos, a wtedy żona bombardowała go oskarżeniami o podłość, bestialstwo i ogólnie pojętą niegodziwość. Echa ich kłótni oraz wrzaski staruszki potrafiły nieść się po podwórkach w całej okolicy o wszystkich porach dnia i nocy, tak że w końcu sąsiedzi zaczęli traktować je jak naturalne dysonanse otoczenia.

Żeby nie było za lekko, był jeszcze Bertie, brat pani Steinberg, typ spod ciemnej gwiazdy, jakich mało. Całe dorosłe życie Bertiego było poszatowane serią nagłych i długotrwałych zniknięć, odsiadek w kiciu, pośpiesznych wyjazdów za granicę i okresów spędzonych na ukrywaniu się po różnych melinach. Był nałogowym złodziejem, kradnącym od przyjaciół, obcych i rodziny. Pani Steinberg nienawidziła go za przeprosiny i kłamstwa, które musiała wygłaszać w jego imieniu; za to, że sama z trudem zachowywała twarz przed przyjaciółmi, którzy znali jej taktykę i traktowali ją z politowaniem. Nienawidziła brata również za tę litość.

Bertie rzadko przychodził w odwiedziny do matki, co z jednej strony cieszyło panią Steinberg, z drugiej jednak napełniało gniewem wobec wyrodnego brata. Podczas swoich nieczęstych wizyt zazwyczaj wszczynął awantury ze staruszką i wychodził ze srebrnym widelcem albo czymkolwiek, na czym zdołał położyć łapy, zanim siostra to schowała. Po każdym z takich pożegnań pani Steinberg przeprowadzała poniewczasie spis inwentarza. Obserwując powolny zanik swojej kolekcji sreber, cieszyła się, że brat nie odwiedza ich częściej.

Aż nastał taki dzień, gdy wiedziała z góry, że Bertie przyjdzie. A przynajmniej w pełni oczekiwała, że się pokaże – każdy bowiem syn, wyrodny czy nie, powinien pokazać się przy łożu śmierci swej matki. Stara pani Cass wreszcie tego dokonała: po wielu latach pogroźek i przekleństw wypowiedziała swoje ostatnie słowa. Pani Steinberg zamknęła powieki matki, po czym ogarnięta poczuciem winy, wstrząsana szlochem, zaczęła chodzić po domu, przygotowując teren na przybycie brata.

Kiedy Bertie się pojawił, przy ciele staruszki czuwał pan Steinberg. Gdy szwagier wszedł do pokoju, Steinberg dyskretnie wyszedł, podejrzewając, iż tamten chce pojednać się z matką na osobności. Poszedł do żony, do kuchni. Siedzieli i wpatrywali się w siebie. Śmierć starej pani Cass w najmniejszym stopniu nie złagodziła wstrętu, jaki do siebie czuli. Jeśli już coś zmieniła, to raczej wzmogła ich nienawiść – teraz obwiniali się nawzajem o jej odejście.

– Nie mam pojęcia, dlaczego akurat ty płaczesz – stwierdziła pani Steinberg. – Przecież na to właśnie czekałeś, prawda?

– Ach – zachnął się – zamknij tę niewyparzoną gębę. Szlochaj, szlochaj – dodał – masz nad czym płakać.

Usłyszeli niespieszne kroki na korytarzu; po chwili rozległ się trzask frontowych drzwi. Popatrzyli po sobie i, jak zapewne można spokojnie założyć, obojgu przysłała do głowy ta sama myśl. Co, poza ciałem, można było wynieść z pokoju staruszki?

Popędzili do sypialni. Pod drzwiami przystanęli z szacunkiem – na wypadek gdyby szacunek był jeszcze na miejscu – po czym cicho zakradli się do środka. Jak można się było spodziewać, staruszka leżała w łóżku, tak jak zostawił ją pan Steinberg. Małżeństwo stanęło nieruchomo, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu przyczyn nagłego wyjścia Bertiego. I wtedy oboje jednocześnie zobaczyli lub raczej: nie zobaczyli. Na palcu serdecznym staruszki jaśniała duża, blada, całkiem świeża pustka.

– Był tam jeszcze, gdy wychodziłem z pokoju – szepnął pan Steinberg, chcąc szybko oczyścić się z podejrzeń.

– Kto inny, kto inny? – wrzasnęła pani Steinberg, nie bacząc na okoliczności. – Kto inny mógłby to zrobić, jeśli nie Bertie?

Zbliżyli się do ciała, a pan Steinberg uniośł ogołocony palec, wykazując się obcesowością, na którą może sobie pozwolić tylko człowiek bliski, ale nie spokrewniony. Faktycznie: nie było. Ani w fałdach pościeli, ani pod poduszką, ani nigdzie w pobliżu łóżka. Zniknęła suma dobytku starszej pani; jej spadek po mężu, jego nieliczne akcje, jej emerytura, meble, srebra – wszystko to zakłute w ogromnym pierścieniu z brylantem, który dotąd tak dumnie zdobił jej palec serdeczny. Pieniądze na wypadek pogromu – mówiła, ponieważ pierścień był łatwy do przeniesienia i wszędzie stanowił pożądaną walutę. A teraz zaginął, przetopiony prawdopodobnie z powrotem na gotówkę, już przepływającą Bertiemu przez palce.

Pani Steinberg uniosła się gniewem. Odzyska pierścień albo przynajmniej jego równowartość.

– Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię! – krzyknęła. – Biedna mamusia – dodała szeptem. Co prawda litość nie miała teraz większego znaczenia, pomogła jej jednak usprawiedliwić uczucie nienaturalnej nienawiści, którą zapalała do brata.

I skończyło się tak, że kiedy już zapewniono starszej pani godny pochówek – biorąc pod uwagę, że Bertie wypierał się wszystkiego i w drodze na pogrzeb, i w trakcie powrotu, i przez cały okres *szlwy* – sprawa trafiła do sądu, a syn rabina Zwecka, Norman, ten młody geniusz, został wynajęty przez panią Steinberg.

Sala rozpraw pękała w szwach. Rabin Zweck siedział z tyłu, dręczony niepokojem. Nie dbał o to, jak rozstrzygnie się sprawa. Biorąc pod uwagę historię Bertiego, wynik był raczej przesądzony. Rabina nie obchodził jego los. To o Normana się bał; perspektywa jego wystąpienia napawała go lękiem. Obok siedziała Bella, dzielająca obawy ojca, albowiem wtedy – to było dwa lata temu – tylko oni dwoje znali tajemnicę Normana, tylko oni wiedzieli, że jest uzależniony. Próbowali odwieść go od przyjęcia tej sprawy, wyszukiwali przeróżne preteksty, tłumaczyli, że nie powinien mieć do czynienia z tak paskudną historią. Wiedzieli, że jego kariera jest już skończona, ale on nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Mówił, że go prześladują, że próbują odrzec go z godności, że są obłąkani.

Tamtego ranka, zanim wyszedł do sądu, spryskał całe mieszkanie środkami owadobójczymi i wrzucił swoje poduszki do wanny, aby potopić ich złowrogich mieszkańców. Był wymizerowany i żółty na twarzy, a oni po raz kolejny próbowali go nakłonić, żeby dał sobie spokój z tą sprawą; żeby wysłał do sądu wiadomość, że źle się czuje.

– Niszczycie moją karierę! – wrzasnął. – Chciecie mnie doszczętnie pogrzyżać. – Chwycił swoją tokę i aktówkę, po czym ruszył w stronę drzwi. – A kiedyś byliście ze mnie tacy dumni. Co się z wami stało?

I tak poszedł zrobić z siebie ogólne pośmiewisko, żeby wszyscy się dowiedzieli i mogli szeptać: „Jego wielki mózg jest dla niego za ciężki, jego geniusz doprowadził go do obłądu”. To było właściwie najlepsze, na co rabin Zweck mógł liczyć – że ludzie pomyślą, iż to wyjątkowy umysł Normana doprowadził go do takiego stanu. A nie narkotyki. Nic z tych rzeczy. Nie narkotyki. Nawet obłąd, przy bliższych oględzinach, jest w pewnym zakresie do zaakceptowania. Zostać doprowadzonym do szaleństwa przez swój geniusz – to jest coś. To wzbudza szacunek, może nawet napełnić ojca dumą, dać mu swego rodzaju rodzicielski *naches*. Ale narkotyki – to jest niewybaczalne, to jest zupełnie co innego. Tak więc rabin Zweck i Bella poszli za nim do sądu.

Usiedli w ostatnim rzędzie. Nie żeby chcieli mieć możliwość szybkiej ucieczki – oboje i tak byli gotowi przesiedzieć całą rozprawę, bez względu na jej przebieg – po prostu z tyłu czuli się bezpieczniejsi, mniej odsłonięci. Wokół zebrała się cała dzielnica, zbiorowo przeschcepiona z ulic na salę sądową. Większość żywiła cichą nadzieję na uniewinnienie Bertiego – nie z przekonania o jego niewinności, ale z chęci ukarania pani Steinberg za upublicznienie sprawy. Dla Żyda ostrożności nigdy za wiele; wywlekanie czegoś tak obrzydliwego na forum było zwyczajnym dopraszaniem się o kłopoty. Jednak bez względu na wynik, wszyscy liczyli na ciekawy spektakl oraz możliwość popatrzenia na samorodnego geniusza, Normana Zwecka, który znał ponoć trzynaście języków, chłopaka, który do czegoś doszedł, o którym tyle słyszeli od jego najmłodszych lat. To było wydarzenie, na które wszyscy sąsiedzi czekali od wielu tygodni.

Rabin Zweck ukradkowo rozglądał się po sali. Zwrócił uwagę na to, jak kobiety się wystroiły, i to w dzień powszedni.

– *Jontew* sobie z tego robią – powiedział pod nosem. *Jontew*, nie ma co. Patrzył, jak Norman zajmuje swoje miejsce. W głębi duszy modlił się za syna. Nie zwracał uwagi na wstępne zabiegi związane z przygotowaniami do rozprawy; oparł brodę na piersi, żywiąc gorącą nadzieję, że już niedługo wszystko to się skończy. Nagle zapadła cisza, zaszurały krzesła, a po chwili rozległ się głos syna, objaśniający chłodnym i nieco pogardliwym tonem naturę konfliktu pomiędzy dwiema stronami. Podczas przemówienia na sali rozpraw panowało milczenie, przerywane tylko od czasu do czasu cmoknięciami, towarzyszącymi nerwowemu wyczekiwaniu na nadchodzące atrakcje. Wypowiedź Normana była klarowna i stonowana, przynajmniej na tyle, że rabin zdążył się podczas niej odprężyć. Bella ścisnęła jego ramię, dając upust swojej uldze.

– Wszystko w porządku – szepnęła. – Świetnie sobie radzi.

Rabin Zweck rozejrzał się po sali. Poczł się nawet na tyle bezpiecznie, by publicznie okazać swą dumę. Uśmiechnął się do jednej czy dwóch sąsiadek, przyjmując ich gratulacyjne skinienia. Nagle ogarnęło go życzliwe usposobienie; cieszył się, że sąsiadki wystroily się na tę okazję. Norman sprawi, że nie pożają poświęconego czasu. Jego Norman. Jego bystry syn, Norman. Nieważne, co mówił ten cały doktor Levy. Może jednak to Norman ma rację. Doktor Levy próbował ich tylko nastraszyć, mówiąc, że Norman popełnia powolne samobójstwo. Jeśli nie liczyć problemów ze snem, Norman świetnie sobie radził. To Norman ma rację. Wciąż powtarzał, że tabletki mu służą. Dzięki nim staje się elokwentny i godny poszanowania. Rabin postanowił, że sam to powie doktorowi Levy'emu. Żałował, że doktora nie ma na sali sądowej, że nie może zobaczyć jego syna.

– Te wszystkie psychiatry – mruknął do siebie rabin – *meszugim*, co do jednego.

Usłyszał imię pani Steinberg; zobaczył, że kobieta wyszła na podest. Pani Steinberg nie wystroila się do sądu. Miała na sobie płaszcz na dni robocze i prosty kapelusz; w ręce ścisła wytartą skórzaną torbę, z którą zwykle chodziła na zakupy.

Zapewne Norman pomógł jej dobrać ubiór. Lepsze wrażenie na sędzim zrobi skromnie ubrana, spracowana kobieta, której zależy wyłącznie na sprawiedliwości, a nie na pieniądzech. Złożyła przysięgę i nerwowo oczekiwała, aż Norman zacznie ją przesłuchiwać.

– Pani Steinberg – podjął – czy zechciałaby pani opisać własnymi słowami, co zaszło rano we wtorek, trzydziestego kwietnia?

Pani Steinberg zakryła usta dłonią.

– Przecież dobrze pan wie, że się wszystko dużo wcześniej zaczęło – syknęła, licząc na to, że usłyszy ją tylko Norman.

Norman puścił jej zastrzeżenia mimo uszu.

– Pani Steinberg – powtórzył – proszę się nie śpieszyć i opowiedzieć nam spokojnie całą historię. Zaczniemy od śmierci pani matki.

– Ale to przecie nie początek – syknęła znowu. – Niech mi pan pozwoli wszystko opowiedzieć. – Opuściła ręce wzdłuż ciała. – Za co panu płacę? – wykrzyknęła. – Czy za to, żeby pan ukrywał historię mojego niewydarzonego brata, tego złodzieja? *Ganew* przez całe życie z niego był. Niech wszyscy wiedzą! – krzyknęła, szerokim ruchem ramion wskazując ogół zgromadzonych.

Publika słyszalnie ożywiła się na jej słowa, tak że sędzia musiał uciszyć salę.

– Proszę, aby powódka ograniczyła się do odpowiedzi na pytania – powiedział.

Bezradna pani Steinberg odwróciła się do sędziego.

– Ależ on nie te pytania zadaje – zaczęła się tłumaczyć.

– Proszę kontynuować. – Sędzia skinął na Normana z niekwestionowanym autorytetem.

– Pani Steinberg – spróbował Norman ponownie – proszę powiedzieć sądowi, co wydarzyło się dnia, w którym umarła pani matka.

Kobieta ciężko westchnęła. Niełatwo było zacząć historie od środka. Zebrała się jednak w sobie.

– No cóż – zaczęła, biorąc wdech – moja matka, *aleha ha szalom*, bardzo była schorowana. Wiem, co mówię. – Nachyliła się nad barierką, jakby dzieliła się tym z nimi w zaufaniu. – Dziesięć lat się nią opiekowałam, na górę i na dół latałam, na górę i na dół, tam i z powrotem, tam i z powrotem – dodała, wspominając matczyną sypialnię położoną piętro niżej. – Wszystko, co chciała, dostawała. Chciała radioodbiornik, dostała. Chciała telewizjer, dostała. Chciała termofor, dostała. Wszystko dostawała. Odmawiać jej miałam?

Pani Steinberg zrobiła pauzę; widownia w tym czasie mościła się wygodnie, by posłuchać jej historii. Większość z obecnych już ją słyszała, albo na rynku, albo przy kuchennym stole, jednak zmiana otoczenia mogła zawsze zaowocować pojawieniem się nowych ozdobników.

– No więc – kontynuowała pani Steinberg – mojej biednej matce bynajmniej się nie poprawiało...

– Czy świadek zechce przejść do sedna? – wciął się sędzia.

– Już przechodzę, już przechodzę – krzyknęła na niego.

– Wszystko w swoim czasie. Na czym to ja stanęłam?

– Było rano, wtorek trzydziestego kwietnia, tego dnia, gdy odeszła pani matka – nakierował ją na właściwe tory Norman.

– Co zaszło po śmierci pani matki?

– Pan chce, żebyśmy już o tym mówiła? – spytała wyraźnie rozczarowana.

– Co zaszło po śmierci pani matki? – powtórzył pytanie Norman. Jego głos był łagodny i przekonujący, pani Steinberg opowiedziała mu więc całą historię.

Później nastąpiło przesłuchanie świadka przez pełnomocnika pozwanego, jednak prawnik Bertiego nie był w stanie podważyć zeznań pani Steinberg. Kiedy na podeście stanął pan Steinberg, potwierdził wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Po raz pierwszy od wielu lat małżeństwo było co do czegoś zgodne. Ich wersja była nie do podważenia. Wszystko układało się jak najlepiej dla Normana; rabin Zweek wyzbył się resztek obaw. Nachylił się do przodu, żeby mieć lepszy widok na syna. Żałował teraz, że nie mieli dość wiary w niego, żeby usiąść w pierwszych rzędach.

Później prawnik Bertiego powołał swojego klienta, a po jego zeznaniach Norman rozpoczął przesłuchiwanie pozwanego. Rabin Zweek dobrze przyjrzał się synowi. Przeczuwał, że Norman pokaże nieco dawnego geniuszu, dzięki któremu w młodości wyróżnił się jako najwybitniejszy młody adwokat swoich czasów. Jego syn, jego bystry syn, Norman.

– Dlaczego tak szybko wyszedł pan z domu? – zapytał Norman.

– Owładnęło mną. – Bertie często używał tego słowa podczas całego postępowania. Najwyraźniej je lubił, chociaż zdecydowanie do niego nie pasowało, biorąc pod uwagę, że był człowiekiem raczej pozbawionym większej wrażliwości. – Owładnęło mną – powtórzył. – Chciałem stamtąd uciec. Nie mogłem już tego znieść.

– Owładnęło panem – powtórzył jak echo Norman. – A cóż takiego? Może poczucie winy?

– Może – stwierdził Bertie. Wyczuł, że to pytanie miało do czegoś prowadzić, nie chciał więc odpowiedzieć na nie w żaden konkretny sposób.

– Co mogłoby wywołać u pana poczucie winy? – spytał Norman.

Bertie po prostu się w niego wpatrywał.

– Może – podpowiedział Norman – czuł się pan winny, ponieważ przez ostatnie kilka lat spędzał pan bardzo mało czasu z matką?

– Odwiedzałem ją – wymamrotał Bertie. – Odwiedzałem ją od czasu do czasu.

– Jak często w ciągu ostatniego roku? – drążył Norman. Bertie bębnił palcami po poręczy. Mógł przypomnieć sobie każdą wizytę, ponieważ każda wiązała się z takim czy innym kryzysem. Kiedy potrzebował pieniędzy, kiedy chciał poszukać testamentu matki, kiedy chciał po prostu wynieść coś z domu siostry. Liczył odwiedziny w kategoriach zdobyczy. Był srebrny świecznik, był zegarek, był aparat fotograficzny, był elektryczny zegar. Trzeba się pozbyć tego zegara. Wciąż leżał schowany pod łóżkiem. No dobra, to były co najmniej cztery wizyty. Mógł spokojnie doliczyć ze dwie, które trzeba było spisać na straty.

– Z pół tuzina razy – odparł beztrąsko.

– To znaczy raz na dwa miesiące – stwierdził Norman. – W minionym roku pana matka była bardzo ciężko chora, w zasadzie konająca. Czy nie powiedziała by pan, że w obliczu tych okoliczności pańskie wizyty były nad wyraz nieczęste?

Bertie wzruszył ramionami.

– A może mieszkał pan tak daleko od matki, że długa podróż naraziłaby pana na znaczące niedogodności?

– Dobrze sobie – parsknęła pani Steinberg ze swojego miejsca. – Rzut kamieniem od nas mieszka! – poinformowała. Sędzia ją co prawda uciszył, ale przynajmniej powiedziała swoje.

– No więc gdzie pan tak właściwie mieszka? – spytał Norman. Chciał, żeby Bertie sam to powiedział.

– Na Flood Street.

– Jak daleko, w pana ocenie, jest to od domu pańskiej siostry, w którym konała wasza matka?

– Pięć minut? – spytał Bertie. – Ma pan na myśli pięć minut na piechotę czy transportem publicznym? – dopytywał Norman, który dobrze wiedział, gdzie jest Flood Street.

– Na piechotę – powiedział Bertie niepewnie.

– A więc odległość nie stanowiła dla pana większej przeszkody w składaniu wizyt umierającej matce – zawyrokował Norman.

– W takim razie może utrudniała to panu wykonywana praca?

– No ładnie – nie mogła się powstrzymać pani Steinberg.

– Wykonywana praca? – zachnęła się. – Przecież to nic nie warty łobużnik. Kto by takiego zatrudnił?

Zniecierpliwiony sędzia uderzył pięścią w blat.

– Jestem zmuszony ostrzec pana klientkę – powiedział, zwracając się bezpośrednio do Normana – że dalsze zakłócenia toku rozprawy doprowadzą do jej odroczenia.

– Cicho. – Pan Steinberg trącił żonę. Norman popatrzył na klientkę karcącym wzrokiem, po czym wrócił do przesłuchiwania pozwanego.

– Gdzie jest pan zatrudniony, panie Cass?

– Obecnie jestem bezrobotny – odparł Bertie.

– Od jak dawna jest pan na bezrobociu?

– Od trzech lat, z przerwami.

– A więc – podsumował szybko Norman – w czasie, w którym pana matka chorowała, wizyt nie uniemożliwiła panu ani odległość, ani obowiązki służbowe.

Bertie milczał. Norman pozwolił na tę znaczącą pauzę.

– Panie Cass, czy nazwałby się pan dobrym synem? – Norman popatrzył na panią Steinberg. Mąż ledwo zdążył położyć dłoń na jej ustach. Norman uśmiechnął się do pana Steinberga z wdzięcznością, dziękując mu za pomoc.

– No cóż, kochałem ją – stwierdził Bertie szczerze.

– Ale najwyraźniej nie na tyle, by spędzać z nią czas – oznajmił Norman.

Bertie znowu zamilkł, a jego prawnik zaczął się wiercić na swoim miejscu. Rabin Zweck znowu się odprężył. Norman kontrolował sytuację, bez dwóch zdań.

– Proszę opowiedzieć swoimi słowami – zachęcił Norman – co wydarzyło się podczas pańskiej ostatniej wizyty u matki. Wtedy, gdy już nie żyła.

– No więc – zaczął Bertie – siostra zawiadomiła mnie, że matka odeszła. Pobiegłem tam i wszedłem do jej pokoju. Leżała na łóżku. Była... była martwa. Usiadłem przy łóżku i patrzyłem na nią – przerwał na chwilę. – A wtedy mną owładnęło – dodał szybko.

– Jak były wtedy ułożone ręce pańskiej matki? – spytał Norman.

– Na kółdrze, wzdłuż ciała.

– A więc siedząc przy łóżku, mógł im się pan dobrze przyjrzeć?

– Tak, zgadza się.

– Proszę mi je opisać.

– No cóż, były niebieskawe, widać było żyły, wyglądały bardzo staro i... no... wyglądały jak... ręce. Zwykłe ręce. Aha, był jeszcze czerwony lakier na paznokciach. Trochę się kruszył. Na ten widok zrobiło mi się jakby słabo.

– A co z palcami?

– No... wyglądały... jak zwykłe palce.

– Coś na nich było? – spytał Norman mimochodem.

– Nic – szczerką Bertie. – Zupełnie nic.

– Zupełnie nic? – szepnął Norman.

Coś w jego głosie – ta dziwna cisza, ten niespodziewany strach – przypawiło rabina Zwecka o skurcz żołądka. Wyraz twarzy syna przepełnił go bólem. Był to wyraz, który rabin znał już dobrze; wyraz, który zdawał się wypacać z twarzy Normana, sączyć się przez pory skóry. Był to wyraz twarzy zarezerwowany dla rybików cukrowych, niezmiennie idący w parze z halucynacjami.

– Zupełnie nic? – spytał groźnie Norman. Nachylił się do przodu, wyrzucając przed siebie ręce w geście rozpacz. – Na palcu był pierścionek! – zagrzmiął.

– Nie było – oznajmił Bertie, dając krok do tyłu i rozglądając się po sali, jakby szukał potwierdzenia swoich złych przeczuć.

Norman przyskoczył do świadka i wrzasnął mu prosto w twarz: – Nie było!?

Publiczność nachyliła się do przodu; sędzia również się nachylił, nie wiedząc, czy uznać wybuch Normana za objaw obłądki, czy raczej zwykłej skłonności do teatralnych zagrań. Na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Po widowni poniosły się szmery, a Bella złapała ojca za ramię. Bała się, jak to wszystko się skończy. Nie miała odwagi spojrzeć na ojca, wiedziała jednak, że jego oczy zasły łzami, wyciśniętymi przez strach i przedsmak klęski.

Bertie wycofał się na podeście tak daleko, jak tylko mógł. Spojrzał na sędziego, spodziewając się od niego jakichś wskazówek, jednak niczego się nie doczekał. Słyszał już pogłoski o zachowaniu Normana. W okolicy imię prawnika wymawiało się szeptem, zapewne ze względu na jego geniusz; szept był stłumioną reakcją na coś, czego nikt do końca nie rozumiał. Szaleniec czy geniusz – i tak można było mu zagrać na nerwach.

– Nie – oznajmił Bertie wyzywająco. – Tak jak powiedziałem, nie było.

Norman pokręcił głową z niedowierzaniem. Opuścił bezwładnie ręce i wycofał się na swoje miejsce. Rabin Zweek przyglądał mu się ze smutkiem. Znał już ten gest bezsilności, tę niezmienną reakcję na słowa: „Wcale ich nie ma. To tylko twoja wyobraźnia”. Zaprzeczenie Bertiego stanowiło dla Normana osobistą potwarz. Przez ostatnie dwa lata wszystkie jego dni najeżone były podobnymi gładkimi zapewnieniami: „Wcale ich nie ma, wcale ich nie ma”.

– Oczywiście, co był – wymamrotał rabin Zweek. – Dobrze o tym wiesz, Bertie Cass, do cholery, dobrze wiesz, co on był. Powiedz mu, powiedz – zaczął cicho błagać – mojemu synu powiedz, co on był.

Norman założył ręce. Jego ciało jakby się odprężyło. Nawet się lekko uśmiechnął. Widzowie i sędzia poczuli ulgę. Jego wybuch był oczywiście tylko zagranem taktycznym; chciał zastraszyć Bertiego i zmusić go do przyznania się. Teraz, kiedy ten sposób zawiódł, z pewnością zamierzał spróbować innego. Rabin Zweek i Bella nie poczuli jednak ulgi. Uśmiech Normana był przerażająco znajomy. Wiedzieli, że to preludium do kłótni, do jego upartych zapewnień, że to wszyscy wokół są obłąkani, a on jeden jest zdrowy. Ojciec i córka złapali się kurczowo za ręce.

– No dobrze, panie Cass – kontynuował już uprzejmie Norman – twierdzi pan, że pierścionka nie było. W porządku. Proszę mi zatem powiedzieć, od jak dawna pana matka nie żyła, kiedy wszedł pan do pokoju?

Bertie nie rozumiał, co to pytanie miało wspólnego ze sprawą, nie dopatrzył się w nim jednak żadnego zagrożenia.

– Nie wiem – oznajmił łagodnie. Cieszył go przyjazny ton głosu Normana. – Przyszedłem, gdy tylko dostałem wiadomość. No więc matka nie żyła może od jakiejś godziny.

– W porządku – stwierdził Norman. – Z pewnością dobrze pan wie, iż niebawem po zgonie rozpoczyna się proces gnicia ciała. Zgodzi się pan?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Bertie. Nie był do końca zadowolony z tego, że Norman zaczął odnosić się do niego z takim szacunkiem. – Nic nie wiem o tych sprawach.

– No więc powiem panu, panie Cass, że tak właśnie jest. To fakt, który z pewnością potwierdzi każdy patolog.

Publiczność znów nachyliła się do przodu, zaintrygowana sposobem, w jaki Norman prowadził rozmowę. Spodziewali się jakiejś pułapki; byli zdumieni tym, w jak wyrafinowany sposób prawnik ją przygotowuje.

– Czy widział pan jakieś robactwo na ciele matki? – Norman miał wciąż założone ręce, uśmiechał się przymilnie.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział Bertie, urażony jego brakiem taktu.

– Pana matka była już martwa dość długo, by dostały się do niej robaki – oznajmił Norman. – Ale pan ich nie widział.

– Nie widziałem – powtórzył Bertie.

– Oczywiście, rozumiem, że ich pan nie widział – stwierdził Norman wspaniałomyślnie. – Tak mocno panem owładnęło. Był pan w stanie znacznego pobudzenia emocjonalnego. Może pan jednak uwierzyć mi na słowo, panie Cass, że robactwo tam było, o tak. To jednak całkiem naturalne, że pan go nie dostrzegł, będąc w szoku.

Bertie nieufnie skinął głową.

– A więc zgodzi się pan – ciągnął Norman – że pewne rzeczy mogą być obecne, chociaż niedostrzegalne, zwłaszcza, jeśli jest się w szoku.

Bertie milczał jak zakłęty.

– W związku z tym – kontynuował Norman – całkiem możliwe, że na palcu pańskiej matki był pierścionek, ale pan go nie zobaczył, ogarnięty głęboką rozpaczą.

– Jeśli go nie zobaczyłem – powiedział Bertie bez wahania – to nie mogłem go zabrać, nieprawdaż? – Przypieczętował swój tryumf westchnieniem.

– Dokładnie! – stwierdził Norman. – Z całą pewnością nie mógł go pan zabrać, jeśli go pan nie zobaczył, bez względu na to, czy pierścionek tam był, czy nie.

– Niezupełnie pojmuje, do czego ma prowadzić rozumowanie pełnomocnika strony powodowej – wtrącił sędzia.

– Mam nadzieję już niebawem wszystko wyjaśnić.

W zachowaniu Normana nie było nic niepokojącego czy nieobliczalnego. Wciąż był opanowany i uśmiechnięty; nawet rabin Zweck pomyślał przez chwilę, że może syn go zmylił. Sposób, w jaki Norman prowadził przesłuchanie, wskazywał jednak na to, że prawnik strony powodowej przechodzi na stronę pozwanego.

– Tak więc nie widział pan pierścionka, panie Cass – podsumował Norman. – A jednak wiemy dobrze, że pierścionek tam był i że został zabrany. Musimy więc założyć, iż zabrał go ktoś, kto był w stanie go zobaczyć, czyż nie?

Bertie przytaknęła, skonsternowana.

– Z zeznań pani Steinberg, jak również z zeznań pana Steinberga, wiemy, iż pierścionek znajdował się na palcu pana świętej pamięci matki. Wiemy też, że oboje go widzieli. Nie mamy dowodów na to, by ktokolwiek inny widział ten pierścionek. A wiemy, że mógł zostać zabrany tylko przez kogoś, kto go widział.

Po sali poniósł się pomruk. Pani Steinberg otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie dźwięku. W zgrozie popchnęła męża, a on odwzajemnił się jej tym samym, żałując ich wcześniejszej współpracy.

Norman rozłożył ramiona i zszedł ze swojego miejsca. Podeszedł do sędziego.

– Wysoki sędzie – powiedział. – Wcale nie oskarżam własnych klientów o kradzież, chociaż można by tak domniemywać na podstawie mojego toku rozumowania. Nie chce jednak mieć nic wspólnego z ludźmi, którzy nie chcą widzieć pewnych rzeczy.

Sędzia nachylił się nad blatem. Nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi Normanowi. Zweck nie wykazał się ani ignorancją, ani brakiem przygotowania. Gdyby tak było, sędzia mógłby odroczyć rozprawę i zalecić powodom, aby znaleźli sobie innego pełnomocnika. W rozumowaniu Normana kryła się tak prosta i niepodważalna logika, a on wykazywał się takim spokojem i pewnością siebie, że sędzia zachodził w głowę, na jakiej podstawie mógłby odroczyć rozprawę.

– Jest na tym świecie zbyt wielu ludzi – ciągnął Norman – którzy nie chcą przyznać, że niektóre rzeczy naprawdę istnieją; ludzi, którzy mówią: „Nie, nie widzę, to tylko twoja wyobraźnia”. Wszyscy dobrze wiemy – wykladał dalej cierpliwie, zwróciwszy się do ogółu zebranych – że niektóre rzeczy istnieją, chociaż pewne osoby, powodowane sobie tylko znanymi motywami, zaprzeczają ich istnieniu, próbując doprowadzić innych do obłędu. Wysoki sędzie – zwrócił się znowu do sędziego – nie chcę mieć nic wspólnego z takimi ludźmi. Wnoszę o oczyszczenie pozwanego Bertiego Cassa z przedstawianych mu zarzutów. Nie jest on złodziejem, ale szaleńcem, którego powinno się zamknąć w zakładzie. – Szarpnął za swoją togę na wysokości ramienia i wrócił na swoje miejsce.

Sędzia chrząknął, próbując ukryć zdumienie.

– Niniejszym odraczam rozprawę – oznajmił, ocierając pot, który już zebrał się na jego czole. Poinformował protokolanta, że Norman ma stawić się w jego gabinecie, po czym opuścił salę.

Norman czekał, aż sala się opróżni. W końcu zostali tylko ojciec i Bella. Norman siedział przy biurku, zgarbiony nad blatem. W swojej czarnej todzie, której fałdy rozlewały się po ziemi, wyglądał jak ranny kos. Rabin Zweck podszedł do syna.

– Do domu chodźmy, Norman – powiedział. – To z przemęczenia. Odpoczynku tobie trzeba.

Z jakiegoś powodu Norman nie stawiał oporu. Ujął ojcowską dłoń jak małe dziecko. Bella poszła w ślad za nimi. W drzwiach Norman odwrócił się i powiódł wzrokiem po pustej sali, tak jakby nawet on musiał przyznać przed sobą, że już nigdy więcej tutaj nie wróci.



Rabin Zweck otarł pot z policzków i brody. Zauważył, że pani Golden płacze. Ona również zdążyła już dotrzeć do zakończenia tego wspomnienia, chociaż rabin Zweck nie był w stanie stwierdzić, jak dawno. Brnął samotnie przez przeszłość, zapomniawszy o tym, że miał towarzystwo. Patrzył, jak kobieta ociera łzy mankietem płaszcza.

– Teraz już po wszystkim – powiedział, próbując tchnąć odrobinę radości w swój głos. – Teraz dużo lepiej mu jest. Mówili, co jemu już poprawia.

Pani Golden pociągnęła nosem.

– Tylko pociechę z niego rabin mieć powinien – stwierdziła.

– Pociechę – powtórzył rabin Zweek. – Bez pociechy jakoś poradzę. Wystarczy, coby Norman ozdrowiał.

Dopiero gdy pani Golden wyszła ze sklepu, rabin Zweek zrozumiał, czego gotów był się zrzec. Czyż ojciec nie ma prawa oczekiwać radości z dzieci? Czy nie należy mu się *naches*?

– Prawa, prawa – wymamrotał do siebie rabin Zweek. – Co komu należy. Niech mu tylko poprawi. Nic poza tym. Poprawić mu powinno. To do tego mój syn, Norman, prawo mieć powinien, właśnie do tego.

Stanąwszy przy ladzie, zacisnął pięści na klapach marynarki i zaczął kiwać się w przód i w tył, w postawie modlitewnego skupienia.

– Swoich praw się zrzekam – powiedział. – Zrzekam.

Nabijając później zakupy pani Golden na kasę, zatrzymał nagle palec na przycisku.

– Już za późno – mruknął.

8

Bella stwierdziła, że znajduje się w pokoju Normana. Weszła tam z przyzwyczajenia, tak jak co rano, żeby go strofować. Wylaż z łóżka, weź się wreszcie w garść, skończ z tymi bzdurami, czy naprawdę sprawia ci przyjemność, że doprowadzasz nas obydwoje do obłądu? Patrz, co zrobiłeś z ojcem! Koniec końców wpędzisz go do grobu.

Przez ostatnich pięć lat to była jej jutrznia – zawsze, gdy trwały nawroty Normana. A teraz za nim tęskniła. To niedorzeczne, ale tęskniła. Musiała przyznać, że tęskni za nim ze względu na siebie. Już nie miała kogo karać i traktować z góry; nie miała na kogo wylewać własnego gorzkiego poczucia niedoskonałości. Przez chwilę nawet życzyła sobie, żeby wrócił, żeby leżał przed nią, pozólkły po nieprzespanej nocy; żeby podłoga była spryskana środkiem owadobójczym, a lustro zakryte, by nie zwielokrotnić jego potwornych rojeń. Tak, chciała, aby wrócił. Stał się jej nieodzowny, ten chory Norman, upadły Norman, ten kozioł ofiarny jej rozpaczy. Obojętnie podniosła dokumenty, które ojciec zostawił na łóżku zeszłego wieczoru. Wepchnęła je z powrotem do szuflady. Nie chciała mieć nic wspólnego z poszukiwaniami dostawcy. To było bezcelowe. Nałogowiec jest w stanie zastąpić jedno źródło innym, wykazując szybkość i sprawność wprost proporcjonalną do swoich potrzeb. Pozamykała wszystkie uchylone szuflady i rozejrzała się po pokoju. Teraz panował w nim porządek: zmieniona pościel, świeże powietrze wpadające przez otwarte okna. Wymazanie Normana z tej sypialni zabrało Belli pół godziny. Przez chwilę żałowała, że nie zostawiła wszystkiego po staremu, że wszystkimi widocznymi dowodami jego szaleństwa. Przysiadłszy na łóżku, stwierdziła z uśmiechem, że nie sięga nogami podłogi. Przypomniała sobie, że przed śmiercią matki mogła usiąść na tym łóżku i przesuwając stopami po wyblakłych różach na dywanie, nawet nie wyciągając nóg. Po prostu po odejściu matki łóżko zrobiło się wyższe o grubość dwóch pierzyn, jednej należącej do matki, a drugiej do Esther, ich siostry. Ten sam nagły przyrost zauważała w innych sypialniach w okolicy; po jakimś zgonie lub odejściu z domu łóżka zdawały się rosnąć, tak więc jeśli ktoś nie był w stanie sięgnąć nogami podłogi w żydowskiej sypialni, nie odzwierciedlało to w najmniejszym stopniu jego wzrostu.

Spojrzała na stopy dyndające nad dywanem. Spod jej białej, dziewczęcej skarpetki wyzierał żylak. Te skarpetki byłyby na miejscu tylko na placu zabaw lub na korcie tenisowym; na pewno nie na podwójnym łożu stojącym w sypialni obłąkanego brata. Przypomniała sobie, jak zaczęła je nosić – jako mała dziewczynka, przed niemal czterdziestoma laty – jaka była podekscytowana, gdy odwijiała śnieżnobiały pasek na górze i pieczołowicie układała go w równą falbankę; jak zawijała materiał najpierw na jednej nodze, a potem ustawiała stopy obok siebie, aby móc idealnie odwzorować ten sam kształt na drugiej. Teraz nie czuła już radości, gdy odwijiała skarpetki; straciła już wszelkie zainteresowanie symetrią. Nie potrafiła jednak z nimi skończyć. Każdego dnia wyjmowała czystą parę spośród dziesiątków podobnych par wypełniających jej szufladę; każdego dnia czuła się niezdolna do ich wyrzucenia. Przypomniała sobie swój pierwszy bunt przeciw białym skarpetkom – pierwszy i w zasadzie ostatni sprzeciw wobec tego, że matka przedłużała w nieskończoność jej dzieciństwo. To było rano w szesnaste urodziny Normana, dzień jego *bar micwy*. Spóźnionej *bar micwy*, według żydowskiego prawa, aż o trzy lata. Przyczyną tego opóźnienia była historia, w której zapewne już wówczas kryły się ziarna jego obecnej udręki. „Chociaż skąd możemy teraz wiedzieć – pomyślała Bella – jak się to wszystko zaczęło?” W każdym razie, obłęd nie ma jasno określonego początku ani końca. Teraz Normana zamknęli w wariatkowie, a ona siedziała na jego łóżku. Dla niej jego izolacja oznaczała zapewne koniec. Dla Normana mógł to być początek. No i proszę, oto obłęd. Kto wie, kiedy to się zaczęło? Może w dzieciństwie Normana, może w dzieciństwie ojca? A może w jej dzieciństwie? Popatrzyła na swoje skarpetki i szybko zarzuciła nogi na łóżko, podwijając stopy pod siebie. „Obłęd kończy się lub zaczyna – zawyrokowała – zależnie od tego, jak się na niego spojrzy, zależnie od natury problemów gnębiących człowieka”. Przypomniała więc sobie tę historię, ponieważ tego potrzebowała, ponieważ chciała przyjąć do wiadomości swój udział w rozpadzie brata.

Norman miał pięć lat, ona była o rok młodsza. Brat upatrzył sobie chłopca z Polski, którego niedawno przywiało w ich okolicę. Po jakichś trzech miesiącach porządnej, podwórkowej przyjaźni Norman przyprowadził chłopaka do domu, rozmawiając z nim płynną polszczyzną. Pani Zweek, która od dawna była przekonana, że jej pierworodny musi być pod jakimś względem wyjątkowy, przystąpiła od razu do solidnej edukacji syna. Znalazła mu nauczyciela francuskiego. „Francuski to kulturny język” – mówiła. „Francuzi to mili ludzie”. W przeciwieństwie do tego, co sądziła o Polakach, których filozofia życiowa, to jest nastawienie do Żydów, w jej mniemaniu była barbarzyńska. Taki sam musiał być ich język. I tak Norman został oddany na wychowanie francuszczyźnie, językowi wyższych sfer, który chłopak bez trudności opanował jeszcze przed szóstymi urodzinami. W wieku siedmiu lat władał już biegle językiem polskim, francuskim i angielskim, jak również jidysz i hebrajskim, których w międzyczasie nauczył się od rodziców.

Gdy syn miał dziewięć lat, pani Zweek, która zawsze pałała proroczą niechęcią do niemieckiego, w końcu uległa, uznając, że „wiedza – nawet ta niemiecka – to potęga”. Norman, wykazując wobec niemieckiego wzgardę odziedziczoną zapewne po matce, opanował go jeszcze szybciej niż inne języki, odmawiając mu prawa do jakichkolwiek komplikacji lub niuansów. „To mój syn, lingwista” – przedstawiała go pani Zweek. „Co nieco po francusku powiedz” – zachęcała, a później, gdy jednym czy dwoma zdaniem dowiódł znajomości francuskiego, powtarzała podobne żądania dotyczące wszystkich innych języków. Z całego kraju zjeżdżali się dziennikarze uzbrojeni w aparaty fotograficzne i notatniki, a imię Normana Zweeka stało się z dnia na dzień powszechnie znane.

– Ile on ma lat? – dziwili się wszyscy.

– Dziewięć – odpowiedziała matka. Wtedy po raz ostatni nie skłamała co do jego wieku. Później, wraz z każdym językiem, którego się uczył, robił się o rok młodszy niż w rzeczywistości, tak że gdy opanował włoski, hiszpański i rosyjski, dwunastoletni Norman we wszystkich gazetach nadal miał tylko dziewięć lat, pamięć ogółu jest bowiem zawodna.

– Dopiero dziewięć lat – promieniała pani Zweek. – Takiego bystrego mam syna.

Aż wreszcie Norman miał tego dosyć. Nie chciał już robić za cyrkowe dziwadło, chciał mieć dwanaście lat, tak jak koledzy z podwórka. Rabin Zweek rozumiał syna.

– Co w tym strasznego, co on dziewięć języków zna w wieku dwunastu lat? Przecież to nadal bardzo pięknie jest – powiedział. – Pozwól chłopaku lat mieć tyle, ile trzeba.

Pani Zweek była jednak niewzruszona. Na to, aby wycofać przywileje pierworodnego syna, było już za późno. Nie mógł z dnia na dzień zrobić się trzy lata starszy. To przekreśliłoby wszystkie historie, które opowiadała latami.

– Nic mnie to nie obchodzi, że ten leniwy nicpoń kolejnych języków nie chce uczyć. Skoro mówię, że dziewięć lat ma, to tak jest, a za rok, jeśli Pan pozwoli, chłopak dziesięć będzie miał, i tak dalej, i tak dalej, i długo pożyje. Czasu dużo mieć będzie, żeby się starzec.

– A co z Bellą? – spytał rabin Zweek.

– Bella ma osiem – odparła pani Zweek stanowczo.

– Przecież jedenaście ma – stwierdził szczerze rabin Zweek – nie ucieszy, co tak ją odmładzasz.

– Chcesz, żeby była starsza od Normana, kiedy wszyscy wiedzą, że chłopak to nasz pierworodny?

Rabin zamilkł. Uparta była, wiedział zresztą dlaczego. Ze względu na własną reputację musiała jakoś podtrzymać iluzję, którą stworzyła.

– A co z *bar micwą*? – odważył się. – *Haszem* nie oszukamy.

– Zrozumie – oznajmiła z przekonaniem. – *Bar micwę* przecie zrobimy. Co za różnica kiedy?

– Mnie to nie w smak – stwierdził rabin Zweek.

– Chcesz, żebym wyszła na wariatkę? – krzyknęła. – Po tych wszystkich historiach, które gazety wypisywały?

To był koniec dyskusji. Trzynaste urodziny chłopca minęły mimochodem, jak cicha herezja, pomimo zdarzających się czasem protestów oraz jego stanowczej odmowy pobierania dalszych nauk. A w dniu szesnastych urodzin Norman – o policzkach upstrzonych już czymś więcej niż tylko chłopcęcym meszkiem – został wreszcie dopuszczony do zawarcia Przymierza z Panem.

Tego dnia śniadanie jedli późno i z doskoku. Pani Zweek próbowała ubrać Esther, najmłodszą z rodzeństwa, dziewczynkę siedmioletnią, według wszelkich standardów; rozpieszczoną Esther, nietkniętą przez matczyną arytmetykę. Później pani Zweek musiała sama się przygotować i wprowadzić ostatnie poprawki do przygotowanego lunchu na zimno. Skorygowała położenie kapelusza, który sama uszyła na tę okazję, po czym dołączyła do rodziny siedzącej w kuchni. Pani Zweek poklepała syna po głowie, chociaż był już dużo wyższy od niej.

– A więc to dzisiaj – powiedziała z dumą. – Dzisiaj mężczyzną się staniesz. Mój syn lingwista – ten przydomek stosowała już odruchowo – mężczyzną się stał.

– Jestem mężczyzną od trzech lat – syknął Norman. – Kogo tu próbujesz oszukać?

– Cicho – powiedział rabin Zweek. Nie życzył sobie żadnych kłótni. – Chodźmy. Późno już.

Bella, której nogi były dotąd ukryte pod stołem, podeszła do drzwi.

– *Oj wej!* – jęknęła pani Zweek. – Co ty na nogach założyłaś?

– Pończochy – odpowiedziała roztrzęsiona Bella. – Jedwabne pończochy z twojej szuflady.

Pani Zweek rozdziawiła usta.

– Mam już piętnaście lat – przypomniała jej Bella.

– Dwanaście masz – krzyknęła pani Zweek. – Słyszysz? Dwanaście lat. Za rok – jeśli Pan pozwoli – trzynaście mieć będziesz. Dalej, skarpety zakładaj. Żeby w twoim wieku w pończochach chodzić. Dorosnąć jeszcze zdążysz. Wierz mi. Przebieraj to! – wrzasnęła na córkę.

Bella była przerażona, ale nie zamierzała ustąpić.

– Bella – powiedział łagodnie rabin – czy to naprawdę różnice?

– Tak – stwierdziła Bella. – Jeśli nie mogę pójść w pończochach, to nie pójdę wcale.

– Przebierzesz. Zrozumiano? – zagrzmiała pani Zweek.

– Nie. – Niemal w tej samej chwili, w której to powiedziała, poczuła uderzenie w policzek, zaraz po nim następne i jeszcze następne. Pani Zweek nie mogła patrzeć, jak krew z jej krwi w tak otwarty sposób odrzuca iluzję, którą starannie tknęła przez lata.

– Pójdź, Bella, przebierz – powiedział ojciec. – Widzisz, jak to denerwuje mamusię. *Bellale* – prosił – zrób to dla matki, przebierz.

Stała w drzwiach, zwlekała. Trwało to tak długo, że w końcu usłyszała, jak Norman mówi: – Bella, idź i załóż te skarpetki, na rany Chrystusa!

Bella została natychmiast zapomniana, razem ze swoimi skarpetkami. Jej występki zdawał się nic nie znaczyć w porównaniu z bluźnierstwem brata.

– To się pod moim dachem jeszcze nie zdarzyło – szepnął rabin.

– I to w dniu *bar micwy* – zawtórowała pani Zweek. Rabin Zweek wstał i podniósł rękę na syna.

– Cofnij to! – zagrział. – Takie słowa pod moim dachem. Co też takiego dnia dożyłem!

Pani Zweek złapała męża za rękę.

– Przepróż, Norman. Szybko, powiedz, że żałujesz. Szybko, szybko – zaczęła panikować.

– Przepraszam – powiedział Norman. Bella słyszała, że powtarzał to na żądanie matki, raz po raz, jakby musiał egzorcyzmować tamto imię. Doszła do swojej sypialni. Dość już mieli na głowie. Nie mogła oczekiwać, że zniosą jeszcze jej pończochy. Zdjęła je posłusznie, po czym, z białymi skarpetkami na nogach, poszła za rodziną do synagogi.

Bella wysunęła stopy spod siebie i zwiesiła nogi z łóżka Normana. Nie pamiętała, co działo się wtedy w synagodze. Ta część historii najwyraźniej była dla niej w tej chwili nieistotna. W jej myśli wkraśl się powrót do domu, chociaż próbowała świadomie przegnać to wspomnienie. Być może to właśnie w nim kryły się początki udręki brata, a zapewne i jej własnej. Położyła się na łóżku Normana i, wyciągnięta jak długa, zażyczyła sobie doświadczyć jeszcze raz tego, co nastąpiło po jego *bar micwie*.

Wróciła do mieszkania pierwsza, w pojedynkę, aby dokończyć przygotowania do lunchu. Niewiele było do zrobienia, z ulgą poszła więc do swojego pokoju, by nacieszyć się samotnością. Drzwi zostawiła otwarte, żeby słyszeć, kiedy wszyscy wejdą do mieszkania po schodach. Usiadła na łóżku, ale w tej pozycji nie mogła uniknąć widoku znamion kapitulacji, tych białych flag powiewających na jej kostkach. Położyła się więc na wznak, aby przestały jej urągać. Zastanawiała się, kiedy rodzice pozwolą jej z nimi skończyć, kiedy ją do tego zachęcą – i czy ten dzień w ogóle nastąpi. Po jej małej, porannej rebelii przez całą uroczystość ogarniało ją uczucie, że te białe skarpetki nią zawładnęły, że stały się czymś więcej niż tylko symbolem trwającego od lat zakłamania, że już na zawsze zahamowały jej rozwój.

Usłyszała pośpieszne kroki na schodach – po dwa stopnie, szybko – a później trzask frontowych drzwi. Wyczekiwała, nie rozumiejąc przyczyn swojego podniecenia. Przyszedł prosto do jej pokoju. Zamknął za sobą drzwi, stojąc tyłem do nich. Wciąż trzymał rękę za plecami, na kłamce.

– A gdzie reszta? – spytała Bella.

– Miną wieki całe, zanim tu przyjdą – odparł Norman. – Zostawiłem ich trajkoczących przed *szulem*. Miną wieki całe, zanim tu przyjdą – powtórzył.

Nie spojrzała na niego. Wiedziała – oczekiwała, że coś się stanie.

Coś musiało się między nimi wydarzyć. Dwoje ludzi nie może tak długo brać udziału w spisku i działać przez cały czas osobno. Nadeszła chwila, w której, pośród szlamu kłamstwa, prawda dobrze znana im obojgu musiała zostać dobitnie wypowiedziana i podzielona między nimi dla ich własnego zdrowia psychicznego.

– Pojutrze, kiedy całe to zamieszanie się skończy – powiedział, podchodząc do łóżka – będę miał szesnaście lat, bez względu na to, co inni powiedzą. A ty będziesz mogła zdjąć te skarpetki.

Popatrzyła na niego i stwierdziła z radością, że uśmiecha się do niej.

– No – powiedział – suń się. – Wybrał to słówko, aby zatuszować zażenowanie. Na dokładkę zaśmiał się lekko, próbując obrócić w żart to, co – jak podpowiadało mu przecucie – miało okazać się rozpaczliwie istotne dla nich obojga.

– Zaciągnij zasłony – powiedziała Bella.

Kiedy Norman podszedł do okna, Bella wsunęła się pod kołdrę. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno. Brat poruszał się gdzieś koło łóżka. Po chwili poczuła przy sobie jego zakazane ciało.

Państwo Zweekowie szli na czele grupy wracającej z synagogi, mała Esther wlokła się gdzieś z tyłu.

– Co za występ dał ten nasz Norman – powiedziała pani Zweek, oblizując wargi. Poklepała męża po dłoni. – Dumna z niego byłam. Dobrego syna mamy.

– Bella też dobra jest – powiedział rabin Zweek. Zamilkł na chwilę. – *Sarale*, o tych skarpetkach już zapomnij. Do takiej dużej dziewczynki jak Bella to nie pasuje.

Pani Zweek przystanęła w pół kroku. – A kto mówił, że ma dalej skarpety nosić? Pojutrze ze skarpetami koniec. Pora, żeby wyrosła. Powinna za chłopakami rozglądać. To zabawne, Abie – wyznała – ale wygląda, że chłopcy jej nie w głowie. Zobacz, jak dzisiaj do domu pobiegła. Mówiłam jej, żeby szła? Wszystko już gotowe. Nie, ona iść musi. A ładni dziś chłopcy w *szulu* byli. Wszyscy ładni. Na co ona tak ucieka?

– Przez skarpetki – powiedział rabin Zweek.

– No to ze skarpetami skończyć – niemal wykrzyknęła pani Zweek, jakby sama nie miała z nimi nic wspólnego. – Ze skarpetami skończyć, a oboje jeszcze na jej weselu zatańczymy.

W międzyczasie zdążyli ich dogonić goście. Wszyscy podążyli do mieszkania w odświeżonych nastrojach, zajmując całą szerokość chodnika czterema zwartymi szeregami. Pani Zweek otworzyła drzwi swoim kluczem i wprowadziła gości do jadalni. Wszystko było gotowe. Bella stała już przy stole, gotowa usłużyć gościom. Pani Zweek zauważyła rumieniec zalewający jej policzki, przypisała to nieśmiałości córki oraz podnieceniu doniosłą okazją. Norman stał pod przeciwległą ścianą, odrobinę blady – pomyślała matka – ale to również – niech mu Pan błogosławi – dlatego, że był taki podekscytowany. Coś w jego wyglądzie sprawiło, że pani Zweek znowu popatrzyła na Bellę. Córka stała tak samo, jak przed chwilą, lekko zaczerwieniona, wyczekująca. Pani Zweek spojrzała ponownie na Normana, potem znów na Bellę, tak jakby byli dwoma magnesami, odpychającymi coś od siebie; jakby byli dwójką graczy, a piłka latała między nimi bez ich udziału. Cokolwiek to było, pani Zweek czuła, że ona jest z tego wykluczona. Stojąc tak między nimi, mimowolnie zerkając to na jedno, to na drugie, zastanawiała się, dlaczego nagle ogarnął ją niepokój.

Bella usiadła na łóżku Normana i znowu popatrzyła na swoje skarpetki. Faktycznie, następnego dnia jej brat miał już szesnaście lat. Przyszło mu to bez najmniejszych trudności. Natomiast jej nie było łatwo przyjąć swojego naturalnego wieku. Poza tym skarpetek nie było wcale tak prosto się pozbyć. Nie wiedziała, dlaczego nie potrafi się ich zrzec. Może chciała nadal podtrzymywać złudzenie stworzone przez panią Zweek. Mimo że brat wycofał się z tej gry pozorów, Bella nie potrafiła znaleźć w sobie dość siły, by zawieść matkę. Nachyliła się, by poprawić falbankę przy skarpetce. W głębi serca wiedziała, dlaczego wciąż nie potrafi się ich pozbyć. Tylko dzięki nim mogła zachować miłość brata. Gdyby pozwoliła sobie na osiągnięcie kobiecości, ich spółkowanie straciłoby sens.

– No i co? – spytała na głos i wstała z łóżka. Matka już nie żyła, a Bella nie była jej nic winna. A Norman – no cóż – on siedział w zakładzie, a cała jej miłość do niego musiała się skończyć, po prostu musiała, ponieważ upośledzała ich oboje. Co ona uczyniła ze swoim życiem? Bezustannie szukała usprawiedliwienia dla krytycznych chwil z dzieciństwa.

Zadowolona się sterylnością i nazwała ją dojrzałością. Pobieгла do swojego pokoju i otworzyła nieużywaną szufladę. Kiedy Esther opuściła dom rodzinny, zostawiła jej, między innymi, parę pończoch. „A może... – przeszło Belli przez myśl – może zostawiła je celowo?” Tak naprawdę to nieważne, jakie były motywy Esther. Bella nie potrzebowała łaski siostry. To była jej własna decyzja. Rozerwała celofanowe opakowanie, delikatnie wyjęła pończochy i rozłożyła je na łóżku. Wpatrywała się w nie przez chwilę, próbując dostrzec w nich naturalne przedłużenie siebie – takie, jakim od zawsze były białe skarpetki. To nie było łatwe. To nic, przyzwyczai się do nich. Będzie musiała. Gwałtownie zdjęła skarpetkę i usiadła na łóżku. Powoli naciągnęła na nogę jedną z pończoch. Na myśl o przyszłości bez skarpetek poczuła ukłucie rozpacz. Uzależniła się podobnie jak Norman. Kolorem jej złudzeń również była biel. Sama okaże się jednak silniejsza niż Norman. Uleczy się siłą woli. Stopą obleczoną w pończochę zsunęła skarpetkę z drugiej nogi. W chwili, gdy skarpetka spadła na podłogę, rozdzwonił się telefon. Bella czekała, wsłuchując się w dzwonienie; siedziała na łóżku, dyndając obnażoną nogą oraz nogą odzianą w pończochę. Wiedziała, że to Norman. Jakos wyczuł zmianę, która zaszła w domu. Coś mu podpowiedziało, że Bella właśnie się go pozbywa. Podbiegła do telefonu, a pończocha zjechała jej na kostkę.

– Halo?

– Bella?

– Jak się masz? – spytała.

– Dobrze, dobrze. Dużo lepiej. To wspaniałe miejsce. Pobyt tutaj naprawdę mi służy. – Od wypowiedzianych starannie przygotowanych zdań aż zabrakło mu tchu.

– Cieszę się, cieszę się – zaczęła Bella. Powiedziała to automatycznie; była zaskoczona, że dobre wiadomości tak naprawdę jej nie ucieszyły. Miała nadzieję, że jej brak entuzjazmu nie ujawnił się w brzmieniu jej głosu. – To cudownie – powiedziała bezbarwnym głosem.

– Co takiego ci robią?

– To sen. Ostatniej nocy wyspałem się, aż miło, a poza tym dają mi tabletki uspokajające.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Chcesz, żebym cię odwiedziła? – spytała niepewnie Bella.

– Tak. Pomyślałem sobie, że mogłabyś wpaść. Dzisiaj zamykacie przecież sklep przed obiadem. Mogłabyś przyjechać z tatą.

– No, jedno z nas na pewno przyjedzie. – Cieszyła się, że może się jeszcze wycofać. Nie chciała spotykać się z bratem; musiała niechętnie przyznać przed sobą, że myśl o poprawie jego zdrowia napełniła ją niepokojem. – Potrzeba ci czegoś? – spytała.

– Tak – odpowiedział szybko. – Potrzebuję trochę pieniędzy. Strasznie mi się zachciało czekolady. Zjadłbym całą górę czekolady. Muszę też kupić mydło do golenia i całe mnóstwo różnych przyborów toaletowych. Po prostu przywieź mi pieniądze, a ja kupię wszystko tutaj. Mamy tu sklepik. To jak małe miasteczko. Ależ mam chrapkę na czekoladę. Boże, nawet teraz, gdy o niej mówię, cieknie mi ślinka.

Bella nachyliła się nad telefonem. Ogarnęła ją słabość. Jej brat mówił zupełnie jak dziecko, a ona, w przypływie miłości, postanowiła przyłączyć się do niego w tym zacofaniu. Schyliwszy się, ściągnęła jedwabną pończochę ze stopy.

– Pojesz sobie czekolady, Norman – powiedziała łagodnie.

– Ile dusza zapagnie.

– Ale dzisiaj po południu – powiedział niecierpliwie.

– Przyjedziesz, prawda?

– Przyjedziemy – odparła. Zawahała się przed odłożeniem słuchawki. – Kochamy cię, Norman – powiedziała. Ojciec również musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za tę miłość. Ona nie dałaby rady udźwignąć jej sama. Wiedziała, że pojedą do Normana razem, a ona włoży swoje białe skarpetki, bo mimo że matka już nie żyje, mimo że Norman jest w szpitalu i, jak twierdzi, czuje się coraz lepiej, siła złudzeń panujących między nimi jest nadal taka jak dawniej.

Bella czuła podniecenie na myśl o wielkich zakupach, które miała zrobić dla Normana. Postanowiła wsiąść w autobus, aby opuścić dzielnicę nędznych sklepików, i wyjechać bliżej centrum, gdzie dostępny jest większy asortyment. W autobusie przygotowała sobie listę artykułów, które zamierzała kupić bratu. Kiedy jednak dojechała na swój przystanek, przyglądała się po prostu wysiadającym pasażerom, ale nie przyłączyła się do nich. Odwróciła się od okna, udając przed sobą, że przegapiła przystanek. Kiedy wreszcie wysiadła, trzy przystanki dalej, próbowała wmawiać sobie, że znalazła się przed domem Esther tylko przez przypadek. Rzadko odwiedzała siostrę. Esther była taka nieszczęśliwa, że Bella uważała to za karę dla siebie. Wygodniej było utrzymywać kontakt listowny. To, co musiała powiedzieć siostrze na temat Normana, nie było jednak łatwe do spisania. Poza tym nie chciała odmawiać sobie satysfakcji ujrzenia reakcji Eshter. To miało w pewien sposób zmniejszyć jej własne brzemię. Miała nadzieję, że szwagier będzie w pracy. Jego imię nie chciało jej przejść przez gardło. Obwiniała go za to, że siostra jest nieszczęśliwa, chociaż w głębi serca dobrze wiedziała, że jest niewinny; że padł ofiarą małżeństwa, które od początku było skazane na klęskę. Musiała winić kogoś, a John zawsze był do dyspozycji. Przez wszystkie te lata świadomie przyjmował oskarżenia. Obwiniął się nawet za to, że nie jest Żydem, że spowodował rozłam w rodzinie. Nie było w nim za grosz wrogości, po prostu cicha, łagodna skrucha, od której Belli robiło się niedobrze. Bella wiedziała, że według wszelkich standardów John jest dobrym człowiekiem, a jedyny jego grzech polega na tym, że pokochał – że nadal kocha – jej siostrę. Być może przyczyną jej awersji do szwagra była zazdrość; ta myśl sprawiała, że Bella czuła do niego jeszcze silniejszą niechęć.

Zanim zadzwoniła do drzwi, przystanąła przed domem. Omiotła wzrokiem schludny, kwadratowy trawnik od frontu; każde źdźbło miało odpowiednią długość, na brzegach trawa była przystrzyżona ręcznie. Dzieło Johna. Okalający trawnik płot z białych listewek również był dziełem Johna – próbą przełamania monotonii ligustrowych żywopłotów rosnących przed bliźniaczymi domami wzdłuż całej ulicy. John się starał. Nawet przymocowana do odrzwi mezusa była jego dziełem. Esther sama by jej nie wywiesiła. Małżeństwo było jej ucieczką – nie widziała sensu w dbaniu o pozory. John wziął to na siebie. Przybił mezusę po złej stronie drzwi, ale co za różnica? W domu tak samo – wszystko było dziełem szwagra. Esther nie włączała się zbyt w prowadzenie gospodarstwa, jakby nigdy nie uważała swojego małżeństwa za coś więcej niż stan przejściowy. Po upływie dwudziestu lat większość jej książek wciąż leżała w mieszkaniu rodziców, podobnie jak niektóre ubrania. Esther nigdy nie próbowała ich odebrać, gdyż ich wywiezienie oznaczałoby definitywne odejście. Bella nieraz podsuwała siostrze myśl, by spróbowała odwiedzić dom rodzinny, nie bacząc na ryzyko, że zostanie wyrzucona. A ryzyko to było realne, biorąc pod uwagę, iż ojciec obiecał swojej konającej żonie, że Esther nigdy nie doczeka się przebaczenia. Nie, Esther będzie mogła ich odwiedzić dopiero wtedy, gdy ojciec umrze. Na tę myśl Bellę przeszedł dreszcz. Nigdy nie rozważała tej ewentualności; w myślach przeklinała Esther i życzyła sobie, by siostra już nigdy nie wróciła do domu. Nie mogła się doczekać, kiedy powie jej o Normanie. Chciała, żeby Esther też trochę pocierpiała.

Zadzwoniła do drzwi. Czekąca; wiedziała, że będzie musiała poczekać dłuższą chwilę. W domach, do których rzadko ktokolwiek przychodzi, często mija sporo czasu pomiędzy dzwonkiem do drzwi a reakcją mieszkańców. Trzeba uwzględnić czas potrzebny gospodarzowi na zastanowienie się nad tym, kóż to może być – biorąc pod uwagę, że nikt nie jest nigdy spodziewany – później czas na przeżycie zaniepokojenia faktem, iż prozaiczny, acz bezpieczny schemat życia został zakłócony; czas na strach i niepewność, a potem, z praktycznego punktu widzenia, czas potrzebny na ostrożne podejście do drzwi. Bella odliczała poszczególne przedziały czasu. Kiedy skończyła, drzwi się otworzyły.

Otworzył John.

– Biblioteka dziś zamknięta – wyjaśnił szybko. – To przez lokalne wybory. – Było mu bardzo przykro, że zastała go w jego własnym domu. Uśmiechnął się markotnie. – Pójdę po Esther – powiedział.

Szybko usunął jej się z drogi. Bella weszła do środka.

– To Bella! – rozległo się wołanie Johna. Esther wybiegła na korytarz prawie natychmiast. Twarz miała stężoną od niepokoju. – Z tatą wszystko w porządku? – szepnęła. – Chyba nie zachorował, co? – Obecność Belli napełniła ją przerażeniem. Każdy dzwonek do drzwi dawał jej przedsmak wiadomości, przed którą przez ostatnie dwadzieścia lat odczuwała codzienny lęk – że już za późno na ojcowskie przebaczenie. – Bella – szepnęła znowu, zaniepokojona milczeniem siostry – wszystko z nim w porządku?

– Tata ma się dobrze. Akurat tedy przejeżdżałam i pomyślałam, że do ciebie wpadnę.

– Zaparzę wam kawy – ich uszu dobiegł głos Johna. Wiedziały, że przyniesie im kawę, po czym wycofa się jak osoba postronna, za którą zresztą obie go uważały.

– Masz mi coś do powiedzenia – stwierdziła Esther. – Nigdy nie wpadasz tak po prostu. Zawsze jest jakiś powód. O co chodzi? – spytała, siadając w fotelu. Próbowwała się uspokoić. – Wiem, że pewnego dnia mnie to spotka. Bella, czy to już dzisiaj?

– Tata ma się dobrze – powtórzyła Bella, przysiadając na oparciu jej fotela. Objęła siostrę ramieniem. Wbrew sobie poczuła wzruszenie na myśl o obawach Esther, o wszystkich tych samotnych dniach i nocach, najeżonych lękiem o ojca.

– Tatusiowi nic nie dolega – powiedziała. – Nie martw się o niego. Chodzi o Normana.

– Znowu te rybiki cukrowe? Biedny tata – westchnęła Esther. – Jak on to wytrzymuje?

– Tym razem jest raczej marnie – stwierdziła Bella krótko. Rozgniewało ją to, że Esther dostrzega wyłącznie cierpienie ojca, podczas gdy przecież – Bóg świadkiem – jej również krajało się serce. – Musieliśmy go zamknąć. – Użyła tego określenia rozmyślnie, aby ukarać Normana za jego obłąd; za to, co im robił.

– To znaczy, że jest w szpitalu? – spytała Esther, próbując złagodzić terminologię siostry.

– Jeśli wolisz tak to nazywać – skwitowała Bella.

– Moja biedna Bella – zasmuciła się Esther, biorąc siostrę za rękę. – Przechodzisz przez piekło.

Gdy Esther uznała i jej cierpienie, Bella złagodniała. Cierpliwie i szczegółowo opowiedziała siostrze historię ostatniego nawrotu brata.

– Jak mogę pomóc? – spytała bezradnie Esther, gdy Bella skończyła opowieść. – Nie pozwalają tam pewnie na odwiedziny? – spytała z nadzieją. Napawała ją przerażeniem myśl, że będzie musiała się z nim skonfrontować: on będzie leżał plackiem w łóżku, i to na dobitkę obłąkany, a ona będzie miała nad nim przewagę pod każdym możliwym względem. Co w takiej sytuacji mogłaby znaczyć jego nienawiść czy przebaczenie? – Poczekam, aż mu się poprawi – powiedziała szybko. – Zaproszę go tutaj.

– Pozwalają na odwiedziny – stwierdziła chłodno Bella. – Dziś po południu jadę do niego z tatą.

– A tata musi jechać? Nie możesz mu tego oszczędzić? – Dostrzegła wyraz zranienia na twarzy Belli. – Ja nie mogę tam pojechać – powiedziała cicho. – To byłoby ponad moje siły.

Bella wstała.

– Nic cię to nie obchodzi? – wrzasnęła. – Myślisz tylko o sobie. Twój brat jest chory. Nigdy nie było z nim tak źle, a ty potrafisz myśleć tylko o czymś, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Jesteś zbyt dumna, by przyznać, że się pomyliłaś. Wiem, że Norman też się mylił – dodała, zanim Esther zdążyła jej przerwać – ale dlaczego nie puścisz tego w niepamięć? On cię potrzebuje – powiedziała. – Nawet ciebie. Potrzebuje nas wszystkich.

John wniósł do pokoju tacę z kawą. Esther uśmiechnęła się do męża, zadowolona z chwili wytchnienia. Konspiracyjnie odwzajemnił jej uśmiech, a zrobił to ze zrozumieniem, przez które poczuła ból, że on jest taki dobry, a ona taka niegodna. Pomyślała o swoich nierozpakowanych walizkach, leżących w sypialni od dnia ślubu. Każdego wieczora John dawał nad nimi krok, aby położyć się w łóżku – bez słowa skargi. Pomyślała o pokoiku dziecięcym, który mąż tak cierpliwie przygotowywał, a który ona przez lata zdążyła zmienić w rupieciarnie. John był mężczyzną, który potrafił czekać z godnością. Był gotów z równą godnością przegrywać.

Nalał im kawy. Bella zauważyła, że dla siebie nie przyniósł filiżanki. Bella chciała, żeby z nimi został. Jego obecność złagodziłaby napięcie, które między nimi narosło. Poza tym, z jakiegoś nieznanego sobie powodu, poczuła, że stał się jej odrobinę bliższy.

– A gdzie twoja filiżanka, John? – spytała.

Esther podniosła wzrok, zaskoczona tym, że imię męża padło z ust siostry. Nie podobał jej się też ten przyjazny ton. Nie chciała, żeby zawiązali sojusz. Wiedziała, że było to małżeństwo, które ostatecznie i tak sama zerwie – nie życzyła sobie komplikacji polegających na pojawieniu się sojuszników, czy to po stronie Johna, czy po swojej.

– John nie pije kawy – powiedziała szybko. Dotknęła jego ramienia, aby złagodzić swoją bezceremonialność, a John zostawił je same, zadowolony, że może usunąć się na bok. – Nie angażuj go w to, Bella – zwróciła się do siostry. – On nie ma z tym nic wspólnego.

Wypiły kawę.

– Pojedziesz odwiedzić Normana? – podjęła kolejną próbę Bella.

– To o tatę się martwię. Nie zrobi mu to dobrze: te wizyty i ta okropna podróż. Bella, dzwoń do mnie codziennie. Proszę cię. Będziesz dzwonić, prawda? Muszę wiedzieć, jak on się czuje.

Bella zapięła płaszcz.

– Chcesz iść ze mną na zakupy? Norman prosił o czekoladę.

– Ciągle go rozpieszczacie – powiedziała prawie do siebie Esther. – I tak przez całe życie. Zawsze wszystko dostawał. A teraz spójrz na niego. Żaloszny nałogowiec. Norman nic mnie nie obchodzi – powiedziała z wściekłością. – Poważnie, nic mnie nie obchodzi.

Bella ruszyła w stronę drzwi, a Esther poszła za nią.

– Tata wie, że do mnie przyjechałaś?

– Nie – odparła Bella chłodno. – Nigdy o tobie nie wspomina.

– Bella, proszę, spróbuj z nim o mnie choć chwilę porozmawiać. Przynajmniej wymień moje imię. Tylko tyle. Zrób to tylko raz. A potem jeszcze raz. – Złapała siostrę za ramię. – Bella, nie pozwól mu o mnie zapomnieć.

– Staram się – skłamała Bella. Imię siostry było w domu słowem zakazanym. Nie było dopuszczalne nawet we wspomnieniach z dzieciństwa. Bella wiedziała, że mogłaby się starać mocniej, jednak z biegiem lat dała za wygraną. Ojciec też miał swoją dumę.

Dotarły do frontowych drzwi.

– Pożegnaj ode mnie Johna – powiedziała Bella.

– Ucałuj ode mnie tatusia.

Bella milczała.

– Możesz przynajmniej spróbować, prawda? – błagała Esther. – Po prostu powiedz: „ucałowania od Esther” – wymówiła każde słowo oddzielnie. – Bella – szepnęła – czy ty nie chcesz, żebym wróciła do domu?

– To zależy od taty – oznajmiła Bella. – Zrobię, co w mojej mocy. – Tak naprawdę już odrzuciła prośbę Esther. Duma ojca była równie silna, co siostry, jednak dla Belli miała większą wartość. Ojciec był już staruszką, a duma hamowała jego starzenie. Gdyby się jej pozbył, usechłyby i pogrzyżył się w nieskuteczności. Nie, jeśli Esther miałyby kiedykolwiek wrócić do domu, to musiałyby zrobić to w mocy jego autorytetu, przeciw któremu Bella nie mogła wystąpić.

– Dzwon do mnie – powiedziała Esther. – Dawaj znać codziennie. Będziesz to robić, prawda?

Błagania siostry przepełniły Belle poczuciem własnej władzy – świadomością, że sama znajdowała się wewnątrz kryzysu, wewnątrz obłądki brata oraz katuszy ojca, podczas gdy Esther, wysiedlona na zewnątrz, była skazana na drżenie przy telefonie. Zrobiło jej się żal siostry. Z litości pocałowała ją na pożegnanie.

– Po prostu wymów przy nim moje imię – powtórzyła Esther.

Bella ścisnęła pod pachą paczkę z artykułami zamówionymi przez Normana. Chciała, żeby dostał tylko to, co najlepsze – a jaki wybór miałyby w szpitalnym sklepiku? Kupiła mu najbardziej ekskluzywne czekolady oraz przybory toaletowe, których ceny napawały ją obrzydzeniem. Starannie zapakowała każdy artykuł z osobna, po czym zawinęła je razem w papier i przewiązała różową wstążką. Była podekscytowana jak mała dziewczynka; jakby szła z prezentem na przyjęcie. Rabin Zweek włożył się za nią.

Z przystanku autobusowego do szpitala było dość daleko, ale rabin cieszył się z tego długiego spaceru. Dzięki temu miał czas, aby pozbierać myśli i przećwiczyć to, co zamierzał powiedzieć synowi. Przez całą godzinną podróż z Londynu siedzieli obok siebie z Bellą w milczeniu, a on w kółko nad tym rozmyślał. Za każdym razem odkładał na później decyzję odnośnie tego, co powie. A poza tym i tak nie mógł się skupić. Wciąż przypominał sobie poprzednią podróż do szpitala. To było zaledwie dzień wcześniej, ale tamta przejażdżka już zdążyła nabrać odrealnionego charakteru koszmaru sennego. Rabin Zweek rozpoznawał trasę, którą wczoraj przemknął czarny samochód; przytrafiające się co jakiś czas charakterystyczne punkty terenu zadawały mu ból. Małe sklepienie z antykami „Przeszłości czar”, stojący pośrodku przejeżdżającej za oknem wioski, ożywił w pamięci rabina wspomnienie ostatniego protestu Normana przeciw tamtej podróży. Na końcu szeregu domów rabin wydał z siebie głośne westchnienie kapitulacji. Rozejrzył się po innych pasażerach, zastanawiając się, jak mogli pozostawać tak obojętni na jego katusze. Ucieszył się, kiedy wreszcie wysiadł z Bellą z autobusu, chociaż ostatni etap podróży zmusił go do ostatecznego rozstrzygnięcia problemu: jakimi słowami przywitać syna?

Szedł przy krawędzi chodnika, trzymając się pod zwisającymi gałęziami drzew, jakby próbował zejść wszystkim z drogi, chociaż poza Bellą, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy. Tylko oni dwoje tutaj wysiedli. Pozostali pasażerowie mieli wysiąść na normalniej szych przystankach. Jechali do domu, na herbatę albo na zakupy; nikt inny nie wyprawił się na ekspedycję wymagającą podstępów i charakterystyki.

– Cześć, Norman – szepnął do siebie rabin Zweek. – Jak się masz? – A jak miałyby się mieć? Włoczony do tej zagrody, szarpany ze wszystkich stron przez *meszugim*. Rabin Zweek zdrzął na tę myśl. – Cześć, Norman – spróbował ponownie. – Gorąco dziś. – Nie, to też się nie nadawało. Gorąco czy zimno, co za różnica dla człowieka, w którego wypełnionym halucynacjami dniu temperatura jest tylko nieistotnym, chorobliwym szczegółem. – Cześć, Norman – szepnął ponownie. W tym miejscu zamilkł. Tylko tyle i aż tyle był w stanie powiedzieć.

Dotarli do bram szpitala. Przed nimi, na rozwidleniu ścieżek stała duża tablica wskazująca kierunki do rozmaitych ponumerowanych willi. Bella zerknęła na ojca, oczekując podpowiedzi, ale rabin Zweek nie znał numeru budynku Normana. Ruszył jednak wprost przed siebie, wiedząc, że nogi same nieświadomie zaprowadzą go na miejsce, i to zapewne najkrótszą drogą.

Wszystkie wille wyglądały dokładnie tak samo – budynki z czerwonej cegły otoczone tarasami i zadbanymi ogrodami. Na trawnikach widać było kilka grup, najpewniej rodzin z dziećmi, z termosami, każda z odzianym w piżamę wybrańcem siedzącym pośrodku. Serce w rabinie zamarło wobec tego obrazu kompletnej, rodzinnej kapitulacji. Proszę bardzo, nie dość, że akceptowali swoje cierpienia, to jeszcze robili z nich normalny element życia. Rabin Zweek miał nadzieję, że Norman leży w łóżku, czyli tam, gdzie powinien pozostać, unieruchomiony, dopóki mu się nie poprawi. Powinien wstać z łóżka dopiero wtedy, gdy będzie gotowy pojechać prosto do domu. Gdy dotarli do przeszklonego portalu, rabin Zweek rozpoznał wejście. Obok drzwi z muru wykruszyła się niższa część oblicowania – rabin pamiętał, że właśnie w tej wyrwie zacisnęła się ręka Normana, gdy syn wypadł z czarnego samochodu.

– To tutaj. – Rabin Zweck odwrócił się do Belli. Sypiąca się ściana była jedynym elementem znajomości z tym miejscem, na jaki zamierzał sobie pozwolić; a nawet tę ścianę postanowił odrzucić, gdy tylko zakończy się pobyt Normana w szpitalu.

Bella weszła za nim po stopniach. Za szybą oddzielającą herbaciany korytarz widoczny był stół do ping-ponga; rabin Zweck znał obu graczy. Najpierw rozpoznał plecy Normana, skaczące na boki ze zrećznością i zapamiętaniem, które wytrąciły rabina Zwecka z równowagi. Jednak jeszcze większy niepokój poczuł, gdy rozpoznał przeciwnika syna – mężczyznę, który zeszłego wieczoru siedział sztywno na łóżku i gapił się wprost na niego.

– Wydostać go stąd musimy – szepnął rabin Zweck do Belli. – Wszystko to *meszugim*, a mojemu synu to w smak. *Jontew* sobie z tego robi. Chodź.

Otworzył szeroko drzwi i wkroczył do środka, zdecydowany położyć kres całej tej radości. Minister zauważył go pierwszy. Złapał piłkę odbitą przez Normana.

– Patrz, kto przyszedł – krzyknął przez stół. – Twój księgowy.

Norman wypuścił z ręki raketkę i powoli odwrócił się w ich stronę. Przyglądał im się przez chwilę: stali potulnie pod drzwiami, ojciec przygarbiony pod ciężarem wstydu i litości, Bella z ręką na jego ramieniu, jakby zapewniała mu ochronę. Czuł się jak dziecko na apelu kończącym rok szkolny, kiedy rodzice przychodzili do szkoły, a on był nimi absolutnie zażenowany. Jednak zaraz po tym wrażeniu przyszło współczucie, Norman wyciągnął więc ramiona na powitanie, żeby siostra i ojciec się odprężyli, żeby poczuli się jak w domu.

– Wejdźcie – powiedział łagodnie, jakby miał udział w prawie własności do tego miejsca. – Poznajcie moich przyjaciół.

– A więc już przyjaciół. – Rabin Zweck się wzdrygnął.

– Owszem, przyjaciół – odparł Norman, wymawiając to słowo dobitnie, zadowolony, że może już wrócić do działań wojennych. – To są moi przyjaciele – powtórzył. – Wszyscy mamy coś wspólnego.

– Co takiego? – spytała Bella, zakładając, że im szybciej dociągną tę rozmowę do końca, tym lepiej.

– Rodziny – odpowiedział Minister, który obszedł już stół pingpongowy i teraz przyglądał się Belli z niekrytą, prostacką fascynacją. – A więc pani jest jego matką? – spytał.

Bella puściła to mimo uszu i wręczyła paczkę Normanowi.

– To dla ciebie – powiedziała.

Norman zawahał się, przestraszony myślą o tym, co mógł zawierać podarek.

– A więc poszłaś i wykupiłaś cały sklep ze słodyczami? – zapytał wścickły. Wyrwał jej paczkę. – Nie mówiłem ci przypadkiem, żebyś przyniosła pieniądze? Nie ufasz mi na tyle, żeby pozwolić mi zrobić zakupy samemu? Za kogo mnie masz? Za dziecko?

Zdążył już podnieść głos, więc rabin Zweck spróbował go uspokoić. Przede wszystkim rabin chciał już opuścić ten korytarz i znaleźć się z synem na osobności. Ujął Normana pod ramie.

– Czy moglibyśmy gdzieś pójść, może do jakiegoś pokoju na uboczu? Gdzie porozmawiać byśmy mogli tak, co by nas nie posłyszeli ci ludzie? – nie potrafił ukryć nuty pogardy pobrzmiwającej w jego głosie.

Norman wyszarpnął rękę.

– Ci ludzie – powtórzył jak echo. – Ci ludzie to moi przyjaciele. Nie mam do powiedzenia nic, czego nie mogliby usłyszeć.

– Mądrze prawi! – oznajmił Minister. – Nie ufacie mu, co? Tak jak powiedziałem, wszyscy mamy coś wspólnego. Rodziny. Słuchajcie – powiedział, odsuwając Normana na bok. – On to on, tak jak ja to ja. I tak samo wszyscy ci inni kolesie to oni. Moja mamusia przynosiła paczki dla mnie – powiedział rabinowi Zweckowi w zaufaniu. – Wiedziała, że mamy tu sklepiki, ale nie, ona musiała robić sprawunki za mnie. Jakbym był dzieckiem. A potem mój tatuś umarł, a ja zabroniłem jej tutaj przychodzić. Biedny tatuś – powiedział jakby do siebie. – Przynajmniej umarł swoją śmiercią. O mnie tego nie będzie można powiedzieć. Kiedy ja umrę, to nie będzie moja śmierć. Nie bardziej niż życie jest moje. To będzie coś, co przytrafiło się mojej mamusi. Pogoń ich w cholerę – poradził Normanowi. – Powiedz im, gdzie sobie mogą wsadzić tę pieprzoną paczkę.

W obliczu ataku, który Minister przypuścił na jego rodzinę, Norman natychmiast wziął ich stronę, podobnie jak przed chwilą stanął w obronie Ministra, gdy tylko ojciec zaczął na niego krzywo patrzeć.

– Przejdźmy na oddział – zakomenderował. Sam również pragnął odrobiny prywatności. Jeśli nie z innego powodu, to choćby po to, aby wreszcie stawić czoła jednemu wrogowi bez konieczności zmieniania stron.

Rodzina ruszyła za nim. Bella wciąż trzymała paczkę. Rabin Zweek włókł się z tyłu. To, co powiedział Minister, głęboko go zraniło – zbyt dotkliwie, by chciał choćby analizować przyczyny takiego stanu rzeczy. Jedno wiedział na pewno: lekarstwa lekarstwami, ale on musi zabrać stąd syna. Trzeba znaleźć jego dostawcę, to teraz najważniejsze. Potem będzie trzeba sprowadzić Normana do domu i tam się nim zaopiekować. Rabina Zweeka ogarnęła nagła potrzeba powrotu do domu, do sypialni Normana, gdzie będzie mógł rozpocząć poszukiwania na poważnie. Wiedział jednak, że gdy tylko stanie przed tymi szufladami, straci wszelką chęć do poszukiwań.

Bella dotarła już do łóżka Normana; rabin patrzył, jak syn mości się w pościeli. Bella odłożyła paczkę na stolik nocny i przystawiła krzesło dla ojca. Usiedli po obu stronach łóżka, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy. Kilku pacjentów przechadzało się po oddziale, tam i z powrotem w tempie *largo*, niczym smutne metronomy. Jeden z nich, szachista idący z planszą pod pachą, wyglądał tak, jakby zmierzał do łóżka Normana.

– Idź mi stąd! – krzyknął Norman. Mężczyzna automatycznie obrał kurs na środek przejścia i powrócił do swojego pierwotnego rytmu. Norman nie życzył sobie, żeby ktokolwiek się wtrącał. Owszem, może i siedzieli tak we troje w absolutnym milczeniu, ale nawet to były sprawy prywatne. Ich niemówienie, ich niepatrzenie – to miało pozostać nienaruszone.

Rabin Zweek zaczął wiercić się na krześle. Podniósł wzrok; miał nadzieję, że syn na niego spojrzy.

– Cześć, Norman – powiedział. Ćwiczył to przez całą drogę z przystanku autobusowego, te słowa musiały więc w końcu paść. Tak jakby rabin był gotów puścić w niepamięć ich nieszczęsne spotkanie przy drzwiach, a – przynajmniej dla niego – obecna chwila wyznaczała początek odwiedzin u syna.

– Cześć, tato. Jak się masz?

– On pyta mnie. – Rabin Zweek się uśmiechnął. – To ty w łóżku leżysz, to ty w szpitalu jesteś, ale mnie pytasz, jak się mam. Bella paczuszkę przygotowała – powiedział łagodnie. – Papieru nieco uchył. Bella tak ładnie zapakowała. Masz. – Sięgnął do szafki i wziął w ręce paczkę. – Uchył, ja też chętnie zobaczę, co tam w środku jest. Może jaka niespodziankę?

– Tato, nie jestem dzieckiem i nie wzruszają mnie niespodzianki. Wiem, co jest w środku. Jak podejrzewam, czekolada, no i przybory do golenia. A mogłem to wszystko kupić tutaj, w naszym sklepiku.

Rabin Zweck wzdrygnął się na myśl o zaborczości syna.

– Prosiłem was o pieniądze – ciągnął Norman.

– No otwórz, otwórz – nalegał rabin Zweck, sam odpakowując papier. Najpierw ich oczom ukazały się czekoladki, rabin wyciągnął więc ozdobne pudełko. – Takie czekoladki masz w swoim sklepiku? – pogardliwie odrzucił synowi jego poczucie własności. Wyciągnął paczuszkę cukierków. – Takie cukierki kupić możesz? Taki płyn po goleniu? Proszę, proszę, takie mydło? Nu, powiedz. – Nachylił się nad łóżkiem. – Takie dobre rzeczy w swoim sklepiku kupisz?

Norman przyglądał się artykułom wypadającym kolejno na łóżko. Szacował cenę każdego z nich i zliczał łączną wartość.

Wedle jego wyceny wystarczyłoby na zapas białych na cztery dni. Na myśl o tym marnotrawstwie poczuł mdłości.

– Czekolada. – O mało nie zwymiotował. – Kto by zjadł tyle czekolady? A od kiedy to smaruję twarz tym babskim świństwem?

– Prosiłeś o czekoladę – powiedziała Bella stanowczo. – Błagałeś o czekoladę. Dzisiaj rano przez telefon jęczałeś o nią jak dziecko.

– Jak dziecko – powtórzył Norman. – Chcielibyście, żebym właśnie tak się zachowywał, co? – zapytał z rozgoryczeniem. Przerzucił przedmioty leżące na łóżku; z narastającym przerażeniem rozmyślał nad tym, jaką kolejną wymówkę mógłby znaleźć, aby wyciągnąć od rodziny pieniądze. W nogach łóżka leżała torebka Belli. Nie wykluczał również możliwości wypływających z tego faktu. Miał jednak skrupuły. Kradł już wcześniej, zazwyczaj z kasy sklepowej. To jednak było co innego. Kasę otwierało się przynajmniej z trzydzieści razy dziennie. Można było wyjąć z niej pieniądze niemal przez przypadek. Z torebką było inaczej. Torebka wymagała planowania i zręcznych palców, a Norman nie miał w tym względzie większego doświadczenia. Bądź co bądź stanowiła jakąś opcję – być może jedyną realną opcję w tym momencie.

Bella sięgnęła ponad łóżkiem, podniosła torebkę i otworzyła ją, jakby czytała bratu w myślach. Norman nachylił się, próbując zajrzeć do środka. Nie opłaca się podejmować ryzyka, jeśli w torebce nie ma nic godnego uwagi. Gdy siostra wyciągała chusteczkę, Norman dostrzegł dużą, otwartą kopertę bankową. W środku krył się utarg z połowy dnia w sklepie; ponieważ pojechali odwiedzić Normana, Bella nie zdążyła jeszcze zdeponować pieniędzy w banku. Na podstawie dotychczasowego doświadczenia Norman ocenił, że przedpołudniowe wpływy do sklepowej kasy – zwłaszcza w dzień, gdy nie otwierali już po obiedzie – mogły wynosić nawet dobre piętnaście funtów. Zapasy na dwa tygodnie. Musiał zdobyć te pieniądze. A oni zasłużyli sobie na to, żeby je stracić – przynieśli mu te wszystkie czekolady i płyny po goleniu, jakby był jakimś inwalidą. Rozbudził w sobie solidną nienawiść do rodziny, chcąc ułatwić sobie kradzież. Wciąż jednak istniał praktyczny problem wejścia w posiadanie pieniędzy. „Może Bella zechce pójść do łazienki” – pomyślał. „Ale przecież to naturalne, że wtedy weźmie torebkę ze sobą”. A więc jeśli miał to zrobić, musiał tego dokonać tutaj, pod jej nosem, i to na chwilę przed tym, jak rodzina zacznie się zbierać do wyjścia, żeby Bella nie zdążyła zauważyć braku koperty. Patrzył, jak siostra wkłada chusteczkę z powrotem do torebki. Zakryła kopertę, ale jej nie przesunęła. Odłożyła torebkę w nogi łóżka.

– Bella, dzięki za czekoladę – powiedział. – Przepraszam, że się rozzłościłem. Jesteś dla mnie taka dobra.

Rabin Zweck uśmiechnął się wobec tego przejawu czułości łączącej rodzeństwo – tej zdarzającej się czasem premii do rodzicielstwa – nieświadomy kryjącego się za wypowiedzią syna rozumowania, że bezpieczniej, choć może nieco mniej etycznie, jest okraść przyjaciela niż wroga.

- Jak tam w sklepie? – spytał Norman. – Radzicie sobie beze mnie?
- Faktycznie, tak bardzo nam pomagałeś – zazartowała Bella.

Przekomarzali się przez chwilę, wspierani od czasu do czasu przez rabina Zwecka. Rozmowa o wszystkim i o niczym, raczej o niczym, służąca odwleczeniu lub wręcz uniknięciu wzmianki o prawdziwych powodach ich wizyty. Podczas rozmowy Norman potrząsał palcami u nóg, potem całymi stopami, następnie łydkami, za każdym razem robiąc porządną przerwę między kolejnymi ruchami i skarżąc się na swędzenie wywołwane przez przydziałową piżamę, którą miał na sobie. A tymczasem torebka Belli spazmatycznymi podskokami pokonywała drogę wzdłuż jego ciała, aż w końcu znalazła się w zasięgu jego rąk. Po zakończeniu każdego z etapów tej podróży Norman rozwodził się w szczegółach nad tym, czego już dowiedział się o szpitalu oraz nad historiami kilku pacjentów, których już zdążył poznać. Gdy torebka dotarła na miejsce, Norman radośnie opowiedział rodzinie o swoim dobrym samopoczuciu.

Bella przez cały czas przyglądała się ruchom torebki, zahipnotyzowana jej powolną, niepewną wędrówką. Nie próbowała jej zatrzymać, chociaż domyślała się, dokąd i po co zmierza. Podczas gdy torebka balansowała na kolanie Normana, Bella próbowała oszacować poranny utarg i zastanawiała się, jak zwrócić pieniądze, żeby ojciec się nie dowiedział. Czekwała z fascynacją na zakończenie, chcąc dowiedzieć się, jak też Norman zamierza ostatecznie osiągnąć swój cel. Odwróciła się do niego bokiem, aby ułatwić mu kradzież. Uśmiechnęła się do siebie. Norman okazywał oznaki dawnej normalności, w której Bella przez lata nauczyła się go wspierać. „Za parę chwil zaczniesz pociągać nosem – pomyślała – i poprosi mnie o chusteczkę”. Ledwo zdążyła skończyć myśl, a już Norman zaczął przygotowywać grunt, odgrywając atak kaszlu. Po kaszlu przyszedł czas na pociąganie nosem, a rabin Zweck powiedział:

– I na dokładkę przeziębiony jesteś.

– Na dokładkę do czego? – spytał Norman, którego ani na chwilę nie opuszczało głębokie przekonanie o tym, że jest w pełni zdrowy na umyśle.

– Do niczego, do niczego – powiedział szybko rabin Zweck.

– No, do czego? – dociekał Norman.

– Ja też przeziębiony jestem – znalazł wymówkę rabin Zweck. – Na dokładkę do mojego przeziębienia – wyjaśnił niepewnie.

Norman odpuścił. Wobec perspektywy dwutygodniowego zapasu w zasięgu ręki, mógł sobie na to pozwolić. Znowu pociągnął nosem.

– Bella, masz może chusteczkę?

– Proszę, mojej użyj – zaproponował rabin Zweek, wyciągając białą chustkę z wewnętrznej kieszeni.

– Ty jesteś przeziębiony, tato – powiedziała Bella, mrugając do ojca porozumiewawczo. Rabin Zweek schował chusteczkę, wdzięczny córce za interwencję, którą wziął za współudział w swoim podstępnie. – W mojej torebce jest chusteczka – dodała Bella.

Gdy Norman zabrał się do otwierania jej torebki, Bella przeszła na drugą stronę łóżka, po czym – stojąc plecami do brata i zasłaniając go przed ojcem – złożyła równo chusteczkę rabina i włożyła ją do jego wewnętrznej kieszeni. Odwróciła się, by sprawdzić, czy Norman zakończył swoją misję. Jedną rękę trzymał pod poduszką, drugą wycierał nos. Teren był czysty, Bella wróciła więc na miejsce. Zostawiła torebkę tak, jak leżała, nie zamierzała do niej zaglądać przed wyjściem ze szpitala. Postanowiła chociaż w tym względzie oszczędzić bratu nerwów.

Goście z ogródka zaczęli powoli napływać na oddział. Niespokojni po pobycie na otwartej przestrzeni, bez wątplenia zarażeni przez chorych członków rodziny potrzebą izolacji, z ulgą poddawali się i odprowadzali pacjentów do ich bezpiecznych łóżek. Miejsce jednego z powracających mężczyzn było w łóżku sąsiadującym z łóżkiem Normana, jego rodzina przyszła więc za nim, ułożyła go i utuliła z przesadną troską. Następnie zasiedli wokół niego. Co jakiś czas upewniali się, czy na nich nie patrzy, po czym ukradkowo zerkali na oddziałowy zegar, dziwiąc się, że czas może płynąć tak powoli. Sprawdzali godzinę również na swoich zegarkach, jakby czas w zakładzie dla umysłowo chorych płynął na własnych zasadach, podlegając jedynie fantazjom tych, którzy patrzyli na zegar, zamykając kilka tygodni w minucie lub mieląc cały rok jednym drgnieniem sekundnika. Żalowali, że nie było tutaj ustalonej godziny wyznaczającej koniec wizyty jak w normalnych szpitalach. Tutaj porę odjazdu pozostawiano wyczuciu odwiedzających, cokolwiek to słowo znaczyło w takim miejscu.

Przy sąsiednim łóżku panowało milczenie. Niebawem rozlało się ono również na Bellę i rabina Zwecka, którzy siedzieli nieopodal, cały czas unikając wzroku Normana. Gdy rabin Zwick zerknął na matkę chłopaka, kobieta spojrzała mu w oczy.

– Piękny dziś dzień – zagadnęła.

– Owszem – odparł uprzejmie rabin Zwick – piękny dzień. – On również chętnie przyjął to urozmaicenie.

– Nie widziałam tu jeszcze państwa – stwierdziła kobieta. – Czy to państwa pierwszy raz?

– Tak – włączyła się do rozmowy Bella. – Jeszcze nigdy tu nie byłam.

– Och, tak tu miło – powiedziała kobieta. – Zawsze wyczekuję tych wizyt. To dla nas całkiem przyjemne wycieczki. Przez lata zdążyłam tu zawrzeć sporo przyjaźni. Poznałam cudownych ludzi. Będę za tym tęskniła, kiedy syn wyjdzie.

Rabinem Zwickiem wstrząsnął dreszcz.

– Przychodzą i odchodzą – ciągnęła kobieta – a my tu siedzimy, zdawałoby się, już całe wieki. – Zachichotała, lekko zakłopotana. Rabin Zwick obrócił się na krześle, próbując osłonić się przed jej wylewnością.

– A jak długo... – zaczął rabin.

– Ile to już będzie, George? – spytała. – We wrześnie sześć albo siedem lat. Nie, George, sześć – plotła, nie czekając na reakcje George'a. – Jestem pewna, że sześć. – Odwróciła się do rabina Zwecka. – Tak, sześć lat temu zaczęłam prowadzić moje stoisko na bazarku dobroczynnym. Wie pan, w każde święta Bożego Narodzenia urządzamy kiermasz, żeby wesprzeć sierociniec – zwierzyła się. – Zaczęłam prowadzić stoisko, bo mój kochany Billy podsunął mi ten pomysł. Prawda, Billy? – zwróciła się do smutnej bryły leżącej w pościeli. Mężczyzna miał z trzydzieści lat. Z pewnością miał już prawo do tego, by zwracano się do niego per „William”. Billy grzecznie pokiwał głową. Zdobył się nawet na uśmiech, chociaż nie był on adresowany do matki. Kobieta ciągnęła dalej: – Na początek zrobił, a wie pan, wtedy był tutaj dopiero od paru tygodni, cudowny kosz na śmieci. Był przepiękny. Billy dał mi go, żebym sprzedała go na kiermaszu. I tak co tydzień: gdy przychodzę, Billy wręcza mi coś nowego, a ja zbieram to wszystko z myślą o moim świątecznym stoisku. Nazywam to „Bazarek Billy'ego” – oznajmiła. – Za każdym razem wyprzedaję wszystko. George, podaj torbę.

George wręczył żonie sporą torbę podróżną, z której kobieta z namaszczeniem wydobyła plastikowy abażur.

– Prawda, że śliczny? – spytała. – Sprzedałabym bez trudu ze sto takich. Proszę tylko spojrzeć, jak go wykończył. – Umożliwiła oględziny krawędzi Belli, najwyraźniej zakładając, że z jej strony doczeka się większego uznania. – Jakby robiła to kobieta – oznajmiła z dumą. – Oczywiście, mają tutaj pełne zaplecze – ględziła dalej – i najlepszych instruktorów. Tylko solidne materiały i tak dalej.

Bella odkręciła się lekko plecami do kobiety. Była nią do reszty znudzona, a na dodatek lekko rozszoszczona faktem, że tamta wykorzystuje ją i ojca do swoich celów. Rabin Zweek już dawno przestał słuchać tego trajkotania. Informacja, iż Billy spędził tu sześć lat, absolutnie odcięła go od otoczenia. Na chwilę poddał się panicznemu lekowi, sądząc, że zapewne Billy cierpi na to samo, co Norman, spróbował jednak przepędzić tę myśl. Nic dziwnego, że biedny chłopak jest *meszuga*, biorąc pod uwagę, jaką ma matkę. Rabina dręczyło jednak pytanie o to, co jest z chłopakiem nie tak, jaka dolegliwość mogła uwięzić go tu na całe sześć lat. Nie chciał wiedzieć dokładnie, co to jest; nie powodowała nim niezdrowa ciekawość o schorzenie chłopca. Chciał się tylko upewnić, że to nie przez uzależnienie od leków. „Żeby tylko nie tabletki” – modlił się w myślach. Musiał wziąć tę kobietę na stronę i zapytać. To jednak byłby gest zażyłości; rabin wiedział, że kobieta bardzo chętnie by na niego przyzwoliła, sam jednak nie chciał obnażać przed nią swoich lęków. Porozmawia z ojcem chłopaka, jak mężczyzna z mężczyzną. Tak będzie lepiej. Niech Bella rozmawia z kobietą. Rabin wstał i podszedł do sąsiedniego łóżka. Postanowił dotrzeć do George’a poprzez Billy’ego, twórcę koszów na śmieci, którego życie płynęło zgodnie z rytmem kiermaszów jego nieszczęsnej matki.

– Lepiej panu? – spytał. Chciał się zwrócić do mężczyzny po imieniu, ale „Billy” wydawało mu się zbyt głupie.

Billy zdawał się zdumiony pytaniem.

– To pana pierwsze odwiedziny? – spytał.

Rabin Zweek skinął głową. Czuł się jak żółtodziób, niemający zielonego pojęcia o szpitalnych realiach.

– Po sześciu latach – stwierdził Billy – inni zapominają, że coś w ogóle człowiekowi dolega. Nikt już nie pyta, czy czuję się lepiej. Po takim czasie to miejsce przestaje być szpitalem. Staje się domem.

Rabina Zweeka zbiła z tropu rezygnacja pobrzmiwająca w głosie mężczyzny. Rabin chciał mu powiedzieć coś miłego, przywrócić mu odrobinę godności, trochę go „wybillić”.

Chciał pochwalić jego abażur, jednak instynktownie wyczuł, że Billy’ego nie interesuje własne rękodzieło. Najprawdopodobniej w całym wszechświecie nie istniało nic, co by go obchodziło.

– Pan do domu wrócić nie chce? – spytał rabin Zweek bezradnie.

– To jest mój dom – odparł Billy. – Ten dom już się do mnie przyzwyczaił. Daje mi wszystko, czego trzeba, a ja nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.

Gdy rabin Zweck zerknął na George'a, odnalazł w jego bezradnym spojrzeniu okrucieństwo własnego cierpienia.

– Dlaczego miałby tutaj siedzieć? – spytał rabin Zweck gniewnie. Nie chodziło mu właściwie o postawienie pytania, które wcześniej zamierzał zadać; po prostu zaprotestował przeciw ciężkiemu grzechowi popełnianemu przez ojca, ślepo akceptującego taki stan rzeczy. – Dlaczego miałby tutaj siedzieć? Po co? Co z nim nie tak? – pytał w popłochu. Obawiał się, że Norman zarazi się uległością Billy'ego. Kapitulacja jest zaraźliwa. Rabin Zweck pragnął, by Billy wyszedł ze szpitala – życzył tego w równym stopniu jemu, co synowi. – Nu, co jemu dolega, co on tak długo tu siedzi? – spytał.

Na chwilę zapadło milczenie. Billy spojrzął na ojca, wyciągnął ku niemu rękę, położył dłoń na jego ramieniu i przyciągnął go do łóżka. Billy mógł znieść własne nieszczęście, ale nie brzemień ojcowskiego cierpienia.

– Już lada dzień znajdą na to lekarstwo, prawda, tato? Cały czas prowadzą eksperymenty. Jestem już starym królikiem doświadczalnym, co nie, tato? – Lekko uderzył ojca pięścią w ramię i roześmiał się. – Tylko poczekajcie – powiedział w nagłym przypływie radości – w najbliższe święta mama będzie musiała znaleźć sobie jakiegoś innego dostawcę.

– Zgadza się, synu – odparł George. – W święta twoja matka będzie musiała iść na żebry. – Zaczął się śmiać razem z Billym, figlarnie odwzajemniając jego cios w ramię.

– No, no, chłopaki. – Matka Billy'ego odwróciła się z powrotem do łóżka. – George, przestań, bo zbyt go pobudzisz.

George przestał. Oboje wiedzieli, czym kończyło się nadmierne pobudzenie. Pobudzenie było eufemizmem, którym określali „niedyspozycję” Billy'ego. Nawet rabin Zweck dosłyszał w tym słowie lekkie echo groźby i lęku. Rabin Zweck i matka Billy'ego ruszyli ku sobie, by zamienić się miejscami. Mijając rabina, kobieta złapała go za rękaw i odciągnęła na stronę.

– Niech się pan nie martwi – pocieszyła go – pomogą mu skończyć z tabletkami. W trymiga. Chciałabym, żeby przypadek mojego Billy’ego też był taki prosty.

Rabin Zweek wrócił na swoje krzesło przy łóżku Normana. Doczekał się odpowiedzi. Nie poznał co prawda natury dolegliwości Billy’ego, wiedział jednak, że to nie to samo, co u Normana. Podziękował za to Panu.

– Bella – zawołała matka Billy’ego. Rabin Zweek był niezadowolony, że kobieta była już z córką w tak zażyłych stosunkach. – Chodź – wezwała ją. – George, pokaż młodej damie portfel, który Billy dla ciebie zrobił.

Bella czuła się w obowiązku do nich podejść, rabin Zweek został więc sam na sam z Normanem.

– Skończyłeś już z tym towarzystwem? – spytał Norman. Podczas gdy ojciec stał przy sąsiednim łóżku, a Bella dawała się pochłaniać matce Billy’ego, Norman czuł się jak zignorowany gospodarz. Ogarnęło go potworne uczucie osamotnienia. Znowu poczuł nagłą potrzebę ucieczki z tego miejsca, bez względu na to, że właśnie zabezpieczył sobie dwutygodniowy zapas.

Wszyscy tutaj są obłąkani, a on miał niedługo stać się taki jak oni. Chciał wrócić do domu. Rodzina musiała go jakoś stąd wydostać. Rabin Zweek dostrzegł łzy w oczach syna. Nachyliwszy się do niego, szepnął:

– Miły chłopak z tego... no... Billy’ego. Bardzo miły chłopak.

– Tato – odpowiedział Norman – chcę wrócić do domu. Proszę, zabierz mnie do domu. – Łzy płynęły już swobodnie z jego oczu. Rabin Zweek zaczął niespokojnie oglądać się na Bellę, licząc na jej wsparcie.

– Postaram – powiedział słabym głosem – ale spróbować chociaż musisz. Kilka tygodni – ośmielił się rzucić.

– Nie mogę, nie mogę! – odparł Norman. – Pozwól mi wrócić do domu. Ciotunia Sadie się mną zajmie. Skończę z narkotykami. Obiecuję. – Złapał ojca za ramiona. – Obiecuję. Musisz mnie tylko zabrać do domu.

– Zobaczę, zobaczę – odrzekł rabin.

– Tak, ale zobacz od razu. Najlepiej zaraz zobacz się z doktorem.

– Bella, Bella! – zawołał rabin Zweek, rozgniewany, że córka nie udziela mu wsparcia. – Bella, chodź tu. On wracać do domu chce – powiedział bezradnie, gdy podeszła do łóżka.

– Proszę cię, Bella, proszę – zaczął błagać Norman – zabierz mnie do domu. Proszę. Powiedz im, żeby mnie wypuścili.

Bella zerknęła na ojca. Aby nie ulec, potrzebowali siebie nawzajem. Rabin Zweek był gotów wybaczyć córce, że każe Normanowi tutaj zostać. Podobnie Bella była gotowa wybaczyć ojcu. Oboje chcieli, żeby Norman wrócił do domu, jednak oboje wiedzieli, że – jak stwierdził jegomość z teczką – będzie tutaj uziemiony na co najmniej miesiąc. Żadne z nich nie odważyło się powiedzieć tego Normanowi.

– Parę tygodni zostać spróbuj, może miesiąc. – Rabin Zweek wreszcie wymówił to słowo. – Za miesiąc do domu wrócisz, słyszysz? – podniósł głos. – Czy ci poprawi, czy nie – powiedział do całego oddziału. – Do domu wrócisz. Dość już tego – dodał. – Miesiąc i do domu. Obiecuję.

– Dlaczego miesiąc? – jęknął Norman.

Bella obawiała się, że brat odgadł długość swojego wyroku. Miesiąc: w tym słowie pobrzmiwało coś niezaprzeczalnie prawniczego.

– Trzy, może cztery tygodnie – stwierdziła swobodnym tonem. – Zobaczymy, jak ci się będzie poprawiać. Obiecuję ci, że zabierzemy cię z tatą do domu.

– Proszę, proszę – błagał Norman.

Rabin Zweek zerknął na oddziałowy zegar. Musiał już iść, bez względu na to, która była godzina. Musiał wracać do sypialni Normana. Nie było czasu do stracenia. Jednego był pewien. Norman musi wyjść z tego miejsca. Jeżeli jednak chcą odpowiednio się o niego zatroszczyć w domu, muszą najpierw znaleźć jego dostawcę, muszą raz na zawsze odciąć jego źródło.

– Pójść już musimy – oznajmił nagle rabin.

– Dlaczego? – spytał Norman.

Rabin Zweek nie był w stanie wymyślić żadnego, choćby nawet najbardziej wydumanego powodu.

– Pójść już musimy – powtórzył.

– Uciekacie ode mnie, co? – spytał Norman.

– Oczywiście, że nie – powiedziała szybko Bella. – To dla taty ogromne obciążenie. Dobrze o tym wiesz, Norman. Odwiedzimy cię znowu. Niedługo – dodała.

– Och, nie narażajcie się tylko na zbytne niedogodności – odparł Norman. Wsunął się głębiej pod kołdrę, przybierając udęczonego wyraz twarzy, tak żeby po wyjściu z oddziału mieli w pamięci obraz jego cierpienia. Nie zamierzał im pomóc.

Rabin Zweck nie spojrział jednak na syna. Wiedział, że nie będzie w stanie znieść tego, co zobaczy. Zaczął oddalać się od łóżka.

– Do zobaczenia, tato – usłyszał. Na głos Normana zamarł w miejscu. Odwrócił się i podszedł do łóżka.

– Nie zamartwiaj – powiedział, całując syna. – Wszystko załatwię, wszystko załatwię. Do domu wrócisz. Ciotunie Sadie przyjedzie. Lepiej ci będzie. – Odwrócił się szybko i wyszedł z rozmazującego się oddziału.

Przystanął na korytarzu przed wejściem na oddział, aby tam poczekać na Bellę. Miał nadzieję, że córka zostanie chwilę dłużej i doda otuchy Normanowi. Usiadł przy jednym ze stołów naprzeciwko małej salki, w której zaledwie dzień wcześniej przyjmowano Normana. Na korytarz wyszedł pielęgniarz, który wtedy pocieszał rabina. Mężczyzna podszedł do stolika i powiedział:

– Dzisiaj jest z nim trochę lepiej.

Rabin Zweck uśmiechnął się słabo.

– Nie powinien się pan tym zbyt zamartwiać – mówił dalej pielęgniarz. – Przy okazji następnej wizyty proszę przynieść mu jakieś normalne, wyjściowe ubrania. Zapewne poczuje się lepiej, kiedy się ubierze. To doda mu animuszu.

– Nie – odparł rabin Zweck. Nie chciał, żeby to zabrzmiało tak ostro, ale komplet normalnych ubrań w tym miejscu był po prostu nie do pomyslenia. Rabin nie zamierzał pomagać synowi tutaj osiąść, nie zamierzał zwozić mu rzeczy w takie miejsce. – Nie – powtórzył łagodniejszym tonem. – W dniu, w którym stąd wyjdzie, ubrania dostanie.

Pielęgniarz wrócił do swojej salki i po chwili wyszedł ze szlafrokiem Normana w ręce.

– Może go pan zabrać do domu – powiedział łagodnie. – Dajemy pacjentom nasze.

Rabin Zweck przyjął szlafrok bez słowa. Pielęgniarka poklepała go po ramieniu, po czym odszedł korytarzem. Rabin Zweck trzymał szlafrok w wyciągniętej ręce. Szlafrok wyglądał na pozostawiony w spadku; rękawy wciąż miał podwinione, jakby jeszcze przed chwilą ktoś miał go na sobie. Rabin szybko go zwinął i położył na kolanach. W roztargnieniu wsunął dłoń do kieszeni. Zmięta chustka i skrawek papieru. Wyciągnął karteczkę. Była złożona w równy kwadrat. Rabin musiał stawić czoła tej samej fali mdłości, która ogarnęła go podczas przeglądania szuflad. Porzucony szlafrok wyglądał całkiem niewinnie, ale on – prosię bardzo – już przetrząsał kieszenie, jakby syn był na tamtym świecie. Mógł jednak natknąć się na jakąś poszlakę.

– Kto wie? – wymamrotał pod nosem. Rozłożył karteczkę i rozprostował ją na stole. Jego oczom ukazał się napis „Sutereana”. Pod spodem widniał adres i numer telefonu. U dołu karteczki jego syn dopisał: „nie w piątki”.

Rabin Zweck szybko złożył kawałek papieru i wsunął go do wewnętrznej kieszeni. Poklepał się po kamizelce z głębokim przekonaniem.

– Morderce – szepnęła. Rozpierała go radość ze znaleziska, musiał jednak ukryć je przed Bellą. Chciał sam zbadać ten trop. Zamierzał odnaleźć mężczyznę, czekającego pod tym numerem telefonu, a potem... – Nie, nie – powiedział pod nosem. – Po prostu jego znajdę. Po prostu znajdę i powstrzymam. Tylko go powstrzymam. – Znowu poklepał się po kieszeni. – Mordercę – szepnęła, uśmiechnęła się jednak lekko, bowiem teraz, gdy go znalazł, zdążył mu już na wpuść przebaczyć.

Teraz nie mógł się doczekać, kiedy Bella do niego przyjdzie. Musiał wrócić do domu i rozpocząć dochodzenie. Od czasu do czasu któryś z gości wychodził z oddziału – najpierw powoli, a potem coraz szybszym krokiem, z rosnącą ulgą opuszczał budynek. Rodzice Billy’ego wyszli na korytarz, nie odwracając się za siebie. Matka chłopaka trzymała abażur nad głową jak jakieś trofeum. W drodze do drzwi wyjściowych pokłonili się rabinowi Zweckowi.

– Do zobaczenia przy następnych odwiedzinach – powiedział George, bezradnie wzruszając ramionami. Sam chciał tego nie bardziej niż rabin Zweck, jednak dobrze wiedział, że kolejne spotkania były nieuniknione.

Bella wyszła z oddziału chwilę po nich.

– Nie martw się – zaczęła mówić już z pewnej odległości. – Obiecałam mu, że go stąd wyciągniemy. Jest spokojny. Tato – dodała, przysuwając się do ojca – to nie jest miejsce dla niego. Musimy go zabrać do domu, bo tutaj zwariuje.

– Tak, tak – odparł rabin Zweek. – Musimy, musimy. Ale najpierw dowiemy tego, skąd bierze. A wtedy go do domu zabierzemy.

– Przecież nigdy się tego nie dowiemy – stwierdziła Bella.

– Dowiemy, dowiemy. – Rabin Zweek czuł palącą pokusę, by podzielić się z córką swoją najnowszą poszlaką. Z drugiej strony, znalezisko napawało go pewnym podnieceniem, którego w tej chwili nie chciał z nikim dzielić. – Dowiemy, dowiemy – powiedział znowu, a Bella zastanawiała się, skąd w ojcu taka pewność.

Drogę do przystanku autobusowego przeszli w milczeniu. Rabin Zweek mówił sobie, że jeszcze tego samego wieczoru uda się pod adres zapisany na karteczce. Zastanawiał się tylko, jak wytłumaczyć cel swojego wyjścia Belli. Będzie musiał – niech mu Pan wybaczy – wymyślić jakąś historyjkę. Bella z kolei igrała ze swoją tajemnicą. Myślała, jak uzupełnić pieniądze ze sklepu, zanim ojciec się zorientuje, że coś zniknęło.

Na przystanku stali rodzice Billy’ego. Gdy rabin Zweek podszedł bliżej, zauważył, że matka Billy’ego szlocha spazmatycznie, ukrywając twarz w dużej chustce. Zdumiony George stał obok z abazurem, czekając, aż żona się wypłaczę. Kiedy nadjechał autobus, mężczyzna delikatnie wprowadził żonę do środka. Rabin Zweek wsiadł za nimi. Przypomniał sobie irytujące zachowanie kobiety na oddziale. Teraz uznał je za oznakę siły. Gdy szli w stronę wolnych siedzeń, rabin położył rękę na plecach George’a. Mężczyzna odwrócił się do niego i skinął głową w podziękowaniu.

– To przez to napięcie – powiedział. – To przez te nieustające zmartwienia.

– Wiem, wiem – odrzekł rabin Zweek. Nikt nie musiał mu objaśniać, jak działa *cures*.

Rabin Zweek wysiadł z autobusu na początku parku. Było już ciemno, a charakter jego eskapady oraz nieznanne otoczenie napawały go zarówno strachem, jak i podnieceniem. Postawiwszy kołnierz płaszcza, ukradkiem rozejrzał się wokół. Przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że rabin Zweek bawi się w prywatnego detektywa. Cichutko ruszył przed siebie chodnikiem, idąc cały czas pod murem. Od czasu do czasu powtarzał sobie adres. Od numeru sto trzy dzielił go jeszcze spory kawałek, a dokładniej sto trzy domy, biorąc pod uwagę, że wszystkie stały po jednej stronie ulicy. Rabin miał nadzieję, że mężczyzna będzie w domu, że nie prowadzi swojego interesu tylko za dnia. Oczywiście można było najpierw zadzwonić. Kiedy się jednak nad tym zastanowił, stwierdził, że woli nie ostrzegać mordercy o swoim przybyciu. Lepiej złapać go na gorącym uczynku, kiedy nie będzie się niczego spodziewał.

Nie wymyślił sobie zawczasu żadnego powodu wyjścia, a kiedy Bella zobaczyła, że ojciec zapina płaszcz i spytała go, dokąd idzie, rabin sam był zaskoczony łatwością, z jaką przyszło mu kłamstwo.

– Pani Golden mnie zaprosiła. Dziś rano w sklepie. Na kolację być miałem. Ale mówię: po kolacji przyjdę. Dlaczego z panią Golden jeść mam, kiedy w domu nic nie brakuje? – Przesadził z wyjaśnieniami; zdawał sobie sprawę, że jego występ był beznadziejny, a historyjka jest łatwa do sprawdzenia. Miał nadzieję, że Bella mu nie uwierzy, ale zaufa, że jego wyprawa jest konieczna bez względu na prawdziwy cel. Córka uśmiechnęła się do niego i poprawiła mu płaszcz. Wiedziała, że jego wyjście ma coś wspólnego z Normanem. Była wściekła na brata, że przez niego ojciec musi kłamać. Do czego to wszystko prowadzi? Kiedy rabin Zweek wyszedł z mieszkania, Bella stała przy poręczy na schodach, patrząc za nim. Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak bardzo oboje zaangażowali się w szaleństwo brata. W gruncie rzeczy stali się świadomymi paserami wspierającymi złodzieja. Sama pozwoliła Normanowi na kradzież sklepowych pieniędzy, wręcz go do tego zachęciła, chociaż dobrze wiedziała, do czego są mu potrzebne. A jej ojciec – zapewne nawet teraz – zastanawia się, jak wyciągnąć stamtąd Normana, chociaż oboje zdają sobie sprawę, że dla własnego dobra powinien tam zostać. Nie potrafią znieść myśli, że Norman mógłby być nieszczęśliwy, chociaż tak po prawdzie to raczej ich własne cierpienie jest nie do zniesienia. I tak oboje weszli w jego obłąd, doprowadzili go do stanu używalności, trochę go przypudrowali, żeby było „miło”. Oboje byli winni w równym stopniu. W głębi serca Bella czuła, że jest lepiej, kiedy bratem opiekują się obcy ludzie. Przez wszystkie te lata jej wytłumaczenie dla choroby Normana było takie, że robił to wszystko celowo, aby doprowadzić ich do szaleństwa. Musiała być na niego wściekła. To była najpewniejsza gwarancja własnego zdrowia psychicznego. Gdy nachodziły ją wątpliwości, najlepiej było trzymać rodzinę na dystans.

Rabin Zweck przystanął, żeby sprawdzić, do którego numeru dotarł. Dwadzieścia pięć. Czekala go jeszcze długa droga. Oceniał, że musiał już pokonać co najmniej dwie długości szeregu domów stojących przy jego ulicy, a było ich co najmniej trzydzieści. Żaden z szeregowców w jego okolicy nie oferował jednak luksusu rozległych ogródków od frontu czy bocznych wejść. Tam, gdzie mieszkał rabin, sąsiedzka życzliwość nie była oznaką przyjaźni; stanowiła raczej geograficznie uwarunkowaną konieczność. Zastanawiał się, czy tutaj w ogóle istniało coś takiego.

Z mieszkania wychodził w gniewnym nastroju, zdeterminowany, by ukarać dostawcę syna. Teraz jednak, w miarę jak zbliżał się do tamtego domu, stopniowo opuszczała go wola walki. Był świadomy własnej kruchości oraz absolutnego braku orientacji w świecie, do którego zamierzał wejść. A nawet gdyby udało mu się usunąć to źródło – zreflektował się – jaką ma gwarancję, że Norman nie znajdzie sobie nowego? Może lepiej byłoby zostawić go w szpitalu? Jednak myśl o Billym i wszystkich pozostałych *meszugojim* po raz kolejny zaważyła na decyzji o uwolnieniu Normana.

– Ach – wymamrotał rabin – i tak źle, i tak niedobrze. W szpitalu czy poza szpitalem. I tak strasznie.

W końcu dotarł, lekko zdyszany, pod numer sto trzy. Przystanął przed domem i chwycił się furki, by uspokoić drżące ciało.

– Wybacz mi, wybacz – szepnął, schodząc po schodach prowadzących do suterenu.

Za drzwiami paliło się światło. Ktoś był w domu; rabin Zweck wahał się, czy wcisnąć guzik dzwonka. Zerknął w stronę schodów prowadzących do domu – z trudem dostrzegał stąd ulicę. Poczul się zamknięty w pułapce, ogarnął go strach. Niemalże nieświadomie zadzwonił do drzwi, jakby chciał prosić, żeby ktoś pozwolił mu wejść we własny lęk i dał mu szansę się z nim zmierzyć.

Drzwi otworzyły się automatycznie, gdy wcisnął dzwonek. Rabin Zweck się zawahał. Zbyt łatwo było tu wejść. Chciał, żeby odmówili mu wstępu – wtedy mógłby przynajmniej od razu zacząć ich besztać. Gdy tak stał, zwlekając, drzwi zdążyły zamknąć się z powrotem.

Przez chwile zastanawiał się, czy wcisnąć znowu dzwonek. Ale o czym tu myśleć? Musiał to zrobić, by mieć to z głowy, a im mniej myślenia, tym lepiej. Każda chwila rozważań byłaby tylko przeszkodą. To, co robił, było irracjonalne i raczej nie mogło przynieść żadnych owoców. Trzeba było to jednak zrobić. Musiał wykonać przynajmniej jeden stanowczy ruch, choćby dla własnego dobra. Wszystko, co już poświęcił całej tej sytuacji, stanowiło jego osobisty ból serca, wrastające cierpienie, które karmiło się własnymi podrygami.

Ogarnięty walecznym nastrojem wcisnął dzwonek i przygotował stopę, by postawić ją w uchylających się drzwiach. Znalazł się w środku, jeszcze zanim drzwi zdążyły otworzyć się do końca. Ruszył przed siebie wąskim korytarzem. Panowały tu ciemności, ale na końcu korytarza rabin dostrzegł blask światła rozlewający się po jakiejś większej przestrzeni. Wyłożone dywanikami schody wyrastały ze środka pokoju i nikły gdzieś w ciemnościach, jakby prowadziły donikąd. Rabin Zweck rozejrzał się wokoło. Nieopodal stały dwa małe stoliki zavalone czasopismami oraz sporymi, ceramicznymi popielniczkami. Tu i ówdzie stały krzesła z twardymi oparciami. Stwierdziwszy, że najwyraźniej znalazł się w poczekalni u lekarza, rabin postanowił usiąść i poczekać. Liczył na to, że w końcu ktoś zejdzie na dół i się nim zajmie. Zaczął się niecierpliwic; obawiał się, że w międzyczasie osłabnie i wymknie się stąd tak, jak przyszedł. Chwycił za podpórki pod ręce, by przytrzymać się na krześle. Próbował przeciwiczyć pierwsze zdanie, które wypowiedział.

– Doktoru, sprawa tyczy mojemu synu – spróbował. Tak, to wystarczy; na razie tym się zadowolili. To był grzeczny początek dialogu, przeprosiny z góry za jakiegokolwiek obelgi, które później przyjdą mu do głowy. Powstrzymał się przed ćwiczeniem dalszych kwestii. – Doktoru, sprawa tyczy mojemu synu – powtórzył pod nosem.

Posłyszał kroki, które zdawały się dobiegać z czarnych wyżyn schodów. Teraz przyszła jego kolej, zaczął podnosić się z krzesła. Z ciemności wynurzyły się nogi mężczyzny. Kiedy schodziły, rabin Zweck dostrzegł delikatnie zbudowanego mężczyznę – raczej młodszego niż doktor, którego sobie wyobrażał – jasnowłosego, rozchełstanego i zmierzającego gdzieś w wyraźnym pośpiechu. Ten pęd sprawił, że rabin skoczył na równe nogi i całkiem nieświadomie zagroził mężczyźnie drogę do wyjścia.

– Doktoru... sprawa tyczy... – zaczął.

– Nie pomogę panu. Ja tu nie mieszkam – odparł szybko tamten, już przygotowując się do przemknięcia obok nieśmiałej bariery. Najwyraźniej naprawdę mu się śpieszyło. Przecisnął się obok rabina. – Ja tu nie mieszkam! – krzyknął z korytarza prowadzącego do wyjścia, tak jakby to była najważniejsza informacja, jaką miał do przekazania. Rabin Zweek usłyszał trzaśnięcie drzwi oraz kroki mężczyzny na schodach prowadzących na ulicę.

Usiadł znowu, zadowolony z odroczenia rozmowy, chociaż już zmęczony falstartem. Był wyczerpany. Długi spacer z przystanku autobusowego już zaczynał dawać o sobie znać pulsującym bólem w nogach. Zamknął oczy, by odciąć się od zniesmaczenia i lęku, którymi napawało go to, co właśnie robił. W pełni oddał się ogarniającemu go wycieńczeniu. Wiedział, że zaraz zaśnie, ale nic go to nie obchodziło.

Gdy tylko zamknął oczy, ujrzał Normana. Syn się do niego uśmiechał. Rabin wiedział, że śni, lecz mimo wszystko trzymał się tego snu oraz pocieszającego obrazu, który mu przyniósł.

– Tatusiu – zagadnął Norman – zobacz, co dla ciebie mam. – Siedział na łóżku, uśmiechnięty, ręce trzymał pod kołdrą. Coś tam ukrywał. – Odwróć się – powiedział – i nie patrz, dopóki ci nie powiem. To niespodzianka. – Rabin Zweek odwrócił się od łóżka i rozejrzał po oddziale. Wszystkie łóżka były puste, z wyjątkiem jednego, na samym końcu, pod drzwiami. Na poduszkach opierał się abażur czytający książkę. Światło przygasało i włączało się za każdym razem, gdy abażur przerzucał kartkę. – Już! – krzyknął za jego plecami Norman. Gdy rabin Zweek się odwrócił, ujrzał kosz na śmieci, stojący na pościeli. Norman trzymał go z dumą. – Sam go zrobiłem – oznajmił. – Zrobiłem go dla ciebie, tatusiu.

Rabin Zweek ujął kosz w ręce.

– Podnieść nie mogę – powiedział. – Za ciężki. – Norman roześmiał się i opatulił się kołdrą. W tym momencie kosz sturlał się z łóżka na podłogę.

– Oczywiście, że nie możesz go podnieść – oznajmił Norman. – Jest pełen. – Rabin Zweek zajrzał do kosza leżącego na ziemi. Faktycznie, był pełen. Pełen Billy’ego.

Rabin Zweck się obudził. Nawet nie podskoczył – przebudził się powoli, bez głębszego przekonania, że to wszystko był tylko sen. Szybko zorientował się w otoczeniu; poczuł złość, że jeszcze nikt się nim nie zajął. Wstał z krzesła i podszedł do schodów.

– Halo, halo! – krzyknął. Był zadziwiony paniką pobrzmiwającą we własnym głosie. Wiedział, że krótki sen napędził mu stracha, nie pamiętał już jednak dlaczego. Był świadom jedynie kociokwiku myśli i dojmującego gniewu. Wszedł dwa stopnie wyżej. – Halo! – krzyknął znowu. Gdy usłyszał, że ktoś chodzi u szczytu schodów, szybko wrócił na swoje krzesło. Próbował sobie przypomnieć przećwiczone zdanie, którym zamierzał powitać doktora, ale zdążyło już mu wyparować z głowy.

Żałował swojego wybuchu. To był zły początek. Próbował przybrać jak najbardziej swobodny wygląd; odwrócił się plecami do schodów. Słyszał, że ktoś wciąż rusza się na piętrze. Od niechcenia podniósł jeden z magazynów leżących na stoliku i zaczął go wertować. Gdy przed jego oczami zaczęły przemykać zdjęcia gołych dziewczyn, jedno za drugim, odniósł wrażenie, że wciąż śni. Takie zdjęcia nie pojawiały się w poczekalniach u lekarzy. Musiał wziąć się w garść. Z obrzydzeniem cisnął czasopismo na stół. Był gotów przyjąć do wiadomości, że tego czasopisma w ogóle tu nie było, że go nie widział, że wcale tu nie przyszedł, że lepiej będzie wyjść i wymazać całe to zdarzenie z pamięci. Ruszył w stronę wyjścia.

– Słucham pana? – za jego plecami rozległ się kobiecy głos.

Odwrócił się. Kobieta stała na dolnych stopniach, przerzucona przez poręcz w postawie absolutnego wyczerpania. Rabinowi Zweckowi wydawało się, że zesza z góry w pośpiechu. Wlepił w nią wzrok. Czekał, aż znowu do niego przemówi, wciąż nie był bowiem w pełni przekonany co do stanu własnej świadomości. Nie był pewien, czy zdołał już całkowicie otrząsnąć się z przerażającego snu.

– Słucham pana? – spytała znowu.

– Sprawa tyczy mojemu synu – powiedział.

– Proszę na górę – odparła. Odwróciła się leniwie i zaczęła stąpać po schodach z wyraźnym zmęczeniem. Gdy zbliżyła się do szczytu schodów, odwróciła się i stwierdziła, że rabin wciąż stoi jak wryty. – No, proszę – ponagliła. – Nie mam czasu do rana.

Ruszył się z miejsca skonsternowany. Zakładał, że kobieta jest żoną lekarza, a może jego asystentką. Gabinet musiał mieścić się piętro wyżej. Zaniepokoił go jednak wygląd kobiety. Był nieczysty. No i te czasopisma. One również nie miały nic wspólnego z medycyną. Mimo wszystko poszedł za nią, podciągając się na poręczy i przyśpieszając kroku, gdy kobieta zdawała się niebezpiecznie bliska zniknięcia w ciemnościach. Gdy wszedł po schodach, musiał podążyć za nią po omacku. A później ciemność przeciął snop światła. Kobieta otworzyła drzwi i stanęła przy nich, aby wpuścić go do środka. Gdy wszedł w światłość, zawahał się w progu. Przed sobą ujrzał nieposłane łóżko, pogięty abażur i stertę ubrań leżącą na krześle.

– Pan przodem – powiedziała kobieta z przesadną uprzejmością.

Rabin Zweek porzucił już na dobre nadzieję na spotkanie z doktorem, wciąż jednak udawało mu się nie przyjmować do wiadomości prawdy o całej tej sytuacji. Wszedł do środka. Pokój był mniejszy, niż się spodziewał. W zasadzie większość przestrzeni zajmowało łóżko, które zobaczył już, stojąc w drzwiach. Poza tym była tu jeszcze nieduża komoda, drugie krzesło i brudna umywalka w rogu. Próbuując wziąć się w garść, utkwił wzrok w umywalce. Dostrzegł w niej pojedynczy długi, czarny włos; powiódł za nim wzrokiem aż do odpływu. Zaczęło mu się zbierać na mdłości. Kobieta zamknęła za sobą drzwi.

– Pani doktor – powiedział, co zabrzmiało zupełnie absurdalnie – sprawa tyczy mojemu synu.

– Co to za zabawa w doktora i syna? – spytała. Wyglądało na to, że trochę się rozbudziła. Podniosła brudną szczotkę leżącą koło łóżka i przeciągnęła nią po włosach.

– Pani lekarce nie jest – bardziej oznajmił, niż spytał rabin Zweek. Chciał ją przekonać, że to wszystko jedna wielka pomyłka.

– A wyglądam na lekarce? – spytała z uśmiechem. Dostrzegła jego udękę. – Co się stało? – spytała, podchodząc do niego. Nie odsunął się, wbrew temu, czego by się po sobie spodziewał.

Owładnęło nim natomiast uczucie wdzięczności za jej troskę. Chciał usiąść i wszystko jej wypłakać, całą tę meczącą historię – o powodach jego wizyty, o Normanie leżącym w szpitalu, o Billym leżącym po sąsiedzku, o matce Billy’ego płaczącej na przystanku autobusowym, ale najbardziej chciał wypłakać własne upokorzenie. Podszedł do krzesła niezarzuconego ubraniami i zaczął się szykować, żeby usiąść. Kobieta złapała go za ramiona i roześmiała się:

– To jest zepsute. Proszę usiąść na łóżku.

Pozwolił jej się podprowadzić do łóżka i opadł na nie ze zmęczeniem, nie czując najmniejszego obrzydzenia na myśl o brudnej pościeli i kupce noszonych ubrań rzuconej na zwinięte koce. Kobieta stanęła nad nim. Nic nie wskazywało na to, aby zamierzała usiąść. Teraz dopiero zwrócił uwagę na to, że miała na sobie szlafrok. Uśmiechnął się, gdy złapała za końce paska i zawiązała podwójny supeł. Odebrał to jako przejaw szacunku; był jej za to wdzięczny.

– Co się stało z całym tym synem? – spytała. – Coś mu dolega?

Nie usłyszał jej pytania. Przyglądał się właśnie przerwie między jej piersiami, odsłoniętej przez poły szlafroka. Pomimo tego, że zawiązała węzeł w pasie, szlafrok rozchyłał się szeroko na dekolcie. Rabin Zweck wpatrywał się w piersi. Nie była młoda. Z pewnymi oporami skojarzył ją z Sarah, nie miał bowiem żadnego innego punktu odniesienia. Pomarszczona skóra jej szyi spływała fałdami na klatkę piersiową, a nieduże skupiska pieprzyków od czasu do czasu wyglądały zmarszczki. Czuł jej zapach – wyraźną mieszaninę zapachów, które poznał przed laty, a które teraz powróciły, przepełniając go podniecającą tęsknotą. Po pierwsze, jego biedna Sarah – Panie, obdarz ją pokojem – wychodząca z kąpieli. Po drugie, bardzo wyraźny zapach stajni, w których przed laty obmywał z braćmi konie ojca. Zapach służących, wypełniający pokoje na poddaszu, gdy przygotowywali się na wychodne. Ta nachylająca się nad nim kobieta była ucieleśnieniem tego wszystkiego. Nostalgia stępiła ostrze jego odrazy.

– Mój syn... – podjął.

– No właśnie, co z pana synem? – w jej głosie rozbrzmiał lekki ton zniecierpliwienia. – Miejmy go już z głowy. – Nachyliła się jeszcze mocniej, tak że jedna z piersi wysunęła się zza poły szlafroka. Rabin Zweck obserwował wynurzenie się piersi spod materiału bez większego zaskoczenia. Dobrze się jej przyjrzał. Wyglądała tak, jakby trzeba ją było wyprasować. Przypomnił sobie zdjęcia z czasopism leżących na dole. To ciało nie miało nic wspólnego z tamtymi połyskliwymi, spuchniętymi obłóściami. Tamte zdjęcia wzbudziły w nim wstręt. A to było co innego. Być może niegdyś jej pierś była pełna i krągła, teraz jednak stanowiła sflaczały odrost, a jej pojawienie się było dziełem przypadku. Rabin Zweck wzniosł rękę; stwierdził, że wciąż ma na dłoniach rękawiczki. Powoli zdjął jedną z nich, ściągając palec po palcu, po czym ujął w dłoń zwisającą swobodnie pierś i wsunął ją na miejsce. Następnie ubrał rękawiczkę i założył ręce na kolanach.

– Całkiem lubieżny z ciebie staruszek, co? – spytała kobieta, prostując się.

– Ja... – zaczął, zdał sobie jednak sprawę, że nie ma co się tłumaczyć. Przez chwilę, siedząc na łóżku, poczuł się bardziej odprężony niż kiedykolwiek, jak pamięcią sięgał. A ona mu to zepsuła. Teraz, patrząc na nią, ujrzał znów tylko to, czym była. Zebrało mu się na mdłości, gdy pomyślał, że Norman miewał do czynienia z tą kobietą. – Dlaczego mój syn tutaj przychodził?

– Bo prowadzę biuro porad obywatelskich – odparła pogardliwie. – Jak myślisz, po co mógł tu przychodzić? A dlaczegoś ty tu przyszedł? To by było pytanie bardziej na miejscu.

Rabin Zweck wstał z łóżka. Chciał stąd wyjść. To była bezcelowa wyprawa, a do tego haniebna. Wyglądało jednak na to, że kobieta wcale go nie wygania. Podeszła do rozklekotanego krzesła i ostrożnie na nim przysiadła, po czym oparła się i rozłożyła nogi, żeby złapać równowagę. Teraz szlafrok rozchylił się szeroko zarówno powyżej, jak i poniżej paska związanego na podwójny supeł. Do kolan nogi miała ogolone, ale powyżej, aż do bioder, płamista skóra była porośnięta sterczącymi na wszystkie strony włoskami. Sposób, w jaki usiadła, nie miał być dla rabina zaproszeniem; najwyraźniej była to jedyna pozycja, jaką można było przyjąć na zepsutym krześle. Rabin Zweck nie potrafił już jednak na to patrzeć w kategoriach wygody. Jeśli chodzi o pierś, to wsunął ją na miejsce po prostu dla porządku, a rękawiczkę zdjął dlatego, że nie dotyka się rzeczy w rękawiczkach. Teraz, gdy tak siedziała, już nie miał ochoty jej porządkować. Podobała mu się taka, jaka była. Zrobiło mu się niedobrze ze wstydu na myśl, że ta kobieta tak go podnieca. Pomyślał, że od wielu, wielu lat, a może i nigdy, nie zdarzyło się, żeby w jego ciało wdarło się tak pożądliwe drzenie. Nie próbował go w żaden sposób kontrolować, a wstyd jedynie je wzmacniał. Rabin rozejrzał się po pokoju; zaczął czerpać przyjemność z widoku brudnej pościeli, sterty ubrań na łóżku, z odrażającego, plugawego ciała kobiety.

– Jak miał na imię twój syn? – spytała.

– Miał? Miał? Mój syn jest, on ma na imię.

– No więc jak ma na imię?

– Henry – odparł prędko rabin Zweck. Był zadziwiony tym, jak szybko przyszło do niego to imię. Tak miał na imię jeden z młodych pomocników ze sklepu. Zwolnili go, bo wciąż próbował dotykać Belli.

– Nie znam żadnego Henry'ego – stwierdziła kobieta. – W każdym razie i tak nigdy nie podają prawdziwych imion.

Rabin Zweck zastanawiał się, jakiego imienia używał Norman i jakiego imienia użyłby on sam, gdyby kobieta go spytała. Stwierdził, że się do niej przysuwa. Zbliżając się do niej, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że pomimo tego, iż całe życie przeżył w surowej dyscyplinie, tak naprawdę nigdy nie zaznał realnej pokusy. Przez te wszystkie lata wiele sobie odmawiał – ze względu na rodzinę lub zasady – nigdy jednak nie był to dla niego specjalny ciężar. Dopiero teraz poznał, co to prawdziwa pokusa, a jego własne ciało groziło mu zdradą.

– O Boże – mruknął pod nosem, ostrożnie zwalniając kroku. – Stary już jestem. Tak długo już żyłem bez. Tak długo już nawet nie pragnąłem. Dlaczego teraz pragnąć miałbym? – Poczł, że się poci. Stał w miejscu. Nie śpieszyło mu się do niej. W pokusie kryła się słodka radość, której smakiem rozkoszował się po raz pierwszy. Zastanawiał się, ilu jeszcze innych radości się wyrzekł. Wszystko – okoliczności jego życia, zmarła żona, Bella, zamężna córka i obłąkany syn – usłużnie wyparowało z jego umysłu; był świadom jedynie własnego, wrzącego ciała. Stał u boku kobiety.

– Jak wygląda twój syn? – spytała. – Pewnie będę wiedziała, o kogo chodzi. Obsługuję tylko kilku klientów.

Na to pytanie rabin zamarł. Przez chwilę, w której jego ciało przejęło absolutne panowanie, wszystko inne straciło władzę. Ta wzmianka jednak sprawiła, że rabin Zweck ujrzał najpierw Normana leżącego w szpitalnym łóżku, potem skrawek papieru w kieszeni szlafroka, a wreszcie pokój kobiety, który był tu i teraz, z którym trzeba się było uporać. Odsunął się od niej, przerażony myślą, że mógłby dzielić ją z synem, a żądza, która przed chwilą muskała jego ciało, teraz plasnęła w nie wstydem. Nogi zmiękły mu z upokorzenia. Dotknął ramienia kobiety. Ona była bez winy. Od czasu do czasu musiała uszczęśliwić jego Normana. Rabin Zweck był jej za to wdzięczny.

– Pójdę – powiedział. – Przepraszam. Pomyłkę. Wszyscy czasem mylimy. Moje winę – stwierdził, widząc jej pytające spojrzenie. – Myślałem, co pani to kto inny. Ale to nie pani. – Podeszedł do drzwi i odwrócił się do niej. – Bardzo pani miła. Bardzo. Przykro mi, ale cóż, moje pomyłkę. – Otworzył drzwi na oścież i nie zamknął ich za sobą, aby światło padające z pokoju doprowadziło go do ciemnych schodów. Przeszedł przez poczekalnię tak szybko, jak tylko potrafił, po czym ruszył korytarzem do drzwi frontowych.

Bez tchu wdrapał się po schodach prowadzących na ulicę. Gdy znalazł się na zewnątrz, na świeżym, czystym powietrzu, oparł się o poręcz, aby jakoś uporać się ze stygnącym ciałem i palącym wstydem. Podyszał tak przez chwilę, po czym ze znużeniem ruszył w drogę powrotną. Szedł pod murem, a wstyd wciąż go dźgał. Napiął mięśnie karku, tak że na jego twarz wystąpił zacięty uśmiech. Krzywiąc twarz w grymasie, wydał z siebie niski, zwierzęcy jęk, odcinając wstyd od swojego jestestwa. Śpieszył się na przystanek autobusowy. Kiedy już wsiądzie do autobusu, będzie mógł się skupić na innych pasażerach, na witrynach sklepów sunących za oknami, na płaceniu za bilet, a może nawet na rozmowie z kimś, kto siądzie obok.

Autobus ulitował się nad nim i nadjechał szybko. Rabin Zweck poszedł tam, gdzie było najwięcej ludzi i zajął miejsce obok starszego mężczyzny. Na następnym przystanku staruszek jednak wysiadł, a rabin został sam. Wpatrywał się w okno. Na trasie nie było żadnych sklepów, ludzi na ulicach jak na lekarstwo, a autobus pustoszała coraz bardziej z każdym przystankiem. Kiedy trzeba było przestać o czymś myśleć, chodzenie sprawdzało się dużo lepiej niż samotne siedzenie, bez czegokolwiek do oglądania, bez jakiegokolwiek towarzysza rozmowy.

– Ach – powiedział na głos – co ze mną jest. I z Normanem – mruknął – co jest? – Jedna czy dwie osoby odwróciły się, żeby na niego spojrzeć, jednak nie doszukały się żadnego znaczenia w jego bełkocie. Dostrzegły wyłącznie jego udrękę, szybko więc odwróciły się z powrotem. – Dlaczego mój syn? – mamrotał. – Dlaczego mój syn by do takiej kobiety chodził? Do *nafki* – musiał wymówić to słowo. Można ją było określić tylko jednym słowem. To była jedna z kart, którą musiał rzucić na stół. A obok niej musiał położyć syna. – Mój syn i *nafka*. Dlaczego? Dlaczego? Nie mógł sobie miłej *jidysze* dziewczyny znaleźć? – spytał rabin żałośnie. – Coś nie tak mojemu synu, co on musi za to płacić? Za tabletki płaci, za kurwy płaci. Aj! – westchnął. – Co za życie, co za smutne życie.

Oparł się i zamknął oczy. Już niedługo będzie w domu, ze swoją kochaną Bellą. Bądź co bądź miał też błogosławieństwa. Dlaczego nie być wdzięcznym za to, co się ma? Uciał sobie drzemkę aż do swojego przystanku. Wysiadając z autobusu, czuł na sobie spojrzenia innych pasażerów. Nic sobie z tego nie robił.

– Moja kochana Bella – powtarzał. To była jego zarzucona kotwica, która miała doprowadzić go do domu.

Włożył klucz do zamka. Bella nie spała, czekała na ojca. Rabin Zweek nie był wylewnym człowiekiem, ale teraz podbiegł do niej i ujął ją w ramiona.

– Dobrze się czujesz, tato? – spytała.

– Dobrze, dobrze.

– Jak się miewa pani Golden?

– Pani Golden? – zdążył już na dobre zapomnieć o swojej wymówce.

– Ach, tak, świetnie. Zawsze świetnie miewa. Jest gorące wodę na kąpiel? – spytał szybko.

– Przygotuję.

W łazience zwrócił uwagę na czysty ręcznik – świeżo wyprany i wyłożony dla niego – na gorącą wodę, na przygotowany szlafrok i kapcie. To były jego błogosławieństwa. A pewnego dnia – jeśli Pan pozwoli – Norman wróci do domu. Co z tego, że od czasu do czasu przejdzie się do *nafki*?

Rabin zdjął ubrania. Kiedy wchodził do wanny, zignorował swoje ciało. Już od wielu lat był na nie całkiem obojętny, tego wieczoru jednak zupełnie świadomie unikał patrzenia na nie. Chciał wymyć je do czysta. Ale nie z tamtej kobiety. Nie. Był jej wdzięczny za to, co dała jego synowi. To nie jej brud i zapach miał zamiar z siebie zmywać. One należały do niej; zasłużyła na nie, na swój własny, uczciwy sposób. On sam musiał być czysty, by zasłużyć na swoje błogosławieństwa.

Sen Normana zakłóciło poruszenie na oddziale, tupot stóp, owacje i buczenie pacjentów – ogólny rozgardiasz. Przez chwilę Norman rzucał się w łóżku i stękał, a wreszcie obudził się zlany potem. W pierwszych dniach spędzonych w szpitalu budził się i rozmyślał nad tym, gdzie się znajduje i dlaczego. Do prawdy o swoim położeniu dochodził niespiesznie, podświadomie czuł bowiem, że jest ona odrażająca. Aż wreszcie po tygodniu obudził się w pełni świadomy tego, gdzie jest. Na dodatek wiedza ta sprawiała mu już mniejszy ból. Miał nieograniczone zasoby białych, a w razie czego mógł zawsze naciągnąć Bellę. Naprawdę nie miał się o co martwić. Nie przejmował się już nawet tym, czy się stąd wydostanie. Podsumował czas, który tu spędził. Nie liczył go już w dniach, jak robił to na początku. To był mniej więcej miesiąc – obojętne mu było, czy mniej, czy więcej. To było życie, które mógł wieść dopóki, dopóty nie zabraknie tabletek.

Ostatnio męczyła go tylko jedna sprawa. Znowu zaczął je widywać. W nocy, kiedy nie mógł zasnąć, prosił o środki nasenne, żeby je przepędzić. Wiedział jednak, że nawet wtedy, gdy śpi, one wciąż są w pobliżu. Z początku obawiał się, że przywłókł je tu na własnym ciele; bał się, że pielęgniarki zbesztają go za nierozwagę i brak względu na innych. Pytał o nie Billy’ego, ale ten ich nie widział. Ale co on tam mógł wiedzieć? Billy był bardziej pomyłony niż cała reszta. Minister je widział, a przynajmniej tak twierdził. Widział zresztą również mnóstwo innych rzeczy, których nawet Norman – pomimo swoich wyostrzonych zmysłów – nie był w stanie dostrzec.

Minister widział na przykład ich odchody; twierdził, że są olbrzymie. Mówił, że to prawdziwe krowie placki. No i jak to możliwe, że ci niewrażliwi kretyni z oddziału byli w stanie znieść ich smród? Kopał fekalia i wściekał się na pracowników szpitala, wrzeszcząc, że mają posprzątać ten cholerny bajzel. Groził, że przedstawi w ich sprawie raport na posiedzeniu rządu i wyrzuci ich z partii. To było przed tygodniem. Wtedy go uspili i dotąd się nie obudził. To również martwiło Normana. Leżał w łóżku, rozłożyszony panującym na sali zamieszaniem. Był jednak zbyt przejęty własnym problemem, by wstać i sprawdzić, o co chodzi innym. Martwił się o ciągłość swoich dostaw. Zanim Minister zasnął, zdążył zostawić Normanowi zapasy białych na tydzień. Nazajutrz rezerwy miały się skończyć. Norman wołał nie myśleć, jak przebrnie przez ten dzień czy przez następny albo przez jeszcze kolejny, jeżeli Minister się nie obudzi. Zapałał do niego nienawiścią.

– Krowie placki – rzucił pogardliwie – krowie placki na środku szpitalnego oddziału. Co za wariat. Powinno się go gdzieś zamknąć.

Norman dotknął swojego spoconego czoła. Zastanawiał się, czy każdej nocy tak zlewał się potem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. O co oni tam robią tyle hałasu? Nie może sobie nawet człowiek spokojnie pospać? Jak jakaś banda czubków. Coś wylądowało na głowie Normana. Usiadł na łóżku, pocierając obite czoło.

– Co do kurwy nędzy? – krzyknął. Otworzywszy oczy, ujrzał na swoim łóżku jeden z abażurów Billy'ego. Podniósł go, żeby rzucić z powrotem, jednak stwierdził, że łóżko Billy'ego jest puste, a jego pościel i materac się dymią. Wszyscy pacjenci byli na nogach – jedni biegali po oddziale, wylewając wodę na tłący się materac, inni chowali się pod łóżkami, a niektórzy po prostu wchodzili pozostałym w paradę i wiwatowali. Na nogach byli wszyscy, z wyjątkiem Ministra, który przespał całą awanturę, bo już po własnych wyczynach miał wystarczająco dużo do odespania.

– Jest tu Billy? – krzyknął Norman. – Jest tu pielęgniarz? Jest tu kto?
– W tej chwili dostrzegł Billy’ego, stojącego w najdalszym końcu sali. Jego zeszywniała sylwetka wyryła sobie przecinkę w chaosie, a pacjenci zajmujący najbliższe łóżka wleźli pod nie, zdjęci strachem wobec jego sztywności. Pielęgniarz będący na nocnym dyżurze, Andrews – nowy na oddziale i, wnosząc z niepewnego błysku w oku, zapewne w ogóle nowy w tej branży – stał naprzeciw Billy’ego, odsunięty na kilka kroków, wymawiając chyba jego imię, chociaż nic nie dało się dosłyszeć we wrzawie wywołanej przez innych pacjentów, którzy każdą odmianę w monotonii codziennego życia musieli wykorzystać do granic możliwości. Norman wstał i przeszedł przez oddział. Stał u boku Andrews, tak że mógł spojrzeć Billy’emu prosto w twarz. Niełatwo było na niego patrzeć. Sztywność, która ogarnęła całe jego ciało, zdawała się mieć swoje źródło w jego oczach: tylko one były tak naprawdę nieruchome. Cała reszta – ramiona, ręce, nogi – wybijała *staccato* równy, wymierzony rytm. Szczęka tykała jak dobrze naoliwiony mechanizm, tak że gdyby był w stanie cokolwiek powiedzieć, wypływałby z siebie taśmę z literami jak dalekopis.

– Billy – mówił Andrews – bądź grzecznym chłopcem, no, Billy.

Norman słyszał w jego głosie strach. Rzeczywiście, było coś przerażającego w zmechanizowanej sylwetce, która zdominowała oddział. Andrews zaczął się do niego zbliżać, zwracając się do niego po imieniu, prosząc go, żeby był grzecznym chłopcem – cokolwiek przez to rozumiał.

– Sprowadź drugiego pielęgniarza – doradził Norman. – Albo ja po kogoś pójde. Nie poradysz sobie w pojedynkę. – On sam nie miał zamiaru pomagać. Był zapalonym tchórzem, a poza tym miał dość wyobraźni, by przewidzieć wynik starcia z Billym znajdującym się w takim stanie. – Mam sprowadzić pomoc? – spytał.

– Poradzę sobie – odparł Andrews, który zakładał, że taka kryzysowa sytuacja nie powinna być dla pracownika oddziału niczym nadzwyczajnym, a jeśli nie poradzi sobie z nią sam, będzie to źle świadczyło o jego skuteczności. – No, Billy, bądź grzecznym chłopcem – powtórzył, dając krok naprzód.

„Cholerny idiota – pomyślał Norman – nawet nie zdjął okularów”. Andrews podszedł do Billy’ego i stanął z nim twarzą w twarz. Normana przepełnił mimowolny podziw dla odwagi mężczyzny. Andrews coś mówił, zapewne te same głupoty, co poprzednio. Mówił Billy’emu, żeby był grzecznym chłopcem, ale jakie on miał prawo – on albo ktokolwiek inny – żeby zakładać, iż Billy jest niegrzecznym chłopcem? Skąd przyszło mu do głowy, że Billy, który przecież przeistoczył się w maszynę, jest w stanie pojąć jakiegokolwiek słowa? W tym momencie Andrews podniósł rękę. Norman instynktownie poczuł, że to właśnie jest zgubny ruch; żałował, że pielęgniarsz nie miał dość rozumu, żeby zdjąć okulary. Andrews delikatnie dotknął ramienia Billy’ego, ale to wystarczyło, aby wyzwolić moc maszynierii. Wytrącone z równowagi ciało zaczęło zacinać się w spazmatycznym szale. Odizolowane od reszty mechanizmu ramię wzniosło się i trzasnęło biednego Andrews prosto między oczy, niczym złe słowo. Norman posłyszał głuche uderzenie i chrobot tłuczonego szkła. Andrews lekko się zakołysał. Na oddziale nagle zapadła cisza. Mężczyźni trzymali się wciąż z dala od Billy’ego, ale zbliżyli się do siebie. Gdy już zebrała się widownia, Andrews padł na podłogę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy wpatrywali się w Billy’ego, który wciąż terkotał jak stary silnik. Popatrzył w dół na podrygujące w skurczach ręce i nogi, po czym odwrócił wzrok, zniesmaczony swoim zacinającym się napędem. Norman spojrział na Andrews. „Należało ci się” – pomyślał. „Odechce ci się pozować na bohatera”. Mężczyzna miał twarz we krwi, a mostek jego okularów wydawał się pograżony w jego nosie. Poza tym oprawki okularów odstawały od jego twarzy niczym złamane skrzydła. Norman poszedł do znajdującego się przed oddziałem pokoju pielęgniarszy i zadzwonił pierwszym dzwonkiem z brzegu. Na kanapie dostrzegł skulonego, śpiącego głęboko McPhersona, który dyżurował razem z Andrewsem. Norman potrząsnął sanitariuszem.

– Kłopoty – zakomunikował. – Andrews jest ranny. McPherson otrząsnął się ze snu. Złapał Normana za rękaw piżamy.

– Nie stroisz sobie chyba żartów, co? – spytał. Norman strzepnęła jego dłoń z rękawa.

– Zobacz sam – odparł, po czym spokojnie wyszedł z pokoju. McPherson ruszył za nim. Andrews wciąż leżał na podłodze i krwawił. Billy zdążył w międzyczasie nabrać jeszcze większego impetu. Odzyskał dawny rytm i znów tykał sobie w najlepsze jak szwajcarski zegarek. Mężczyźni stali wokół i wpatrywali się w niego, ogarnięci narastającą melancholią. McPherson przyjrzał się tej scenie i ruszył prosto do Andrews. Podniósł go z posadzki i położył na najbliższym łóżku.

– Wszyscy do łóżek, natychmiast! – krzyknął. Pacjenci poczuli się bezpieczniej w towarzystwie McPhersona; nawet ci, którzy chowali się pod łózkami, odważyli się wyjść. McPherson był starym wyjadaczem. Był uprzejmy, stanowczy i nie chciał nikogo karać. Zerknął na Billy’ego, po czym pomaszzerował do oddziałowego telefonu. Wymamrotał coś do słuchawki, odłożył ją, a następnie przeszedł się po całym oddziale, omijając Billy’ego łukiem i nie zwracając na niego większej uwagi. – No, do łóżek – pogaśniał maruderów. Norman wrócił do swojego łóżka i, podobnie jak pozostali, usiadł, by czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

– Koniec przedstawienia – oznajmił McPherson. – Pora spać. Kłaść się, wszyscy. – Cierpliwie i spokojnie przejmował kontrolę nad sytuacją. Mężczyźni położyli się, ale nie zamknęli oczu, z obawy przed Billym oraz własnym odosobnieniem. Większość myślała o domu. McPherson przystanął przy łóżku Andrews. Wyjął z najbliższej szafki czysty ręcznik i nasączył go w oddziałowej umywalce. Obmył nim twarz rannego, mlaskając z dezaprobatą na myśl o jego braku doświadczenia. Próbował zdjąć mu okulary, doszedł jednak do wniosku, że jest to zapewne robota dla chirurga. Teraz, chociaż oczyszczony, Andrews wyglądał dużo gorzej niż przed chwilą. Wydawało się, że nie ma żadnego powodu, dla którego okulary miałyby tak groteskowo wystawać z jego twarzy. McPherson uśmiechnął się lekko i poszedł pod drzwi oddziału, by tam czekać na innych. Pacjenci udawali, że śpią, wpatrywali się jednak w Billy’ego, który w najlepsze dodawał gazu.

Odsiecz przybyła bardzo szybko – czterech pielęgniarzy plus lekarz. Niektórych przysłano zapewne z innych oddziałów, bo pacjenci nigdy ich tutaj nie widzieli. Ciekawscy zaczęli powoli siadać na łózkach. Lekarz podszedł do Andrews. Gestem ręki wydał komendę dwóm pielęgniarzom, którzy wyszli i po chwili wrócili z noszami. Andrews został wyniesiony w milczeniu; pozostali sanitariusze patrzyli za nim. Poległy w trakcie pełnienia służby – taki był zapewne jednogłośny, milczący komentarz dotyczący mężczyzny.

– Biedny palant – skwitował jeden z nich, patrząc na zmaltretowaną twarz Andrews – przez jakiś czas nie wróci do pracy.

Billy’ego jak na razie ignorowali. Dwaj pozostali pielęgniarze z McPhersonem zaczęli ostentacyjnie przechadzać się po oddziale. Zebrali się na końcu sali. Znajdowali się teraz za podrygującymi plecami Billy’ego. McPherson wybrał duży klucz ze swojego pęku i otworzył znajdujące się nieopodal drzwi. Norman nigdy nie widział, żeby ktokolwiek je otwierał, Minister opowiadał mu jednak makabryczne historie o tym, co się za nimi znajdowało. Według niego było tam krowiego łajna po kolana. To tam wykańczali ludzi, już tak na dobre. McPherson lekko uchylił drzwi, po czym wrócił do dwóch pielęgniarzy. Pacjenci im się przyglądali – wszyscy już siedzieli na łózkach. Gdy McPherson skinął głową, trzej mężczyźni ruszyli naprzód na paluszkach. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy panującej na oddziale, za wyjątkiem lekkiego, regularnego chrapania Ministra. Pacjenci obserwowali ciche natarcie. Nagle, gdy pielęgniarze podeszli do Billy’ego, gapie, powodowani instynktowną lojalnością wobec jednego ze współtowarzyszy, krzyknęli:

– Uważaj, Billy! Uważaj!

Jednak Billy, którego ogłuszył własny pracujący silnik, po prostu dalej podrygiwał. Pielęgniarze stali teraz tuż za jego plecami, a on nie zdawał sobie z tego sprawy. Mężczyźni zarzucili ramiona na jego barki i swobodnie unieruchomili go między sobą. Unieśli go razem; jego zeszywniałe ciało oderwało się od podłogi, nogi miał wyprostowane, sztywne palce wskazywały w dół. Patrzył prosto przed siebie, chociaż wątpliwe, czy cokolwiek widział. Jeżeli stawiał opór, to było to niewidoczne. Mężczyźni trzymali go jak trzy nieustępliwe imadła, z siłą, która zdawała się dziwnie nieprzystająca do wyjątkowo łagodnych wyrazów ich twarzy. Kiedy dotarli do drzwi, McPherson otworzył je stopą, po czym cała czwórka przeszła przez nie bokiem. Drzwi zatrzęsły się za nimi. Chociaż pacjenci wyteżali słuch, nie byli w stanie dosłyszeć kroków. Kiedy było już po wszystkim, unikali swoich spojrzeń. Dopóki widowisko trwało, doświadczali uniesienia charakterystycznego dla ocalałych. Teraz został tylko kwaśny posmak. Większość zazdrościła Ministrowi, który przegapił to wszystko i pozostał nietknięty przez tę scenę. Zagłębili się w pościel, każdy z własnym udziałem w pokłosiu goryczy oraz dręczącym strachu, że któregoś dnia jeden z nich również trafi za te drzwi. Nikt nie odważył się wyobrazić sobie, gdzie zniknął Billy. Dotąd nie zbadali ani nie zrozumieli murów własnego więzienia.

Całe to zajście głęboko przygnębiło Normana. Nie żeby jakoś szczególnie lubił Billy'ego. Sam fakt, iż ojciec uważał, że z Billy'ego jest miły chłopak, wystarczył, aby ustawić go w pozycji wroga. Prawdę mówiąc, przy okazji każdej wizyty ojciec i Bella spędzali większość czasu z Billym – nie tyle ze względu na zainteresowanie jego stanem, co raczej ze względu na fakt, że była to wygodna wymówka, pozwalająca unikać Normana. Odwrócił się i spojrzał na puste łóżko stojące obok. Materac został wyniesiony razem z pościelą. Równo złożone koce leżały na gołych sprężynach. Całe łóżko wyglądało na wyłączone z użytku, tak jak mogłoby wyglądać, gdyby Billy właśnie zmarł. Normana przeraziła prędkość, z jaką można było zatrzeć ślady po człowieku. Zastanawiał się, od czego się to wszystko zaczęło; co zaszło, kiedy jeszcze spał. Czy to Billy podpalił swoje łóżko? Kto go z niego wyciągnął? No i w którym punkcie całej tej awantury Billy stał się nietykalny? Norman odważył się nawet zastanowić nad tym, gdzie mógł się znajdować Billy. Czy wciąż był unieruchomiony przez swoją wykrochmaloną sztywność, przez tę kamizelkę bezpieczeństwa własnej roboty? Życzył mu snu. To było wszystko, co im tutaj zostało.

Przekręcił się na drugi bok. Wiedział, że nie będzie w stanie ponownie zasnąć. Słyszał, jak inni w szeregu legowisk rzucają się w pościeli. Na drugim końcu ktoś szlochał. Norman przeklinał go w myślach za to, że nie miał dość przyzwoitości, by opanować bezsilność, którą wszyscy próbowali zdławić w swoich łóżach bezsenności. Obrócił się znowu, wciąż ani na chwilę nie otwierając oczu, wiedział bowiem dobrze, że rybiki są w pobliżu, a miał już i tak dość zmartwień. Nimi zajmie się rano. Wybije wszystkie, które znajdzie na swoim ciełe, jeśli nikt inny mu nie pomoże. W tej chwili obchodziło go jednak wyłącznie to, by jakoś zasnąć. Usłyszał czyjeś kroki w przejściu między łózkami. Widocznie wrócił McPherson; Norman wyobrażał sobie, że pielęgniarz musi mieć ręce uwalane krwią. Usiadł na łóżku i przywołał go do siebie. McPherson podszedł, by poprawić mu pościel. Był błądy. Chociaż takie wyskoki zdarzały się z monotonną regularnością, zwłaszcza na oddziale Normana, McPherson przeżywał to zawsze jak za pierwszym razem.

- Idź spać, Norman – poradził pielęgniarz.
- Nie jestem w stanie. Mogłbym dostać tabletkę na sen?

– Przyniosę ci – szepnął McPherson. Gdy odszedł od łóżka, inni mężczyźni zaczęli siadać i prosić o to samo, wołać o zapomnienie. Siedzieli i rozglądali się, dopóki nie wrócił. Zaczął rozdawać tabletki, chodząc od łóżka do łóżka, nakazując pacjentom sen, na siłę nadając swojemu głosowi szorstki ton. Nie chciał, żeby ktoś pomyślał, że mięknie.

– Z Billym wszystko w porządku? – spytał Norman, gdy McPherson dotarł do jego łóżka.

– Będzie w porządku – stwierdził McPherson. – Billy wróci. Musi przecież skończyć abażur, bo jak nie, to będzie miał do czynienia z mamą. – Puścił oko do Normana. – Idź spać. Rano wszystko wygląda lepiej.

Odszedł od łóżka, a Norman szybko zamknął oczy. Wiedział, że one są blisko, a co gorsza, że będą przy nim również rano. Rano nie wszystko wygląda lepiej. Rano one tu będą, a Billy’ego nie będzie. Najchętniej wcale by się nie budził. Jeśli jednak miał się wcale nie obudzić, musiał najpierw zasnąć. Przycisnął poduszkę ręką, jednak szybko ją cofnął, dobrze bowiem wiedział, że i tam są. Poczł przyplływ senności. Poddał jej się ze strachliwą ulgą. Niebawem na oddziale zapadła cisza, a Minister przekręcił się na drugi bok i jęknął przez sen, jakby skończył śnić jakiś koszmar.

Nazajutrz nie budzili Ministra, nie licząc przerw na karmienie. Norman zaczął wpadać w panikę. Wyczerpał już swój zapas, a one pełzały po ścianie oraz po jego ciele. Odczekał, aż wszyscy zjedzą śniadanie. Dzień był przepiękny, więc wszyscy pacjenci – poza tymi, którzy pograżyli się we śnie jeszcze przed przybyciem Normana na oddział – wyszli na trawniki, żeby czytać lub pisać listy, grać w szachy lub po prostu błagać dzień, aby połknął ich żywcem. Na oddziale panował spokój, a starszy pielęgniarz siedział w przedsionku. Norman podszedł do łóżka Ministra i przyjrzał się śpiącemu mężczyźnie. Poczł oburzenie na myśl o jego zdrowym wyglądzie.

– Ministrze – szepnął. Lekko go trącił. Musiał sprawdzić, czy trudno go będzie obudzić. Minister ani drgnął. Rytm lekkiego pochrapywania nie uległ zmianie. Norman klepnął go gwałtownie w zadek, ale to również nie wywarło na Ministrze większego wrażenia. Przez chwilę Norman rozważał, jakie byłyby konsekwencje, gdyby złał Ministra na kwaśne jabłko i w ten sposób go obudził. To go jednak nie obchodziło. Z jego panicznego strachu zrodziła się nienawiść. Zwalił się całym ciężarem ciała na bezwładną bryłę zwaną Ministrem.

– Wstawaj, skurwysynu – syknął. – Wstawaj, bo cię zatłukę. Minister przewrócił się na drugi bok i z wyrzutem uchylił powiekę.

– Co jest, co jest? – wystękał. Norman usłyszał, że za jego plecami stanął pielęgniarz.

– Nic. Po prostu się potknąłem. Przepraszam – odpowiedział, po czym oddalił się chyłkiem od łóżka Ministra i ułożył w swoim. Nie wiedział, co robić. Zdarzało mu się już w przeszłości zostawać bez pigulek. Pamiętał potworne bóle, które czuł, gdy odstawiał. Jeśli będzie leżał dość długo – a nawet jeśli wstanie i zacznie chodzić – one i tak zawładną jego bezradnym ciałem. A jak wytłumaczy te nagłe bóle pielęgniarkom? Możliwe, że nikt nawet nie uwierzy w jego cierpienie. Otworzył oczy. Musiał to zrobić. Kiedy miał zamknięte oczy, jego głową kołysały przyływy mdłości. Za to kiedy otwierał oczy, widział, że one są nieopodal. Nie miał dokąd się odwrócić, żeby ich nie widzieć, ponieważ one były wszędzie. Również na jego ciele. Nie miał odwagi podrapać się choćby w jedno miejsce, bo wtedy one przeniosłyby się na inne, a całe jego ciało zakipszałoby od tego plugastwa.

– To przez tę cholerną pościel – powiedział na głos. Usiadł na łóżku i popatrzył na Ministra. Nie było co próbować drugi raz. Pielęgniarkę kręcił się w ich okolicy. Normanem zaczęły wstrząsać dreszcze. – O Boże! – krzyknął – zaczyna się, zaczyna! – Pobiegnął na drugi koniec oddziału, jakby uciekał przed bólem. Otworzył składzik ze środkami czystości i wyciągnął duże opakowanie detergentu. Udręczony przez swoje lęki ruszył wzdłuż ściany, posypując listwę przypodłogową proszkiem. Pielęgniarkę podszedł do niego.

– Co ty najlepszego wyprawiasz? – spytał.

Norman go zignorował. Paczka była już prawie pusta; spojrzął za siebie na wytyczony niebieskim proszkiem szlak.

– To zabije te skurwysyny – oznajmił. Pielęgniarkę złapał go za ramię.

– Co ty wyprawiasz, Norman?

– Dlaczego, do kurwy nędzy, nie potraficie utrzymać tego oddziału w czystości? – wrzasnął Norman. Podbiegł do swojego łóżka i zerwał pościel z prędkością i siłą, która zadziwiła jego samego. Złapał swoje poduszki i cisnął je do najbliższego zlewu, po czym odkręcił wodę.

– Topcie się, skurwysyny, topcie się! – zaryczał. Zaczął zbierać inne poduszki, ale pielęgniarkę złapał go od tyłu.

Wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Drugi pielęgniarz podszedł do nich i wbił igłę w ramię Normana. We dwóch odnieśli go do łóżka. Dali mu nowe poduszki i utulili go do snu jak dziecko. Potem zamieśli proszek z podłogi i zabrali brudną pościel. Do czasu, gdy pozostali pacjenci wrócili na oddział, pielęgniarki zdążyli usunąć wszystkie ślady po ataku Normana, a on dołączył do Ministra w pozbawionej barw i cierpienia otchłani.

Leżał pogrążony we śnie przez dwa tygodnie; utrzymywali go w tym stanie, dopóki nie oczyścili go z trucizny. Budzili go tylko na posiłki. Jadł ospale, nie zdając sobie sprawy, co spożywa. Od czasu do czasu widział twarz oszołomionego ojca. Bella ciągle go dotykała. Słyszał głosy, wołał jednak nie myśleć, że zwracają się do niego. „Skąd je wzięłeś? Kto dał, kto dał, powiedz, powiedz, kto dał?”, to musiał być ojciec. Norman i tak wszystko to przespał. Pod koniec zaczęli mu wydzielać mniejsze dawki, był więc w stanie usiąść na łóżku i zarejestrować fakt, że Minister zniknął.

Postawili Normana na nogi i zaczęli go oprowadzać po oddziale i ogrodach. Musiał przyznać, że czuje się lepiej, z drugiej strony cierpiał jednak z powodu okropnego poczucia straty. Dochodziły do tego jeszcze wyrzuty sumienia, które boleśnie dawały o sobie znać, gdy odwiedzali go ojciec i Bella.

– Przepraszam – tylko tyle potrafił powiedzieć – przepraszam za wszystko, co wam zrobiłem. – Już nie błagał o to, by zabrali go do domu. Czuł się zbyt wybrakowany, zbyt zasłużenie niechciany, by mieć prawo do takich żądań. Rabin Zweck, przepełniony radością wobec ozdrowienia syna, nie zwracał uwagi na ostrzeżenia lekarza, że może ono nie być trwałe.

– Nadal musimy się dowiedzieć, dlaczego chce brać tabletki – oznajmił doktor. – Dopiero gdy odpowiemy na to pytanie, będziemy mogli żywić nadzieję, że do nich nie wróci. – Rabin Zweck był przygotowany na cierpliwe czekanie, największych cierpień przysparzała mu jednak skrucha syna.

– Nie musisz przepraszać – mówił mu. – Nie twoja wina. Zapominamy o wszystkim. Zaczynamy od nowa. Poprawi ci się, wrócisz do domu. Wrócisz do prawa. Zaczynamy od nowa.

Rabin Zweck zaczął nagle myśleć tak, jakby nic nie zakłóciło błyskotliwej kariery syna. Jego zakończone fiaskiem ostatnie wystąpienie na sali sądowej i wszystkie późniejsze kryzysy były tylko kolejnymi odsłonami koszmaru, który nie miał ich już nigdy nawiedzić, i który – jak przystało na koszmar – dawał się łatwo zakwestionować.

– Norman, sprawę Watsona pamiętasz? – spytał. – A ty, Bella, pamiętasz? – Chciał, by córka także przeżyła dawny tryumf Normana. Chciał uczynić z tego terazniejszość, tak jakby teraz również gazety wyśpiewywały peany na jego cześć, a klienci walili drzwiami i oknami.

– Nikt nie podejrzewał, że mu się upiecze – powiedziała Bella. – Ile to on dostał? Trzy lata za nieumyślne spowodowanie śmierci? Czyli już niedługo wyjdzie.

– Nie – stwierdził krótko rabin. Był zły na córkę, że tak bezceremonialnie wpisała sukces brata w odległą przeszłość, jakby już dawno było po wszystkim, jakby to już nigdy nie miało się powtórzyć. – To wcale nie tak dawno było, Norman – powiedział. Czuł potrzebę powtórzenia tej historii, aby znowu ożyła, aby obudziła w Normanie radosne uniesienie zwycięstwa. – Jak to było? Już zapomniałem. – Zerknął na Bellę, zachęcając ją, by opowiedziała całą sprawę i pozwoliła im jeszcze raz się w niej rozsmakować. – Czego to on użył? Nożu na chleb? – zachichotał, zawstydzony swoją szwankującą pamięcią. W jego umyśle wyraźne było tylko pokłosie całej tej sprawy: pochlebstwa, jakie spłynęły na syna, oraz własne bezgraniczne zadowolenie.

– Dowodziłeś, że zrobił to w obronie własnej – zaczęła Bella. – Ale tak nie było, prawda? Ty ani przez chwilę w to nie wierzyłeś, co Norman?

– Co za różnice, w co wierzy? – wciął się rabin Zweek. Dostrzegł zagrożenie czyhające w jej pytaniu. – Ten mordercę, gdyby innego prawnika miał, to by zawisł. Wszyscy tak mówili. Zawisnie, mówili. Tacy byli święcie przekonani. Nu, ale pod uwagę nie wzięli, co oni do czynienia mają z Normanem Zweekiem – oznajmił z dumą. – A w sądzie wszystkie te mądrale nad mordercę nagle zapłakały, gdy im Norman opowiedział, jakie człowiek potworne życie miał z tą potworną żoną. Ja też łezkę uroniłem. Pamiętacie, jak wszyscy na wyrok wiwatowali. Jedno wielkie „hurra!”. A wszystko to za sprawą Normana Zweeka – oznajmił, gwałtownie przysuwając twarz do twarzy syna. Chwycił Normana za rękę. – Ten mordercę życie tobie zawdzięcza. Kto temu zaprzeczy? A jak potem do ciebie przybiegli. Wszystkie mordercę. Wszystkie złodzieje. Nagle Zweeka chcieli. Pamiętasz, Norman? – szepnął. – A teraz znowu ciebie zachcą. Do prawa wrócisz. Od nowa zaczynamy.

Norman cofnął rękę i wtulił twarz w poduszkę.

Rabin Zweek pomyślał, że może nie trzeba było wspominać o prawie. Tak po prawdzie, to powrót do kariery prawniczej był tym, czego on, ojciec, oczekiwał po Normanie. Rabin instynktownie wyczuwał, że jego wcześniejsze oczekiwania i nadzieje w znacznej mierze przyczyniły się do załamania syna. „Norman musi życie Normana prowadzić” – mówił sobie w kółko. Przypomniał sobie słowa Ministra z pierwszej wizyty – och, ile to już tygodni temu? „Kiedy umrę, to nie będzie moja śmierć. Nie bardziej, niż życie jest moje. To będzie coś, co przytrafiło się mojej mamusi”. Tak jakby wszystko zostało już wyjaśnione, jakby pobyt Normana w szpitalu był przede wszystkim nauką dla jego ojca.

W kilka dni po tym, jak Norman przebudził się z głębokiego snu, lekarze zawyrokowali, że nadszedł czas na intensywną terapię. Pacjent był w depresji, czego należało się spodziewać, nie był jednak milczący. Bez ustanku rozmawiał z pielęgniarkami i innymi pacjentami. Nie interesowało go zdrowie kogokolwiek innego; troszczył się wyłącznie o swój stan, bez przerwy roztrząsał własne problemy. Zaczął od pozbawionej ładu i składu pogadanki z lekarzem. Chciał opowiedzieć wszystko, tak jakby mogło mu to umknąć, zadekować się gdzieś na zapleczu umysłu i wywołać kolejny okres bólu i halucynacji, zanim zaryzykuje ponowne wypełnienie na światło dzienne. Z biegiem tygodni pacjent się uspokoił, jednak każda sesja kończyła się powrotem do „niej”. Jej imię wzięło mu w gardle. Bez względu na temat spośród rozrzuconych bezładnie fragmentów jego życia wyłaniała się zawsze Esther, domagając się, by jej wysłuchano. Zdecydowany postęp w terapii Normana nastąpił po kilku tygodniach, gdy owładnięty przytłaczającą melancholią zaczął niepewnie o „niej” wspominać.

Gdy Norman wszedł do gabinetu, doktor Littlestone palił fajkę. Zazwyczaj Norman był obojętny na ten zapach, jednak tego dnia, zapewne przez jego ostrą depresję, dym zaczął przyprawiać go o mdłości. Norman błagał doktora z uniżeniem, by zechciał zgasić fajkę. Lekarz posłuchał, jednak dym wciąż wisiał w powietrzu. Norman otworzył okno, po czym usiadł, aby zaczekać, aż zapach zelżeje. Czekali w milczeniu. Po kilku minutach doktor podszedł do okna.

– Czy mogę już zamknąć? – spytał. Norman skinął głową.

Doktor Littlestone zamknął okno i przysiadł na skraju biurka.

– Jak się miewasz, Norman? – to zagajenie zwyczajowo wyznaczało otwarcie sesji. Nie było to pytanie z gatunku tych, które wymagają odpowiedzi. Oznaczało po prostu: „Wróćmy do tego, na czym ostatnio stanęliśmy”.

– Muszę panu o niej opowiedzieć – wypalił Norman – Muszę panu opowiedzieć o mojej... no... siostrze.

Doktor przeniósł się na fotel. Pierwsze zdanie Normana zapowiadało owocną sesję.

Norman nie wiedział, jak kontynuować po tym pierwszym anonsie. Szukał jakiegoś początku, jednak w jego umyśle kotłowało się wyłącznie przecucie zakończenia, ostatecznej klęski. Mógłby zacząć od końca i podążać wstecz, aż początek sam by się znalazł – pojawiłby się po prostu wtedy, gdy on skończy mówić. A jednak bez względu na to, w jak głębokiej depresji się znajdował, wciąż zachowywał poczucie kształtu i dramatyzmu wypowiedzi – to był kac po karierze prawnika.

– Ona – zaczął – moja siostra...

Doktor Littlestone czekał. Na tym etapie nie chciał w żaden sposób pomagać pacjentowi. Norman był dość elokwentny. Kiedy już zacznie, nabierze rozpędu. Doktor pogryzmołił bezmyślnie w notatniku, po czym, nawet się nad tym nie zastanawiając, odłożył go na bok. Ten gest dodał Normanowi pewności siebie. Notatnik kojarzył mu się z policyjnym kapownikiem, który sprawia, że wszystko co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie. Norman chciał wyrzucić z siebie tę historię, ale tylko po to, by została zapomniana. Nie chciał już nigdy do niej wracać.

– Ludzie zazwyczaj uważali ją za ładną – zaczął. Okazało się, że to mu pomaga: zdystansowanie się do niej, obarczenie innych ludzi odpowiedzialnością za jej historię. – Uważali ją za ładną – powtórzył – ale ja nigdy nie zwracałem na nią większej uwagi. Nie zwracałem uwagi, dopóki David nie zaczął na nią patrzeć. Kiedy miała około... – przerwał, niezadowolony z kształtu, jaki przybierała opowieść. – Chyba powinienem panu powiedzieć co nieco o Davidzie. Tak naprawdę muszę opowiedzieć właśnie o Davidzie.

– Kim jest David? – spytał doktor Littlestone. Nie przypominał sobie, żeby wcześniej słyszał to imię. Jeśli Norman w ogóle o nim wspominał, to tylko pobieżnie, nie przywiązując do tego większej wagi.

– David był... – zawahał się Norman. Zaczął bawić się fałdą szlafroka. – Nieważne, nieważne – stwierdził gniewnie. – Był po prostu moim przyjacielem.

– W takim razie opowiedz mi o Esther.

Norman bezradnie wzruszył ramionami. Usta miał pełne słów, jednak nie potrafił znaleźć żadnego sposobu, by wydestylować z nich jakikolwiek ład. Pozwolił umysłowi oderwać się od całej tej żalostnej historii. Pomyślał o Ministrze. Tęsknił za nim. Najwyraźniej wypuścili go, kiedy Norman był pogrążony w głębokim śnie. Chciał znowu się z nim skontaktować. Jaki to ma sens – wieść to, tak zwane, normalne życie, skoro cała radość gdzieś z niego uleciała, a pozostała tylko jaskrawa świadomość własnego cierpienia dudniącego pod czaszką. Nie potrzebował takich dręczących wspomnień. W swoich białych dniach utrzymywał je pod kontrolą, w uśpieniu. Jeśli się nad tym zastanowić, rybiki cukrowe były lepsze niż jakakolwiek myśl o Davidzie. Wiedział, że źle jest życzyć komuś powrotu w tak potworne miejsce, ale miał nadzieje, że Minister wróci do szpitala i pomoże mu znowu przegnać Davida z myśli.

Doktor Littlestone zaczął obracać ołówek w palcach.

– Zamierzałeś opowiedzieć mi o Esther – przypomniał łagodnie.

– Nieważne.

– Bardzo ją kochasz?

– Nienawidzę jej. Nie widać tego? Nienawidzę jej i nie chcę już więcej na nią patrzeć.

– Kiedy zacząłeś ją nienawidzić?

– Nie pamiętam. Chyba zawsze jej nienawidziłem. A przynajmniej taką mam nadzieję. Jeżeli coś jest ze mną nie tak, to zaczęło się to właśnie od niej. To ona zasługuje na nienawiść, to ona jest podła.

– A czym tobie zawiniła?

– Nie musiała przecież tego robić, prawda?

– Zależy, co zrobiła.

– Zostawiła go, ot co. Nie musiała tego robić, prawda?

– To zależy od jej powodów.

– Och, dajmy sobie z tym spokój – powiedział Norman. Nie chciał o tym rozmawiać. Na pewno nie po to, by ktoś inny mógł wziąć stronę siostry. A zresztą nie miała nic na swoją obronę. On chciał po prostu opowiedzieć tę historię bez przeszkód, a zwłaszcza bez żadnych stroniczych komentarzy. – Dajmy sobie z tym spokój – powtórzył.

– Czy chcesz już wrócić na oddział? Spotykamy się znowu pod koniec tygodnia.

– Nie, nie chcę wracać na oddział. To by mnie tylko dręczyło. – Nachylił się nad biurkiem i oparł głowę na rękach.

– Nie przejmuj się kolejnością wydarzeń – poradził doktor Littlestone. – Spróbuj zacząć w dowolnym miejscu.

Norman podniósł głowę.

– Pewnego dnia byliśmy w *szulu* – zaczął łagodnie, chociaż, jak dobrze wiedział, nie od początku – a ja zobaczyłem, że on na nią patrzy.

– Z kim tam byłeś? – spytał doktor, odkładając ołówek. – I kim była ona, ta, na którą patrzył?

– Byłem z Davidem – powiedział Norman, lekko poirytowany, że lekarz mu przerywa. – A ona... no cóż, ona była moją siostrą. Stała na górze. Wie pan, w *szulu* siedzimy oddzielnie. Kobiety na górze, mężczyźni na dole. Większość czasu spędzaliśmy, patrząc w górę, obserwując, jak wchodzą. Kiedy to robiliśmy, łatwiej było to zauważyć – to znaczy łatwiej, niż kiedy one spoglądały na nas, biorąc pod uwagę, że w założeniu wszyscy powinni patrzeć w punkt znajdujący się na dole, tam, gdzie przebywał mój ojciec. W tamtym czasie ojciec był u nas rabinem, centralną postacią, stał przed nami jak jakiś minister na mównicy. – „Minister” – pomyślał Norman, wspominając swojego niedysiejszego już dostawcę narkotyków. – Tak, jak minister na mównicy. A większość czasu spędzaliśmy z Davidem, patrząc w górę. Chyba właśnie tak zaczyna się większość żydowskich małżeństw: od patrzenia w górę. To takie przymusowe bałwochwalstwo. Może właśnie dlatego sadzali nas oddzielnie. Nie wiem. W każdym razie tak właśnie spędzaliśmy większość czasu w *szulu* – zamilkł na chwilę. – Na czym to ja skończyłem? – spytał.

– Siedzieliście w synagodze. Byłeś tam z Davidem, Esther siedziała na górze.

– Tak, zgadza się. A on przypatrywał się jej. Zobaczyłem, że spogląda na nią, a kiedy on spostrzegł, że go obserwuję, zarumienił się lekko, jakby był czemuś winny. Zastanowiłem się, od jak dawna to już trwa. Byłem zły z dwóch powodów. Po pierwsze, że tego nie zauważyłem, a po drugie, że to w ogóle miało miejsce.

– A dlaczego to miałoby cię denerwować? – spytał doktor Littlestone.

– Podejrzewam, że byłem zazdrosny. Nieco później, kiedy już naprawdę zaczęli się ze sobą spotykać, byłem z tego zadowolony. Bardzo się cieszyłem. Ale z początku byłem zazdrosny, bo przecież David był moim najlepszym kumplem. Chciałem go mieć tylko dla siebie. Tak po prawdzie, to był moim jedynym przyjacielem. Nie było mnie stać na to, by się nim dzielić.

– Opowiedz mi o waszej przyjaźni.

Norman przestał się bawić fałdami swojego szlafroka. Oparł się w fotelu. Czuł się już mniej przygnębiony, lekko zdystansowany wobec całej tej historii.

– Jak można opisać przyjaźń? – zapytał, jakby prowadził z lekarzem filozoficzną dysputę. – Z perspektywy czasu mogę się jej przyjrzeć i przypisać jej takie lub inne znaczenie. Wtedy jednak nie miałem pojęcia, na czym polegała. Wiedziałem tylko, że czułem się w jego towarzystwie szczęśliwy, że był częścią mnie, podobnie jak ja byłem częścią jego. Klóciliśmy się jak bracia i kochaliśmy się jak bracia. Nie, myślę, że kochałem go nawet mocniej. – Norman znowu zaczął się bawić szlafrokiem. – Być może. – Wzruszył ramionami. Znowu był przygnębiony, a cały dystans gdzieś zniknął. – Kiedyś wyjechałem na tydzień do ciotki i nie mogłem tam wytrzymać. Nie żeby to była wina cioci. Chodziło o niego. Tęskniłem za nim, zamartwiałem się tym, z kim jest i co robi. Musiałem jakoś wytrzymać ten tydzień, ukrywając swoje uczucia, bo nawet wtedy już zdawałem sobie sprawę, że jest w nich coś nienaturalnego. A kiedy wróciłem, on już czekał u mnie w domu. Była też jego matka, która powiedziała: „Dzięki Bogu, że już przyjechałeś. David dąsał się przez cały tydzień. Tyle mam z nim utrapień”. Była zupełnie jak moja matka. Zawsze miała utrapienia. I to nie ileś tam. Zawsze miały *tylę* utrapień. Nie żeby nasze zachowanie je trapiło. Nie żebyśmy to my byli źródłem utrapień. One po prostu miały z nami *tylę* utrapień. Kiedy wracaliśmy za późno ze szkoły, kiedy nie myliśmy rąk przed posiłkiem, kiedy chodziliśmy z rozwiązanymi sznurówkami. Wygląda na to, że przez całe nasze dzieciństwo matki nie miały z nas nic poza utrapieniami. Przepraszam, nie utrapieniami. *Tyloma* utrapieniami. Kiedyś myślałem, że utrapienie to słowo w jidysz – uśmiechnął się do siebie, wspominając radość tamtego powrotu; świadomości, że David tęsknił tak samo, jak on. Podniósł wzrok na doktora Littlestone’a. – W każdym razie tacy z nas byli przyjaciele.

– Czy wasze matki również się przyjaźniły?

Norman nie rozumiał, co to ma do rzeczy, odpowiedział więc bez większego zainteresowania:

– Tak, chyba się przyjaźniły. Większość czasu spędzały razem. Matka Davida szła nam ubrania. Wiecznie zdejmowała z mojej matki miarę na coś nowego. Widzi pan, David wychowywał się bez ojca. Jego ojciec zmarł, gdy David był mały. To była nasza lokalna tragedia. Dorastaliśmy z tą historią. Nie wiedzieliśmy, jak umarł; ogólnie dawało się odczuć, że nie powinniśmy pytać. To stało się swego rodzaju mitem. Podejrzewam, że właśnie dlatego matka Davida nie wyszła ponownie za mąż – bo zdradziłaby jedną z naszych sąsiedzkich tradycji. Jak to ludzie mówili, była z niej „dobra kobieta”, samotnie wychowywała syna, na życie zarabiała jako krawcowa. Tak, moja matka i ona bardzo się przyjaźniły.

– Byliście z Davidem ortodoksyjni? Chodziliście do synagogi co sobotę?

Norman się zaśmiał.

– Och, *szul* to tylko najmniejszy wycinek. Owszem, byliśmy religijni, bez dwóch zdań. Chodziliśmy też w piątkowe wieczory. Uczęszczaliśmy też razem do *chederu*. To taka szkołka niedzielna. Mój ojciec udzielał nam również prywatnych nauk. Czuł się odpowiedzialny za edukację religijną Davida, który przecież wychowywał się bez ojca. Tak, można chyba powiedzieć, że byliśmy ortodoksyjni.

Znowu trącił pasek od szlafroka. Skupienie się na tej historii przychodziło mu z trudem. Wciąż myślał o Ministrze. Jakim prawem stąd wyszedł, nie zostawivszy nawet żadnych zapasów swoim klientom? Norman zastanawiał się, czy inni pacjenci z oddziału również byli zależni od Ministra. Trudno było określić, co komu dolega – o ile nie było to oczywiste – mężczyźni nie dzielili się z własnej woli informacjami o przyczynach swojego pobytu w zakładzie. Nie dało się stwierdzić, kto również cierpi z powodu nieobecności Ministra. „A któż tu nie cierpi?” – pomyślał Norman. I tak wszyscy przechodzili tu przez piekło. A on tymczasem siedział u doktora, ślizgając się po powierzchni historii, która tkwiła gdzieś w jego wnętrzościach i błagała, aby ją uwolnił. Chciał pomocy doktora Littlestone’a, ale z drugiej strony irytowało go każde kolejne pytanie. Chciał opowiedzieć tę historię sam, na swój własny sposób, i zatrzymać ją dla siebie, zamiast ofiarować ją w charakterze opisu przebiegu choroby. A to dlatego, że jego historia, podobnie jak jego sny, kogokolwiek by one nie dotyczyły, należała do niego i tylko do niego.

Doktor Littlestone odchrząknął, by zaznaczyć swoją obecność.

– Na początku chciałeś mi opowiedzieć o Esther – przypomniał. – Opowiedz mi o niej z czasów, zanim pojawił się David.

– Nie było takich czasów. A przynajmniej ja ich nie pamiętam. A nawet gdyby były, to nie miałyby większego znaczenia.

Doktor Littlestone rozparł się w fotelu. Wyciągnął nogi przed siebie, okazując wyraźnie, że oto siada sobie wygodnie.

Po raz pierwszy podczas tej sesji wyglądał tak, jakby naprawdę chciał słuchać i to nie ze względów zawodowych, ale z czystej, nieskrępowanej ciekawości. Na Normana to podziało. Z początku wpatrywał się w lekarza zbolalym wzrokiem, jednak w końcu nabrał rozpędu, o władnięty historią. Rozpoczynając opowieść, doznał przelotnego wrażenia, że zaraz sam zburzy swoją najsilniejszą linię obrony. Myśli tej towarzyszyła obawa o to, czy będzie w stanie odbudować coś w jej miejsce. Czy białe dni powrócą? Czy były one zależne od tej historii, czy może odwrotnie? Jednak opowieść snuła się już sama, niemal bez jego pomocy – historia o Esther i tym, jak siostra na niego wpłynęła.

– Minęło sporo czasu, zanim tak naprawdę zwróciłem na Esther uwagę. Była najmłodszym dzieckiem, wszyscy ją rozpieszczali. Była też ładna – na sposób, który nie zdarzał się w naszej rodzinie. A zresztą niech się pan przyjrzy na przykład mnie albo mojej siostrze, Belli – ona też nie jest zbyt urodziwa. Widział ją pan, kiedy mnie odwiedzała. Moja matka nie należała do piękności, a ojciec, cóż... Jego nigdy nie rozpatrywałem w tych kategoriach. W każdym razie Esther była śliczna, bez dwóch zdań, a z wiekiem stawała się jeszcze piękniejsza. To odrobinę martwiło mojego ojca, bał się, że uderzy jej to do głowy, dlatego poświęcał więcej czasu na jej edukację – to znaczy żydowską edukację – niż na moją czy Belli. Poza tym kochał ją do szaleństwa, podobnie jak matka, ale nie mam o to żalu do Esther. Była najmłodszym dzieckiem, była śliczna – nie było w tym jej winy. Sądzę, że rodzice obawiali się, iż jej uroda wywiedzie ją w zbyt szeroki świat; to znaczy szerszy niż ten, w którym powinniśmy się obracać, w świat *gojów*, jak go nazywali. Dzięki oddaniu mojego ojca Esther stała się bardziej religijna niż reszta rodziny. Wciąż wyszukiwała w Prawie nowe zasady do przestrzegania. To mnie irytowało. Uważałem to przede wszystkim za przejaw jej zarozumiałstwa, ale nie wolno nam było powiedzieć o niej złego słowa. No więc cóż, Esther dorosła, w moje sprawy się nie mieszała, a ja większość czasu spędzałem z Davidem. Żaden z nas nie miał czasu dla nikogo innego. Czasem zwracałem uwagę na to, że Esther paskudnie traktuje Bellę. Naśmiewała się z niej, że już jest dorosła, a wciąż chodzi w dziecięcych skarpetkach z falbanką. Nie mam pojęcia, dlaczego Bella tak się ubierała, ale to przecież były jej własne stopy i miała pełne prawo zakładać na nie, co jej się żywnie podobało. No, ale to już zupełnie inna historia, z którą ja nie mam nic wspólnego.

Doktor Littlestone przesunął się lekko w fotelu.

– Nie mam z tym nic wspólnego; z całymi tymi białymi skarpetkami – powtórzył Norman. – To problem Belli, ale to ja siedzę w zakładzie, więc dajmy sobie z tym spokój. To o Esther panu opowiadam.

– Słucham – odparł lekarz.

– No więc przestała chodzić do szkoły w wieku piętnastu lat. Jeśli nie liczyć hebrajskiego i innych żydowskich nauk, to nie była zbyt bystra. Przez jakiś czas pomagała w sklepie. Wie pan, mamy sklep spożywczy. Mieszkamy nad nim. Sklep należał do mojej matki. To ona go prowadziła, kiedy ojciec pracował w synagodze. Potem, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, zaczął również zajmować się sklepem. We trójkę dzielili się pracą. W sklepie nie było aż takiego ruchu, żeby musiało tam pracować tyle osób – zwłaszcza że na końcu ulicy otworzyli supermarket – więc Esther przestała w nim pracować i przejęła od ojca niektóre lekcje hebrajskiego. Zaczęła od najmłodszych dzieci, a potem, w ciągu kilku lat, przejęła opiekę nad całym *chederem*. Rodzice byli z niej dumni. Ja byłem wtedy świeżo po studiach i zaczynałem właśnie sam zarabiać na życie. Ze mnie też byli dumni. W zasadzie, kiedy tak nad tym myślę, to mieli dużo powodów do radości. Oczywiście była jeszcze Bella – z każdym dniem coraz starsza i mniej odpowiednia do zamążpójścia – ale cóż, każda żydowska rodzina ma swoją Bellę. One też dają rodzicom swego rodzaju *naches*. Szkoda tych wszystkich Belli, ale nasza zdawała się w miarę szczęśliwa. Tylko te jej białe, dziecięce skarpetki zaczynały źle działać również na mnie. Trochę to wszystko pogmatwane, prawda?

Zastanawiał się, co doktor Littlestone sobie o tym wszystkim myśli, chociaż tak w zasadzie to go to nie obchodziło. Nie obchodziło go nawet, czy doktora interesuje ta historia. Ważne było to, że zostanie wreszcie wypowiedziana. Nawet on sam nie był już nią zaintrygowany. Zapewne dlatego opowiadał ją z taką monotonną płynnością. Czuł się tak, jakby przedstawiał fakty przed sądem, jakby wszystko to przydarzyło się komu innemu, a jemu z jakiegoś powodu powierzono zadanie streszczenia historii.

– W pracy zawarłem wiele nowych przyjaźni – podjął opowieść – ale to z Davidem byłem najbliżej. Po pracy pędziłem do domu, żeby spędzić z nim wieczór, żeby posiedzieć przy nim, kiedy przygotowywał się do zajęć. Był na ostatnim roku medycyny. Potrafiłem siedzieć w jego pokoju i patrzeć, jak uczy się przy biurku. Zawsze podpierał się lewą ręką, ale nigdy nie garbił się nad książkami. Nawet podczas pracy był wyprostowany, a na jego twarzy malowało się podniecenie tym, o czym czytał i pisał. Często, gdy pojął sedno jakiejś sprawy, składał dłonie i próbował podzielić się ze mną czarem swojego odkrycia. Tłumaczył tak starannie i cierpliwie, jak tylko potrafił. Spośród ludzi, których poznałem, on jeden należał do tych nielicznych, których autentycznie fascynowała wiedza. Kiedy już odłożył książki, opowiadałem mu, jak minął mi dzień. Bez końca zasypywał mnie pytaniami. Chciał poznać najdrobniejsze szczegóły spraw, nad którymi pracowałem; był zawsze poruszony do głębi niedoskonałością prawa oraz podłością ludzi, którzy mieli z nim do czynienia. Kiedy pozwalały mu na to inne obowiązki, odwiedzał mnie w sądzie. Czekałem, aż pojawi się na sali; zachowywałem dla niego moją przemowę. Teraz, gdy to wspominam – powiedział Norman, jakby tylko do siebie – myślę, że nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy. Kiedy David skończył studia, świętowaliśmy we dwóch, w jego pokoju. Rozmawialiśmy, już nie pamiętam o czym. Pamiętam natomiast moją radość z jego sukcesu; pamiętam jego uciechę z tego, że może się tym ze mną dzielić.

Norman popatrzył ponad biurkiem. Z wyraźnym zdziwieniem stwierdził, że doktor Littlestone mu się przygląda. Przez ostatnich parę minut czuł, że mówi tylko do siebie; teraz, gdy zobaczył lekarza, przypomniał sobie o charakterze całej tej sesji.

– Już przechodzę do Esther – obiecał. – Sęk w tym, że dużo lepiej się czuję, gdy mówię o nim – westchnął ze zmęczeniem na myśl, że pora się brać do roboty. – No cóż, cała ta sprawa z Esther zaczęła się na długo przed tym: mój ojciec był jeszcze rabinem, a David nie był jeszcze lekarzem. Tamtego dnia, gdy wróciliśmy z *szulu*, przycisnąłem Davida. Spytałem, co go łączy z moją siostrą. Był ze mną absolutnie szczerzy; wydaje mi się, że był również zaskoczony i nieco zraniony tym, że się złoścę. Powiedział, że darzy ją wyjątkowym uczuciem i chciałby zaprosić ją na randkę, że jeszcze tego nie zrobił, ale ma taki zamiar. Powiedział to całkiem jasno. Pokłóciliśmy się. Byłem głupi. Wiedziałem to już wtedy. Poszedłem do domu obrażony. Oczywiście podczas gdy ja tak się dąsałem i nie chciałem spotkać z Davidem, sprawy potoczyły się swoim biegiem. On przychodził do nas do domu, a ja go unikałem. Aż mnie skręcało, gdy widziałem, jaka Esther jest szczęśliwa. Wydaje mi się, że przez pewien czas cierpienie sprawiało mi przyjemność. Za każdym razem, gdy David próbował ze mną porozmawiać, zbywałem go. Podobało mi się to. Chciałem pogłębić nasz rozłam, aby przyszłe pojednanie było jeszcze piękniejsze. David i Esther zaczęli wspominać o zaręczynach; o tym, że pobiorą się, kiedy tylko David skończy studia. A kiedy wydawało się, że to już fakt dokonany, zmęczyłem się rolą, którą odgrywałem. Potwornie za nim tęskniłem. Wyglądało na to, że Esther będzie musiała stać się częścią naszego świata, więc się pogodziliśmy. Nasze pojednanie nie było nawet w części tak ekscytujące, jak oczekiwałem. Dąsałem się już zbyt długo. Nadal jednak byliśmy blisko. W zasadzie, jeśli chodzi o niego, to odniosłem wrażenie, że uczucia, jakimi mnie darzył, stały się jeszcze silniejsze. Nadal spotykaliśmy się tylko we dwóch. David nie chciał, żeby Esther odmieniła naszą przyjaźń. Mnie to również odpowiadało – łączyła nas wyjątkowa więź, której nikt, nawet Esther, nie był w stanie pojąć. Nie rozmawiał ze mną na jej temat, ale widziałem, że bardzo się kochali. Z czasem zacząłem się cieszyć ich szczęściem. Podczas gdy David przygotowywał się pilnie do egzaminów końcowych, nasze matki snuły plany związane z weselem.

Po chwili Norman zaczął mówić dalej:

– A wtedy nagle coś się stało z Esther. Chociaż nie podejrzewam, żeby to była nagła zmiana. To musiało postępować już jakiś czas. Zmieniła się jej twarz. Zauważyłem to pewnego ranka przy śniadaniu. Trudno opisać, co się stało. Każdy z rysów jej twarzy z osobna wydawał się ten sam, co niegdyś. To ich suma wyglądała inaczej. Esther zdawała się starsza, smutniejsza, a do tego jeszcze piękniejsza. Była milcząca i dziwnie zamknięta w sobie. Matka przypisywała jej humory miłości, ojciec nic nie mówił, ale ja się martwiłem. Często próbowała porozmawiać ze mną na osobności, ale jej unikałem. Podejrzewałem, że chce mówić ze mną o Davidzie; nie mogłem ryzykować ataku zazdrości, który by to wywołało. Z Esther działo się coś wykraczającego poza nasze zrozumienie. Spotykała się z Davidem codziennie, tak jak dotychczas, zauważyłem jednak, że unika zostawiania z nim sam na sam. Nigdzie nie wychodziła; każdego wieczoru chciała siedzieć w domu z Davidem i rodziną. Były wakacje, nie prowadziła więc lekcji hebrajskiego. Dnie spędzała w bibliotece, dokształcając się w swojej tematyce. Nie było w tym niby nic złego, czasami jednak odnosiłem wrażenie, że przesadza z tym ślęczeniem nad książkami. Pewnego razu, mijając drzwi jej sypialni, zobaczyłem, że wpatruje się w lustro. Włosy miała związane z tyłu i ciasno owinięte chustą. Po ślubie zamierzała ogolić głowę zgodnie z nakazami żydowskiego prawa. Być może sprawdzała, jak to będzie wyglądało. Pomyślałem, że może to ją martwi, że właśnie dlatego tak się zmieniła. Dostrzegłem wtedy jakąś zapowiedź zagrożenia. A może myślę tak teraz, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, sam nie wiem. Pamiętam jednak, że ogarnął mnie niewytłumaczalny strach, którego żaden z domowników zdawał się nie podzielać. Aż pewnego wieczoru – to była któraś niedziela, pod koniec lata – siedzieliśmy w domu, to znaczy Bella, ja i rodzice. David pojechał do wujka, a Esther wyszła ze starą przyjaciółką ze szkoły. Pamiętam, że matka robiła na drutach, a ojciec czytał *sidur*. Bella również czytała. Ja przygotowywałem się do sprawy. Wszyscy byliśmy zajęci; to matka pierwsza zwróciła uwagę na późną porę. Było już po północy, a Esther jeszcze nie wróciła do domu. Padał deszcz; pierwszym zmartwieniem mojego ojca było więc to, czy Esther wzięła płaszcz przeciwdeszczowy. Wysłał Bellę, żeby zajrzała do szafy w pokoju siostry. Parę minut później Bella wróciła blada jak ściana. W ręce trzymała list. „Znalazłam to na jej łóżku” – powiedziała. Esther napisała na kopercie „Do

rodziny”, ale akurat w tej chwili żadnemu z nas nie zależało specjalnie na przynależności do tej grupy. Bella położyła list na kuchennym stole. Leżał tak przed nami – źródło przerażenia. „Ty przeczytaj” – ojciec i matka powiedzieli chórem. Belli nie śpieszyło się do podnoszenia listu. W przypadku złych wiadomości – a ten list bez wątplenia je zawierał – zazwyczaj bywa tak, że obarcza się winą tego, kto je przynosi. Ani ja, ani Bella nie chcieliśmy brać winy na siebie. A jednak oboje sięgnęliśmy po list w tym samym momencie – każde z nas chciało oszczędzić tego drugiemu. W tamtej chwili byliśmy sobie bardzo bliscy. Była to więź, którą rodzina osiąga, gdy umrze jeden z jej członków. „Ja przeczytam” – powiedzieliśmy jednocześnie. W końcu ja podniosłem i otworzyłem kopertę. „Wiedziałam, wiedziałam” – załkała matka. Wszyscy już odgadliśmy, co wiedziała. Ja musiałem to tylko potwierdzić, odczytując list. Mogę go wyrecytować z pamięci, chociaż przeczytałem go tylko ten jeden raz. Każde słowo jednak wryło się we mnie czterokrotnie – po jednym razie za każdą osobę siedzącą przy stole. List zaczynał się od słów: „Droga moja rodzinno” – pamiętam ten rażący błąd – „ten list wami wstrząśnie, ale nie mogę już dłużej ukrywać prawdy. Dwa tygodnie temu wysłałam za męża”. Bałem się spojrzeć na rodziców, ale usłyszałem krzyk matki. Ojciec wydał z siebie głuchy jęk i zaczął, jakby automatycznie, przerzucać kartki modlitewnika. „Czytaj dalej” – ponagliła Bella, licząc na to, że kolejne zdanie w jakiś sposób zaprzeczy poprzedniemu. Wróciłem więc do czytania listu. „Wysłałam za Johna” – odczytałem – „spotykałam się z nim od wielu miesięcy. Nie mogłam się oprzeć. Bardzo go kocham i jesteście ze sobą szczęśliwi”.

Norman zerknął na doktora Littlestone’a.

– Cały ten John – wypluł z siebie imię – pracował w naszej bibliotece. Od lat był przyjacielem rodziny. W zasadzie był jedynym przyjacielem rodziny, nie-Żydem. Nieraz odkładał mi książki. Czasem nas odwiedzał, kiedy był u nas David. Przynosił książki ojcu. Wykazywał jakieś niezdrawe zainteresowanie wszystkim, co żydowskie. No, gdzie to ja byłem? Aha: „Bardzo go kocham i jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Napisałam do Davida, ale proszę, pomóżcie mi wytłumaczyć mu to wszystko”. Po wzmiance o Davidzie straciłem wszelkie zainteresowanie losem Esther. Dokończyłem list, odczytałem prośby o wybaczenie, patrzyłem na zboliałych rodziców, ale myślałem wyłącznie o Davidzie. Muszę przyznać, że byłem podekscytowany myślą o tym, jak będę go pocieszał. Chciałem wyjść z domu, ale przecież David był u wuja, musiałem więc zostać i patrzeć na ich katusze. Okrzyki matki przycichły; zastąpiło je głębokie, nieprzerwane zawodzenie, które wstrząsało jej ciałem, zadając jej zwierzęcy ból. Kiwała się do przodu i do tyłu, jęcząc i drżąc z przerażenia, jakim napelniła ją ta wiadomość. Słyszałem, że ojciec coś mamrocze, a kiedy odważyłem się na niego spojrzeć, zobaczyłem, że otworzył *sidur* na modlitwach za zmarłych.

Normanem wstrząsnął dreszcz. Zdał sobie sprawę, że dotąd nie pamiętał o tym, co ojciec zrobił na koniec. Nagle poczuł, że chce być przy ojcu; że chce być w domu i darzyć go miłością. „To najbezpieczniejsze, co człowiek może zrobić – pomyślał – otaczać kogoś miłością i troską”. Kochać kogoś: to nie dawało szczęścia, to nie było nawet niczym uzasadnione. Było to jednak bezpieczne, a Norman pragnął właśnie takiego bezpieczeństwa.

– Biedny tatuś – powiedział pod nosem. Spojrzał w okno. Tak w zasadzie to biedni byli wszyscy. Przytłoczyła go cała beznadzieja ich życia: Belli, rodziców i Davida.

– Co do Davida – powiedział łagodnie – to odczekałem do następnego wieczoru. Chciałem się z nim zobaczyć po pracy. Do tego czasu musiał już przeczytać list Esther. Przez cały dzień układałem w myślach słowa, którymi go ukoję. Kiedy szedłem do jego pokoju, byłem podekscytowany. Pamiętam: czułem, że to źle, że jestem taki podniecony. Wchodząc po schodach, zawołałem go po imieniu. Zawsze tak robiłem, żeby już stał w drzwiach, kiedy do nich dojdę. Tym razem ich nie otworzył, ale i tak wszedłem do środka. A raczej spróbowałem wejść. Drzwi uchyliły się jakieś sześć cali, a później coś je zablokowało. Otwierając je dalej na siłę, czułem, że się pocę. Już wiedziałem – tak samo jak matka wiedziała, co będzie w liście, zanim go otworzyłem.

Nagle Norman powiedział chłodnym głosem:

– Niewiele zostało do powiedzenia. Wykrwawił się na śmierć, leżąc na łóżku. Był tak unurzany w śmierci, że nie sposób było stwierdzić, skąd wykwitła – zamilkł na chwilę. Oczy miał tak suche, że aż go piekły. Chciałby być zdolny do płaczu. – Poszedłem na jego pogrzeb. Był samobójcą, więc pochowali go pod murem. Nikomu nie wolno było go opłakiwać, ale ja po kryjomu siadałem na niskim stołku, ponieważ straciłem brata. To wszystko – powiedział szybko. – To wszystko, co miałem panu do opowiedzenia.

Wstał, obawiając się, że doktor Littlestone coś do niego powie. Nie był w nastroju do wysłuchiwanie cudzych opinii. Był głęboko rozczarowany całą tą sesją. Wiązał tak wielkie nadzieje z opowiedzeniem tej historii, ale po fakcie poczuł jeszcze dotkliwszy smutek niż wtedy, gdy schodził po schodach Davida. Wtedy odczuwał fizyczny, wyczerpujący ból – podobnie jak teraz. Podszedł do drzwi. Otworzywszy je, odwrócił się do doktora Littlestone'a i tym razem zobaczył go nie jako słuchacza, którym dotąd był, ale jako przedstawiciela jego obleczonej w biel profesji, z notatnikiem i piórem w zasięgu ręki. Zapalał do lekarza nienawiścią za to, że przed chwilą sam darzył go zaufaniem.

– Jeśli to pana w ogóle interesuje – oznajmił z pogardą, która niespiesznie wkradała się w ton jego głosu – jeśli to pana interesuje: właśnie wtedy zacząłem brać tabletki. Oczywiście proponowano mi je już wcześniej, ale dopiero wtedy je przyjąłem.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem w kierunku oddziału. Człapał pod samą ścianą, przygięty melancholią. Nieraz doświadczał snów, które były bardziej niepokojące niż rzeczywistość. Po opowiedzeniu swojej historii poczuł ten sam niepokój.

„Co mi z tego przyszło?” – pomyślał. „Teraz, kiedy opowiedziałem mu o Davidzie, nie zostało już nic do opowiedzenia, bez względu na temat. A jednak czuję się tak, jak się czuję. Zostanę tutaj na zawsze”.

Przeszedł przez wahające się swobodnie drzwi. Dostrzegł grupkę mężczyzn zebranych na końcu oddziału. Ktoś stał pośrodku, pozostali przysłuchiwali się jego opowieści z żywym zainteresowaniem. Jeden z mężczyzn odwrócił się na dźwięk drzwi.

– Norman, patrz kto wrócił! – krzyknął. Odstąpił na bok, aby Norman mógł zajrzeć do kółka. W środku stał Minister, w piżamie, znowu w pracy. Norman poczuł się tak, jakby David wcale nie umarł. Podbiegł do Ministra, który rozłożył szeroko ramiona.

– Wiem, czego tobie potrzeba, kolego – szepnął Normanowi na ucho. – Jak sobie radziłeś pod moją nieobecność?

– Och, dzięki Bogu, że wróciłeś – odrzekł Norman.

– Tęskniłem za tobą. Gdzie się podziewałeś?

– Zostałem wezwany na posiedzenie gabinetu. Pozostali zaśmiali się nerwowo. Bali się z niego natrząsac; w równym stopniu bali się traktować go poważnie.

– W drodze powrotnej z parlamentu zaszedłem do mamusi – ciągnął Minister – i znalazłem w jej łóżku faceta. „Czołem, czołem”, powiedziałem, „co robisz w łóżku mamusi?”. A on na to: „Synku, jestem twoim nowym tatusiem”. Więc powiedziałem sobie: „to nie jest towarzystwo dla ciebie, kolego”. No i zabrałem się stamtąd i wróciłem na urząd.

Mężczyźni znowu się roześmiali, tym razem z nieco większą pewnością siebie; szaleństwo stawało się akceptowalne, o ile było dość szalone i trwało dostatecznie długo. Teraz było tak, jakby Minister w ogóle nie opuścił oddziału. Ruszył w stronę swojego łóżka, a Norman poszedł w ślad za nim.

– Ceny lekko poszły w górę – rzucił przez ramię Minister.

– Koszty utrzymania i tak dalej. Kiedy byłem poza szpitalem, zbadałem sytuację. Powiedziałem im zresztą podczas posiedzenia gabinetu: pigułki są tak samo nieodzowne jak mydło. Siedzieli tylko przede mną i drapali się tak, jakby mydła też nigdy nie używali. Nic im nie wytłumaczysz. Poza szpitalem ceny mydła również poszły w górę. Podobnie jak wszystkiego innego. Moja mamusia przesyła uściski – powiedział, zmieniając nagle temat. – Jeśli o mnie chodzi, to możesz się z nią ścisnąć do upadłego. Ona ma mydła pod dostatkiem, nie powiem. Szoruje tę swoją cholerną norę od rana do wieczora, a krowich placków i tak ma tam po kolana. Teraz kosztują dwa funty za dzień – oznajmił, znowu zmieniając temat bez zająknięcia – ale jesz, ile chcesz. Kupiłem sporą partię w hurcie. A gdzie Billy?

– Wróci – stwierdził Norman. – Tak jak ty wróciłeś. Tak jak ja wrócę – dodał pod nosem – o ile w ogóle kiedykolwiek wyjdę. Ministrze, dasz mi trochę teraz? Mam pieniądze.

– Jutro – odparł Minister, odwijając kołdrę. – Jutro obaj zaczniemy na nowo. Białe na śniadanie? Co, kolego?

Teraz, gdy tabletki były w zasięgu ręki, Norman stał się niecierpliwy.

– Muszę je dostać – powiedział. Poczuł nawet ukłucie bólu charakterystycznego dla okresów, gdy odstawał.

– Jutro – odrzekł stanowczo Minister, gramoląc się pod kołdrę. – Muszę się przespać, żeby zadbać o urodę.

Norman przyglądał się leżącemu mężczyźnie. Jakie piekło musiał przeżywać na zewnątrz, że wracał z ulgą w takie miejsce? A może odesłali go tutaj siłą; położyli na tyle samochodu bez klamek, przygnietli obcasem urzędowego buta. Norman wrócił do swojego łóżka. Perspektywa białych na śniadanie dodała mu otuchy. Skoro David nie chciał w nim obumrzeć sam z siebie, kiedy miał po temu szansę, Norman będzie musiał go wybielić, skazując na zapomnienie.

Rabin Zweek nie odczuwał już tak palącej potrzeby przetrząsania rzeczy Normana w poszukiwaniu wskazówek. Po fiasku z adresem kurwy nie kwapił się do badania jakichkolwiek znalezisk. Mimo to od czasu do czasu zachodził do pokoju syna, aby posiedzieć na jego łóżku, żeby było ciepłe, gotowe na powrót właściciela. Z upływem tygodni koszmar odosobnienia Normana tracił na sile. Rabin odwiedzał go raz czy dwa razy w tygodniu; czasami Bella jeździła sama. Norman przestał domagać się, żeby zabrali go do domu, a nie licząc okresu jego głębokiego snu, wizyty nie napawały ich już takim niepokojem. Czasami rabin Zweek czuł przerażenie na myśl, że zaczął już w takim stopniu akceptować całą tę sytuację. Zastanawiał się, co się stało z Billym. Przed kilkoma tygodniami podczas wizyty w szpitalu rabin Zweek zauważył, że łóżko Billy'ego stoi puste. Norman stwierdził, że nie ma pojęcia, gdzie się podział Billy, a nikt inny nie udzielał na ten temat żadnych informacji. Rabin Zweek miał nadzieję, że chłopak wrócił do domu. Jednak następnego dnia, gdy szedł na przystanek po odwiedzinach, dostrzegł stojących tam rodziców Billy'ego. Zwolnił kroku i poczekał na następny autobus, nie potrafił bowiem stanąć z nimi twarzą w twarz po tym, jak jego nadzieje co do zdrowia chłopca zostały rozwiane. Zastanawiał się, gdzie go teraz trzymają. W zasadzie wiedział, ale próbował o tym nie myśleć. Martwił się o Billy'ego w tym samym stopniu co o Normana. Coś sprawiło, że spodziewał się albo ich wspólnej zguby, albo wspólnego wybawienia.

Przez ostatnie tygodnie, które spędzali bez Normana, rabin Zweek bardzo zbliżył się do Belli. Zauważył, że córka odwzajemnia jego serdeczność. W domu często rozbrzmiewał śmiech. Było zupełnie jak za dawnych czasów, gdy Sarah żyła, Esther mieszkała w domu, a Norman był zdrowy. Ostatnimi czasy – dopiero po zniknięciu Normana – rabin zaczął częściej myśleć o Esther, i to z coraz mniejszym rozgoryczeniem. W skrytości serca nieraz marzył, by znowu się z nią zobaczyć, nie zapraszał jej jednak, głównie przez wzgląd na pamięć Sarah. Wiadomość o ślubie Esther załamała Sarah. Nie, nie spowodowała jej śmierci. Złamane serce jeszcze nikogo nie zabiło. Natomiast nowotwór, który ją zabrał, zrobił to posłusznie, wcale nie wbrew jej woli, ponieważ Sarah zaczęła umierać w chwili, gdy zobaczyła list Esther. Ich córka była wtedy jeszcze dzieckiem, miała dopiero siedemnaście lat. To było niemal dwadzieścia lat temu. Czy jej małżeństwo przetrwało tak długo? Czy mogła być szczęśliwa, skoro nie miała nawet dziecka, które spoiłoby ich związek? Rabin zastanawiał się, czy nie napisać do córki. Wiedział, że Bella utrzymuje z nią kontakt; był jej za to wdzięczny. A może zaproponuje, że dopisze zdanie do następnego listu Belli? Zastanawiał się, czy Esther wie o Normanie, czy chciałaby go odwiedzić. Zdecydował, że do niej napisze. W końcu miała prawo do wiadomości o bracie. Niemal w tym samym momencie stwierdził, że jednak tego nie zrobi. To byłby brak lojalności wobec Sarah.

Był niespokojny. Nigdy dotąd mu się nie zdarzyło, żeby nie wiedział, co ze sobą robić. Od czasu, gdy wycofał się ze swojej funkcji w synagodze, zajmowało go studiowanie żydowskiej historii i religii, a jeśli chciał urozmaicenia, mógł zawsze zejść do sklepu. Teraz jednak na dole nie było większego ruchu, a Bella i sprzedawca w zupełności wystarczali do obsłużenia klientów. Zazwyczaj o tej godzinie rabin Zweek siedziałby przy książkach, ale przez kilka ostatnich tygodni był niespokojny nawet podczas lektury. Wydawało mu się, że wszystko to zmierza do jakiejś kulminacji, ale nie osiągnie jej bez jego udziału. Nie miał pojęcia, co się działo, ale bez wątplenia sytuacja w domu ulegała zmianie. Nieobecność Normana, jego bliskość z Bellą, te ciągle myśli o Esther.

Zachodził w głowę, co może z tym zrobić. Rozejrzał się po pokoju Normana i po raz pierwszy rzeczy syna – ubrania, książki, przybory toaletowe – wydały mu się nie na miejscu, tak jakby ktoś upchnął je tu w pośpiechu, żeby czekały, aż znajdzie się dla nich właściwa przestrzeń. Nagle rabin Zweek zrozumiał, co powinien zrobić. Usunie Normana z pokoju Sarah, a raczej: oswobodzi Normana z matki. On wróci do swojego małżeńskiego łóżka, a Norman zostanie wyzwolony ze swojej bolesnej spuścizny. To będzie dobre przygotowanie na powrót syna.

Był zadowolony, że w końcu podjął jakąś decyzję. Szybko wstał z łóżka i zabrał się do pracy. Kiedy się podnosił, poczuł ukłucie w ramieniu i narastający ucisk w okolicy serca. Ten ból nie miał nic wspólnego ze smutkiem. Czuł go zresztą nie pierwszy raz. Przez ostatnich parę tygodni zdarzyło mu się to już kilkakrotnie. Zawsze jednak ból w końcu przechodził. Rabin Zweek usiadł, by pozwolić mu pójść swoją drogą. Irytował go fakt, że coś mu przeszkadza. Ból zawsze go denerwował, ponieważ oznaczał stratę czasu. Często myślał o śmierci – i to bez strachu – lecz w ostatnich tygodniach starał się nie dopuszczać do siebie takich myśli. Nie mógł sobie pozwolić na to, by umrzeć w tak krytycznym momencie, gdy wszystko wokół przeistaczało się i zmierzało do jakiegoś przełomu. Z tego powodu rabin starał się nie zwracać większej uwagi na ból. Gdy chwilę posiedział, ból minął. Dał mu jeszcze trochę czasu na wszelki wypadek, po czym wstał i zaczął planować swoją kampanię. Stwierdził, że najlepiej będzie prowadzić działania równolegle, to znaczy odbywać podróż do swojego pokoju z paczuszką rzeczy Normana, a następnie wracać z identyczną porcją własnych przedmiotów. W ten sposób pokoje przejdą stopniową przemianę, a w międzyczasie on sam zdąży przyzwyczaić się do swojej nowej pozycji.

Otworzył szafę, żeby zacząć od ubrań. Sukienki Sarah były wciąż pomieszane z garniturami Normana. Zdejmował wieszaki jeden po drugim. Rękaw jednej z sukienek żony utknął w kieszeni wiszącego obok garnituru Normana. Nie utknął – zauważył rabin Zweek, wyciągając rękaw – on został tam celowo wepchnięty. To wyreżyserowane partnerstwo podenerwowało rabina, tym bardziej że zauważył, iż powtarza się to w całej szafie. Powyciągał rękawy z kieszeni, zaniepokojony poczuciem odrazy, które go ogarnęło.

– Ach – szepnął – najwyższy czas ich rozdzielić.

Zaniósł kupkę ubrań Normana do swojego pokoju i położył je na łóżku, po czym przystąpił do zbierania własnej odzieży z myślą o podróży powrotnej. Tak spędził większą część przedpołudnia. Przenosił ubrania, książki i zapiski Normana, bacząc, by przypadkiem nie przyglądać się tym ostatnim. Za każdym razem odnosił partię swoich rzeczy z tej samej kategorii co ostatnio przyniesione. W miarę postępów przeistoczenia czuł się coraz swobodniej i pewniej. Na koniec wyniósł szczotkę do włosów i inne przybory toaletowe Normana, a gdy zniknęły, toaletka z leżącymi na widoku rzeczami Sarah przybrała przyjemny, znajomy wygląd. Zajrzawszy do szafy, rabin Zweek ujrzał swoje ubrania wiszące obok ubrań żony – każde po swojej stronie. Rozsunął je tak, aby pomiędzy dwiema grupami widniała porządna przerwa. Rozejrzał się po pokoju, zadowolony z siebie. Czuł się tak, jakby wrócił do domu.

Czuł zmęczenie po porannym wysiłku, położył się więc na łóżku. To było teraz jego łóżko, tak jak wtedy, gdy Sarah żyła, a Norman miał własny pokój, tak jak należy. Teraz wszystko zdawało się ze sobą wiązać: kolejne lekkie ukłucie w barku, myśl o Esther i jego kochanej Belli, wspomnienie Sarah. Zamknął oczy, czekając, aż ból przeminie.

– Muszę do tego na spokojnie podejść – powiedział do siebie.

Podczas gdy tak leżał, niedomknięte drzwi szafy otworzyły się szeroko, odsłaniając tę połowę, w której wisiały sukienki żony. To było tak, jakby podniosła się kurtyna przed jakąś dawno znaną i lubianą sztuką teatralną. Rabin Zweek położył się wygodnie, aby kontemplować ubrania Sarah. Wiedział, że obudzą w nim wspomnienia. Z tego powodu unikał patrzenia na te sukienki, które brały udział w wydarzeniach, o których wolałby zapomnieć. Zatrzymywał się na tych lepszych, jedwabnych i kwiecistych: ślub córki przyjaciół, *bar miewa*, udział w cudzym szczęściu. Błądził wzrokiem po rękawach sukienek. Był zadziwiony mocą, z jaką przywoływały wspomnienia. Za każdym razem pomijał mankiet z brązową koronką; najpierw dlatego, że nie potrafił go z niczym skojarzyć, a później dlatego, że każdy przelotny rzut oka napępiał go coraz większym niepokojem. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądała cała sukienka. Mankiet był dość charakterystyczny – rabin Zweek wiedział, że oględziny całości nie pomogą mu przywołać wydarzenia, z którym sukienka powinna się kojarzyć. A zresztą nie chciał nic przywoływać. Wstał z łóżka, porządnie domknął szafę, po czym położył się znowu.

Czuł w ciele napięcie. Zauważył, że z jakiegoś powodu jego prawa dłoń zacisnęła się w pięść. Nie miał pojęcia, kiedy to się stało. Wcześniej już zdarzało mu się odczuwać ten sam rodzaj napięcia – zawsze jako preludium do jakiejś bolesnej reminiscencji. To było swego rodzaju fizyczne zabezpieczenie przed jakąkolwiek psychiczną reakcją, która mogła zrodzić się ze wspomnienia – jakby zawczasu szykował się do walki. Ostatnio rabin Zweek stwierdził, że jego pamięć wyraźnie się poprawiła. Dawno zapomniane wydarzenia z jego życia – zazwyczaj te, o których nie chciał pamiętać – rozpałały jego umysł, zazwyczaj rozniecane przez jakiś drobny incydent, coś zasłyszanego lub dostrzeżonego, jak ta zacisnięta pięść, leżąca u jego boku. Przypomniał sobie czas, kiedy Norman postanowił się wyprowadzić. Nie miał pojęcia, dlaczego właśnie pięść mu to przypomniała, ale wiedział, że kryjąca się za tym logika ostatecznie się ujawni.

Zaczęło się, kiedy Norman poszedł na studia prawnicze. Przez ostatni rok szkoły przebąkiwał, że chciałby się wyprowadzić, ale rodzice zawsze go zbywali. Pani Zweek uważała to za skandaliczny pomysł, żeby Norman opuścił dobry dom i zamieszkał gdzie indziej, Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. Nie wyrażała jednak głośno opinii na ten temat. Gdyby bezpośrednio odniosła się do wzmianek syna, oznaczałoby to, że traktuje je poważnie. Nie życzyła sobie, żeby tak myślał. To był jakiś śmiechu warty, całkiem poroniony pomysł, postanowiła więc go zignorować. Gdy Norman zdał sobie sprawę, że ani ojciec, ani matka nie traktują go poważnie, obwieścił im swoje konkretne zamiary.

– Znalazłem pokój – powiedział pewnego dnia przy kolacji.

Pani Zweek ruchem ręki nakazała mężowi i córkom, aby zignorowali Normana. Posłała każdemu z nich groźne spojrzenie, które miało dać im do zrozumienia, że słuchają go na własne ryzyko. To była jej sprawa i nikt inny nie powinien się w nią wtrącać.

– Jeszcze zupki, Abie? – spytała męża.

– Znalazłem pokój – powtórzył Norman.

– Pięknie, pięknie – odparła matka. – Z wolnym czasem nie masz co robić, więc po mieście biegasz i pokójów szukasz. Pięknie, pięknie.

– To piękny, piękny pokój – odrzekł Norman, przedrzeźniając ją.

– Bardzo się cieszę. W domu matki taki okropny pokój masz, że po mieście biegać musisz i pięknego pokoju szukać. Pięknie, pięknie. Powody do radości masz. A teraz kolację kończ. – Nagle krzyknęła: – Dość już tych żartów!

– To żaden żart – odpowiedział cicho. – Wyprowadzam się pod koniec tygodnia.

– Proszę bardzo, droga wolna! – wrzasnęła. – Czy kto cię zatrzymuje? Może ja cię zatrzymam? Dość już matki masz? Ruszaj. Serce mi złamać chcesz? Rodzinę rozbić chcesz? – Posłała pozostałym wyzywające spojrzenie. – To ruszaj. No, idź.

– Chciałbym się wyprowadzić z waszym błogosławieństwem. Nie ma w tym przecież nic nienaturalnego, że chłopak w moim wieku chce się wyprowadzić z domu, prawda tato? – zwrócił się do bardziej liberalnego ojca.

– Jeszcze błogosławieństwa chce! – wybuchnęła pani Zweek. – Nie wystarczy mu, że rodzinę rozbije. Jeszcze mu błogosławić mam. Słuchaj, chłopcze – wycodziła, grożąc mu palcem – o żadnych pokojach nie chcę więcej słyszeć. Koniec rozmowy. W tym domu zostaniesz, zrozumiano? Aż do dnia, w którym Pan pozwoli, że się ożenisz. Wtedy zatrzymywać cię nie będę – oznajmiła wielkodusznie. – Wtedy własny dom założysz i błogosławieństw pod dostatkiem dostaniesz. A teraz koniec dyskusji.

Eshter i Bella milczały podczas całej rozmowy. Nawet jeśli miały na ten temat swoje zdanie, wiedziały, że lepiej się nie wypowiadać – Bella instynktownie i całkiem wbrew logice wzięła stronę matki. Dojrzała – pod wpływem okoliczności – do roli obrończyni rodziny, była więc gotowa stawić czoła Normanowi, jeśli tylko spróbuje zburzyć spokój rodziców, bez względu na siłę jego argumentów. Esther nie miała tak rozwiniętych dziecięcych uczuć. Przez całe życie była tak rozpieszczana i chroniona, że nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby przejmować się rodzicami. Nie widziała żadnego powodu, dla którego Norman nie miałby się wyprowadzić. Ona by się z tego ucieszyła. Brat pompował niepokoje i miłość rodziców do tak obrzydliwych rozmiarów, że w domu żyłoby się dużo lepiej bez niego. Każdego wieczoru matka stała nad nim i patrzyła, jak odrabia pracę domową, chociaż nic z niej nie rozumiała. Po parę razy sprawdzała, czy na pewno wszystko wykonał, chociaż musiała mu wierzyć na słowo, że zrobił to dobrze. Kiedy wychodził, matce by nawet przez myśl nie przeszło, żeby położyć się spać, zanim syn wróci do domu. Każdego ranka odprowadzała go na autobus. Chociaż miał osiemnaście lat, zawsze przestrzegała go, żeby ostrożnie przechodził przez ulicę. Nigdy nie wierzyła, że życie syna mogłoby toczyć się nieusankcjonowane jej przyzwoleniem. Norman nie był odrębną jednostką, ale przedłużeniem matki. Nic dziwnego, że przed jego przeprowadzką broniła się wszystkimi dostępnymi środkami.

Rabin Zweck dostrzegł logikę w życzeniu syna. Gdyby to tylko od niego zależało, zapewne najpierw zaprotestowałby dla zasady, ale później, w toku szczegółowej dyskusji, wyraziłby zgodę. Wiedział jednak, w jakim stopniu to by załamało Sarah. Sam był zbyt słaby, żeby się jej przeciwstawić. Co do Normana to chłopak na razie doświadczył tylko kilku momentów prawdziwej determinacji – jak na przykład przed chwilą – ale poza tym była to zapewne bardziej prowokacja niż deklaracja rzeczywistych zamiarów.

Norman wiedział, że musi uciekać. Matka już za długo go tłamsiła. A jednak się bał – nie tego, że będzie sam, ale tego, co się stanie z rodziną, jeśli się wyprowadzi. Przez ostatnich kilka miesięcy matka dość często twierdziła, że jego odejście będzie oznaczało koniec ich wszystkich. Nie mógł zupełnie wykluczyć takiej możliwości. Poza tym był jeszcze David. Jeśli się przeprowadzi, to zapewne będą się rzadziej widywać. Chociaż może to akurat nie byłby taki zły pomysł. Czasami martwiła go ich zażyłość.

– A co z Davidem? – spytała nagle matka, która miała już co prawda ostatnie słowo, ale wciąż nie było jej dosyć. – Jak bez niego żyć będziesz? – ton jej głosu wskazywał na to, że wie o ich przyjaźni więcej niż sam Norman. – A może przytulny, piękny pokój razem wynajmiecie? – zadrwiła.

– Dosyć, dosyć – wymamrotał rabin Zweek – w spokoju zjedzmy.

Dokończyli więc posiłek w milczeniu, chociaż pani Zweek teatralnymi gestami demonstrowała, że całkiem straciła apetyt. A potem, na wypadek, gdyby nie wyraziła swojego zdania dość jasno, oznajmiła wszem wobec, że musi się położyć.

Temat nie powrócił przez kilka tygodni. Zaczęły się wakacje; wyglądało na to, że Norman zrezygnował ze swojego postanowienia. Chociaż milczenie, które teraz zapadło, w zasadzie martwiło panią Zweek bardziej niż otwarte dyskusje. Obawiała się, że Norman wyniesie się bez ostrzeżenia. Każdego dnia, gdy syn był poza domem, szła do jego pokoju i wypatrywała oznak przygotowań do przeprowadzki. Czytała jego listy, na wypadek, gdyby znajdowały się tam jakieś wzmianki na ten temat. W rzeczach syna nie znalazła jednak nic niepokojącego. Uszyła mu więc do pokoju nowe zasłony, kupiła nową lampkę na biurko i znosiła cierpliwie jego ponure milczenie. Nie dawało jej to jednak spokoju, sama wróciła zatem do tematu, obawiając się, że w przeciwnym wypadku wszystko może odbyć się za jej plecami, zanim zdąży zareagować.

– Jak tam piękne pokoje? – spytała pewnego wieczoru, gdy wszyscy siedzieli razem w kuchni.

Rabin Zweek próbował ją uciszyć.

– Mamo – powiedziała Bella – dlaczego me dasz spokoju, skoro wszystko jest w porządku?

– Co jest w porządku? – spytał Norman. – To, że wciąż tu jestem, wcale nie jest w porządku. Gdyby interesował was mój pokój, to bym wam o nim opowiedział, ale przecież jest to wam zupełnie obojętne.

– Jaki pokój? Inny pokój już masz? – wybuchnęła pani Zweek.

– Mamo, już ci mówiłem – wyjaśnił cierpliwie Norman. – Parę miesięcy temu powiedziałem, że znalazłem pokój i przeprowadzam się do niego pod koniec tygodnia.

Tak właściwie to jeszcze nie zdecydował, kiedy się przeprowadzi. Bał się, wciąż to odwlekał. Matka jednak sama zaczęła go prowokować. W pewnym sensie był jej za to wdzięczny.

– Dość tych bzdur – powiedziała pani Zweek. – Wyklócać się nie będziemy. W domu zostajesz.

Rabin Zweek przyjrzał się synowi, znacznie wyższemu od pozostałych domowników. Zastanawiał się, w jaki sposób żona zamierza go tutaj zatrzymać.

Pani Zweek dodała: – Jeśli jeszcze jedno słowo o tym twoim pokoju usłyszę, to... to...

– To co? – odważył się spytać Norman.

Ponieważ pani Zweek nie miała pojęcia co, postanowiła ukryć brak pomysłów za pomocą zawołanej groźby.

– Nieważne – stwierdziła. – Zobaczysz. Tylko tyle ci powiem. Zobaczysz i pożałujesz. Gorzko pożałujesz – na tym skończyła, mając nadzieję, że wywarło to na synu odpowiednie wrażenie.

Co prawda Norman nie traktował jej pogroźek zbyt poważnie, był jednak od niej tak zależny, że nie potrafił puścić ich całkiem mimo uszu. Poszedł do swojego pokoju. Matka podążyła za nim i stanęła pod drzwiami, żeby nasłuchiwać. Spodziewała się, że zaraz usłyszy odgłos walizki ściąganej z szafy, w pokoju syna panowała jednak cisza. Cisza martwiła ją równie mocno, co kłótnie. Pani Zweek próbowała zarazić rodzinę poczuciem, iż jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Oni jednak powiedzieli jej, że niepotrzebnie wracała do tematu, że powinna to przemilczeć, a sprawa sama ucichnie. Pani Zweek jednak zamartwiała się na śmierć myślą, że syn mógłby odejść. Każdego dnia chodziła do jego pokoju, żeby sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. Zabrała jego walizkę i ukryła ją w swojej szafie. W głębi serca czuła, że nie będzie w stanie go powstrzymać; to martwiło ją najbardziej.

Kilka tygodni później jedli razem kolację. Do tematu przeprowadzki Normana nie wracali już od jakiegoś czasu, a pani Zweek – chociaż wciąż codziennie sprawdzała, czy walizka syna stoi w szafie – czuła się już nieco swobodniej. Jak niemal każdego wieczoru, po kolacji Norman wrócił do swojego pokoju, żeby się uczyć. Dziewczynki pozmywały naczynia, a pani Zweek zabrała się za robienie na drutach. To byłby taki sam wieczór, jak każdy inny – wszyscy siedzieli w mieszkaniu, oddając się swoim zajęciom – gdyby nie to, że tym razem było wyjątkowo cicho. Pani Zweek zastanawiała się, co robi Norman, powstrzymała się jednak od wizyty w jego pokoju z obawy przed wywołaniem kolejnej sceny. Zamiast tego poszła zajrzeć do szafy, żeby sprawdzić, czy walizka przypadkiem nie zniknęła. Wróciła do kuchni, zadowolona z wyniku kontroli. Robiło się już późno. Rabin Zweek nadal czytał.

– Abie – powiedziała żona – późno już. Idź, zobacz, co Norman porabia.

– Pracuje. Spokoju mu daj.

– Bella, idź, zobacz, co Norman porabia.

– Spokoju mu daj – powtórzył rabin Zweek. – Chłopak chwilę sam pobyć nie może?

Odczekała jakiś czas. Była niespokojna. W końcu wstała i oznajmiła:
– Ja pójdę.

Mąż ją powstrzymał.

– Zostaw, to już duży chłopak. Pozwól mu sobą być – powiedział tak łagodnie, jak potrafił. – Trochę niezależności potrzebuje. Wtedy krzyki skończy, co on z domu chce wyprowadzać.

Usiadła na swoje miejsce, a gdy usłyszała, że otwierają się drzwi od pokoju Normana, wróciła do robienia na drutach. Zdążyła dojść do połowy rzędu, gdy jej palce ogarnął nagły paraliż. Bez podnoszenia wzroku, kątem oka ujrzała sylwetkę syna stojącego w drzwiach. Coś ją nagle zamroczyło. To jego płaszcz, wypełniający framugę, na chwilę zasłonił jej światło. Nie miała odwagi spojrzeć synowi w oczy, spuściła więc wzrok na jego stopy. Stała przy nich stara walizka, której pani Zweek nigdy jeszcze nie widziała. Matka popatrzyła na Normana, położyła dłoń na sercu i wydała z siebie jeden z dawno przygotowanych jęków. Rabin Zweek wpatrywał się w syna. Żałował, że Norman – skoro już tak bardzo chciał się wyprowadzić – nie wybrał sobie chwili, w której wszyscy byliby poza domem, w której nikt nie próbowałby go powstrzymać.

– Wychodzisz? – spytał łagodnie.

– Odchodzę – odparł Norman. – Nie znikam na zawsze – wtrącił pomiędzy jękami matki – będę was odwiedzał. – Sam również żałował teraz, że nie odszedł bez pożegnania. Czuł, że mięknie pod wpływem szantażu matki. Nic go nie mogło powstrzymać przed podniesieniem walizki i wyjściem z domu, a jednak stał tak, przyrośnięty do podłogi, przeklinając w myślach matczyne lamenty.

A wtedy pani Zweek rzuciła rozpaczliwie: – Na co czekasz? Może na moje błogosławieństwo? – Wstała i ruszyła w jego stronę.

Esther próbowała ją powstrzymać: – Pozwól mu odejść.

– Następna – zaatakowała córkę pani Zweek. – Ty też wyprowadzić byś się chciała, co? No i widzisz – krzyknęła tryumfalnie do Normana – to koniec rodziny! Jak możesz matce i ojcu coś takiego robić? Na przedwczesną śmierć chcesz nas oboje skazać?

Rabin Zweck bezradnie przyglądał się żonie. Logicznie rzecz biorąc, przeprowadzka Normana była – w najgorszym wypadku – zasmucająca. Dobrze wiedział, że nikogo to nie zabije. Chociaż co do Sarah nie mógł mieć pewności. Całe swoje życie obudowała wokół syna, aż w końcu Norman jako osobna jednostka został pochłonięty w całości. Kiedy syn odejdzie, Sarah po części obumrze. Co do tego nie było wątpliwości. Rabin popatrzył na Normana i dostrzegł pierwsze objawy nadchodzącej kapitulacji. Chciał stanąć po jego stronie, ale bał się to zrobić. Po raz pierwszy w życiu poczuł niechęć do żony. Irytował go fakt, że sam nie potrafi zabrać głosu w dyskusji; Bella również postanowiła się usunąć. Tylko Esther zdobyła się na nieśmiały protest. Siedzieli tak we trójkę: potulni, neutralni. Wszyscy zmienili się w terytoria zależne od Sarah.

A wtedy rabin Zweck usłyszał głos Normana: – W porządku. Zostanę.

Spojrzał na syna, zdjęty dojmującą litością. Żał mu go było za tę słabość, którą sam mu przekazał w spadku. Chciał się do niego uśmiechnąć, to jednak mogłoby zostać opacznie odebrane jako oznaka tryumfu. Patrzył więc po prostu na Normana, próbując dać mu do zrozumienia, że wie, jak wielką krzywdę wyrządziła mu matka. Usłyszał, że żona wydała z siebie okrzyk ulgi. Nagle, jakby chciała dodać swej uldze wyrazu, podniosła rękę, aby uderzyć syna. Zapewne po części po to, żeby sobie ulżyć, a po części, żeby upewnić się, że Normanowi już więcej nie przyjdą do głowy podobne pomysły. Rabin Zweck automatycznie zerwał się na równe nogi i złapał jej rękę w powietrzu. Zaciśnął pięść na mankiecie żony i odprowadził rękę do jej boku.

Rabin Zweck usiadł na łóżku. Zobaczył, że jego dłoń się rozchyła. W mgnieniu oka zrozumiał, z czym kojarzyła mu się koronka na rękawie sukienki. Wspomnienie tego zajścia nappełniło go smutkiem. Zastanawiał się, jak bardzo tamto wydarzenie przyczyniło się do obecnego stanu Normana. Ale kto wie, kiedy to się zaczęło i dlaczego w ogóle do tego doszło?

Usłyszał, że Bella wróciła do mieszkania ze sklepu. Ucieszył się, że nie jest sam.

Tej nocy – pierwszej od wielu lat, gdy położył się w swoim łóżku małżeńskim – rabin Zweek źle się poczuł. Z początku nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Ból w ramieniu i okolicach serca był mu już tak dobrze znany, że zaakceptował go jako część nieuchronnie postępującego procesu starzenia. Co więcej, rabin czuł, że jeśli zignoruje ból, to przestanie on istnieć. Tym razem jednak poczuł strach. Niepewnie przesunął nogi na pustą stronę zadziwiająco wielkiego łóżka. Poczuł się bardzo samotny. Rozwagał możliwość zawołania Belli, wątpił jednak, czy starczy mu tchu, żeby krzyknąć dość głośno. Położył się w absolutnym bezruchu, a ucisk narastał.

Wiedział, że musi zawołać. Wyszeptał coś, co wydawało mu się imieniem córki. Bella usłyszała w swojej sypialni słabe nawoływania „Sarah” i na ten dźwięk pognąła pędem do ojca. Gdy zobaczyła, że rabin z trudem ukrywa ból i lęk, zajęła się dzwonieniem po lekarza i układaniem ojca najwygodniej, jak się dało, aby odsunąć własny niepokój. Zabroniła mu się ruszać i siadła przy jego boku, na straży jego bezruchu, czekając na przybycie lekarza. Kiedy doktor przyjechał, przyglądała się nerwowo badaniom, starając się nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach śmierci ojca. Winą za to wszystko obarczyła Normana oraz zadawniony ból ojcowskiego serca, wywołany przez Esther. Wiedziała jednak, że to ona – ta, która przez całe życie nie przysporzyła rodzicom żadnych zmartwień i zapewniała pocieszenie – sama będzie czuła się najbardziej winna.

Kiedy lekarz rozpiął piżamę ojca, Bella poczuła nagły przypływ zażenowania. Potrafiła się o niego troszczyć i niańczyć go, kiedy był ubrany, lecz w swej nagości stał się mężczyzną, jej ojcem, wyszła więc z pokoju przez wzgląd na jego intymność. Długo czekała pod drzwiami, zanim lekarz wreszcie wyszedł.

– Co z nim? – szepnęła.

– Przeszedł lekki zawał serca – odparł doktor Jacobs. – Teraz śpi. Jeśli odpocznie, wyjdzie z tego. Mówię jednak o prawdziwym odpoczynku. Musi leżeć w łóżku co najmniej przez miesiąc. Nie wolno mu w ogóle wstawać. Kolejny zawał wiązałby się z ogromnym zagrożeniem. A tak przy okazji, ile twój ojciec ma lat?

Bella nigdy nie kojarzyła upływu lat z rodzicami. Mogła zaoferować lekarzowi jedynie najogólniejsze domysły. Wiek człowieka nie wydaje się istotny aż do śmierci, kiedy to przyjaciele mogą stwierdzić, że całkiem długo pociągnął, a lekarze mogą bezpiecznie przypisać zgon pacjenta przyczynom naturalnym.

– Dasz radę się nim zaopiekować? – spytał doktor Jacobs. – To będzie praca na pełen etat. Oczywiście mogę zabrać twojego ojca do szpitala, ale biorąc pod uwagę, że Norman też przebywa poza domem, i tak między odwiedzinami nie będziesz miała na nic czasu.

– Sprowadzę ciotunię Sadie – oznajmiła Bella.

Doktor Jacobs pamiętał ciotunię Sadie z czasów ostatniej choroby pani Zweek. Jej skuteczność i wigor go przerażały. Mimo wszystko skinął głową.

– Jeśli ciotunia Sadie się zgodzi. Członek rodziny jest zawsze najlepszym opiekunem.

Po historii z Normanem Bella wątpiła w prawdziwość tego stwierdzenia, ale pozostawiła je bez komentarza.

– A swoją drogą, jak się miewa Norman? – spytał lekarz.

– Poprawia mu się – odparła Bella. To był pozbawiony znaczenia frazes. Bella zastanawiała się, co w przypadku Normana znaczy „poprawiać się”.

– To dodatkowe zmartwienie dla twojego ojca – stwierdził doktor. – Jak myślisz, kiedy należy spodziewać się powrotu Normana?

– Musi tam zostać co najmniej trzy tygodnie. A potem zadecydują lekarze.

– Paskudna sprawa. A ty zawsze byłaś taką dobrą córką – współczuł jej, co tylko pogłębiało jej potrzebę uzalania się nad sobą. Chciała, żeby już sobie poszedł.

– Czy naprawdę mu się poprawi? – spytała. – To znaczy ojcu?

– Tak jak powiedziałem, jeśli nie będzie się nadmiernie wysilał, przetrwa ten kryzys. A potem i tak musi bezwzględnie skończyć z pracą w sklepie i ogólnie podchodzić do wszystkiego na spokojnie. Proszę, oto recepta. Spisałem wszystkie zalecenia. Przyjdę jutro rano.

Odprowadziła go do drzwi. Cieszyła się, że ojciec śpi. Potrzebowała czasu, żeby nauczyć się, jak odnosić się do niego w tym stanie. Zastanawiała się, czy mówić o tym Normanowi, czy pisać do Esther. Wiedziała jednak, że to byłoby bezcelowe. Zapłonęła dawnym gniewem, że musi wszystkiemu stawiać czoła sama. Oczywiście była jeszcze ciotunia Sadie, ona jednak – przy całej dobroci serca – zaczęła już karmić się cudzymi chorobami. Poza tym ciotunia Sadie zawsze była dla Belli źródłem niepokoju. Widziała, jak bardzo są do siebie podobne. Były rodzinnymi świętymi, darzonymi nieufnością za swoje cnoty, bezustannie wykorzystywanymi i ogólnie nielubianymi za poczucie winy, które wzbudzały w innych członkach rodziny, nieodgrywających swoich ról jak należy. Mimo wszystko ciotunia Sadie była kimś, z kim będzie można wspólnie stawić czoła chorobie, która była sprawą tak prywatną i cielesną, że Bella wstydziła się ojca. Tak, dobrze, że ciotunia Sadie ma do nich przyjechać.

Sadie była młodszą siostrą Sarah, szwagierką rabina Zwecka. Nie wyszła za mąż. Czas, w którym nadawała się do zamążpójścia, przypadł dokładnie na lata pierwszej wojny światowej, kiedy to zgłosiła się do ochotniczej służby jako sanitariuszka. Wielu młodych mężczyzn zabiegało o jej względy, lecz jej kariera miała pierwszeństwo. Po zakończeniu wojny Sadie kontynuowała pracę w zawodzie, zajmując się jako prywatna pielęgniarka. Była tak pochłonięta pracą, że nawet nie zauważyła, kiedy przestała być poważną kandydatką na żonę dla kogokolwiek. Dopiero gdy inni przypieczętowali ten stan wzmiankami typu „szkoda, że nie znalazłaś sobie męża”, Sadie zdała sobie sprawę, że została odstawiona na boczny tor.

Sadie nie miała jednak w sobie nic ze starej panny. Zawartość jej książeczki oszczędnościowej wymownie świadczyła o jej życiu pozazawodowym, czy może raczej o życiu stycznym do zawodowego, bowiem granica pomiędzy profesjonalną i nieprofesjonalną opieką pielęgniarską potrafi być nieraz przyjemnie płynna. W jej książeczce znajdowały się ślady rozlicznych spadków „w podzięcie za opiekę i troskę”, od starych wdowców, którzy umarli jej na rękach czy może raczej w jej objęciach. Przy każdym pacjencie przychodził taki moment, w którym obmywanie ciała i opatulanie kołdrą stawało się odrobinę mniej bezosobowe. Nie uchodziło wątpliwości, że nikt nie potrafiłby zapewnić konającym pacjentom serdeczniejszego pożegnania z tym światem niż Sadie.

Dotarliśmy do domu rabina Zwecka, ciotunia Sadie założyła swój biały kitel. Ten strój dodawał jej – i jak miała nadzieje, również jej pacjentom – pewności siebie.

– No, no, no, kto był niegrzecznym chłopcem? – spytała, wchodząc niespiesznie do sypialni rabina Zwecka.

Rabin już nie spał, był teraz w lepszym humorze i ucieszył się na jej widok. Usiadła na łóżku i złapała go za rękę, a on głaskał jej dłoń, sam zaskoczony tym, jak bardzo uradował go jej przyjazd. Wyglądała zupełnie inaczej niż Sarah, nie przywiozła więc ze sobą żadnych bolesnych skojarzeń. Pocałowała go w czoło.

– Normana odwiedzić musisz – powiedział.

– Abie – powiedziała stanowczo – to do ciebie przyjechałam. Tobą się zaopiekuję. Zadbam, żebyś poczuł się lepiej. A potem parę dni dłużej zostanę i Normana odwiedzę. Przy wszystkich tych zmartwieniach z Normanem, trudno się dziwić, że źle się poczułeś. Norman cię potrzebuje, Bella cię potrzebuje, ja również cię potrzebuję – dodała nieśmiało. – Musisz wrócić do zdrowia, zrób to dla nas wszystkich.

– Esther do ciebie pisała? – szepnęła.

– Wierz mi – oznajmiła ciotunia Sadie – ona również cię potrzebuje. Po prostu się o niej wspominać bałam. U niej wszystko w porządku. W każdym liście o ciebie pyta. Spotkaj się z nią, Abie, dla własnego dobra. Błagam cię, kiedy już poczujesz się lepiej, pozwól jej przyjść do domu.

Rabin westchnął.

– Obiecałem Sarah – wystękał.

– Sarah zrozumie, Panie, obdarz ją pokojem. Ale najpierw musimy zatroszczyć się o ciebie.

Przez następne parę dni Sadie niewiele z nim rozmawiała. Ona i Bella siadywały przy jego łóżku, czasami czytały mu książki. Z upływem tygodni zaczął odzyskiwać siły i stawać się coraz trudniejszym pacjentem. Czuł się już dość dobrze, żeby wstać. Niepewnie zaproponował wspólną wizytę w szpitalu, ponieważ myśli zaprzętał mu Norman. Bał się, że syn zacznie za nim tęsknić i zamartwiać się o jego zdrowie. Sadie i Bella nie wypuszczały jednak rabina z pokoju. Próbowaly namówić go na rozmowę telefoniczną z Normanem, traktował to jednak jako swego rodzaju kapitulację, a poza tym obawiał się, że w ten sposób wzbudzi podejrzenia Normana. Skoro mógł rozmawiać przez telefon – a to przecież i tak porządnie by go obciążało – to dlaczego nie mógł pojechać do szpitala, zobaczyć się z synem i przepędzić niepokój? Kobiety zabroniły mu wypraw, chociaż wiedziały, że obawa o syna hamuje jego powrót do zdrowia. Grały na czas, wyczekując albo na wyjście Normana ze szpitala, albo na ozdrowienie rabina.

Po miesiącu doktor Jacobs zalecił mu spędzanie kilku godzin dziennie w fotelu na balkonie, poza tym rabin mógł już wstawiać na posiłki. Bella wróciła do pracy w sklepie na pełny etat, a rabin Zweek większość dnia spędzał sam na sam z Sadie. Bezustannie rozmawiał z nią o Normanie, na co ona pozwalała, ponieważ był to swego rodzaju substytut wizyty. Raz po raz wracał do opowieści o tabletkach i halucynacjach syna, o podróży do szpitala i późniejszych odwiedzinach. Opowiadał o Billym, wciąż zadając jej i sobie pytanie o to, dlaczego ludzie muszą tak cierpieć. Rabin czuł się lepiej, rozmawiając ze szwagierką, ponieważ ona nie udzielała mu żadnych rad i nikogo nie obwiniała. Znajdował w niej jedynie współczucie oraz głębokie przekonanie, że Normanowi niebawem się poprawi. Kiedy rabin był już zmęczony Normanem, rozmawiali o swoich rodzinach, o dzieciństwie Sarah, o tym, jak Sadie pamiętała matkę, o jej ojcu, którego rabin Zweek znał i kochał. On również opowiadał o swoim życiu: zaczynał od terażniejszości, która była najbardziej bolesna, po czym łagodził ból, delikatnie osuwając się w przeszłość. Stopniowo odzyskiwał siły. Wracał do zdrowia tylko i wyłącznie po to, by móc odwiedzić Normana.

Przez następnych kilka tygodni Minister zachowywał się bardzo dziwnie. Stał się wręcz nieprofesjonalny. Zaczął wydzielać Normanowi działki z góry na cały tydzień, zamiast – jak to wcześniej miał w zwyczaju – wydawać mu codzienne porcje. Norman sugerował, że jego postępowanie na stanowisku ministra zdrowia stało się nieetyczne, jednak Minister twierdził, że łatwiej mu jest zamykać księgi rachunkowe co tydzień. Opowiadał o interesie tak, jakby był u szczytu kariery. Dawał do zrozumienia, że ma bardzo wielu klientów, rozsianych po wszystkich oddziałach ośrodka, że jest ich w sumie dwudziestu pięciu, a jego rządowy interes tak się rozrósł, że był już przygotowany na prywatyzację.

Norman nie miał pojęcia, gdzie Minister przechowywał swoje zapasy ani skąd je importował. Zadawanie takich pytań byłoby z jego strony wysoce nieetyczne. Regularnie, dwa razy w tygodniu, Ministra odwiedzał ktoś z zewnątrz, ale nigdy nie zdarzyło się, żeby dwa razy przyszła ta sama osoba. Minister mówił na nich „kuzyni”, a Norman mógł tylko zgadywać, że byli to posłańcy, zmieniający się ze względów bezpieczeństwa. Pozostawało jeszcze pytanie, gdzie Minister przechowuje towar w szpitalu. Pacjenci mieli sporo swobody i mogli chodzić, gdzie tylko chcieli: z oddziału na oddział, do warsztatów czy na stołówkę. Skrytka mogła znajdować się wszędzie. Wprowadzony przez Ministra nowy system tygodniowego wydzielania towaru sprawił, że Norman również musiał rozwiązać kwestie składowania. Nie obawiał się, że podda się pokusie i pożre wszystkie za jednym razem. Wspomnienia dni spędzonych bez białych były wciąż dość żywe, by skutecznie go przed tym powstrzymać. Musiał jednak znaleźć jakiś schowek. Przedstawił swój problem Ministrowi.

– Jakież pomysły? – spytał. – Musisz znać parę dobrych miejsc.
Minister puścił do niego oko.

– Wybacz, stary. Tajemnica państwowa. Zapominasz, że jestem przedstawicielem rządu. To tak, jakbyś prosił o przeciek informacji wagi państwowej.

Norman zrozumiał, że nie ma co liczyć na pomoc z jego strony. Rozejrzał się po oddziale, ale wszystkie zakamarki były na widoku. Żelazna rama łóżka nie zapewniała żadnych skrytek. Rozwahał ukrycie towaru na sobie, jednak w miejscu takim jak to najmniej osobistą własnością człowieka jest właśnie jego ciało. Myślał nad wszyciem zakładki w narzutę na łóżko – jeśli udałoby mu się zdobyć tu igłę – ale wszystkie kapy były identyczne i mogły zbyt łatwo zostać podmienione podczas ślania łóżek. Owinął się mocniej szlafrokiem, a gdy zerknął w dół, znalazł rozwiązanie. Szlafrok – chociaż przydziałowy – stanowił tutaj jedyną rzecz przypisaną wyłącznie do niego. Przysiadłszy na łóżku, ujął w dłoń rąbek materiału. Zakładka była dostatecznie szeroka. Jej objętość wzdłuż całej krawędzi wystarczyłaby, żeby ukryć zapasy na co najmniej miesiąc, bez jakichkolwiek niedogodności czy nadmiernego obciążenia. Jakby nigdy nic zaczął lekko skubać szew. W ciągu kilku minut udało mu się stworzyć całkiem spory otwór, przez który wsunął do środka trzy celofanowe paczuszki. Wmanewrował je w narożnik obszycia i wygładził krawędź. Wstał z łóżka, by popatrzeć, jak układa się szlafrok. Woreczki były niewidoczne. Podszedł do łóżka Ministra. Na narzucie leżał szpitalny szlafrok tamtego. Norman przebiegł palcami całą krawędź, lecz była ona pusta. Zastanawiał się, gdzie Minister je przechowuje.

Było jeszcze wcześniej rano, ale pacjenci spacerowali już po trawnikach. Norman wyszedł na zewnątrz. Dzień był piękny. Jak to się zdarza w szpitalach w niektóre dni, wśród pacjentów panowało ogólne dobre samopoczucie. Często taki dzień kończył się burzą; zazwyczaj już na oddziale. Tego ranka, gdy Norman się obudził, odniósł wrażenie, że znowu je zobaczył. Nie były jednak jeszcze dość wyraźne czy liczne, by dało się je rozpoznać. Pomimo to Norman zaraził się od innych poczuciem pomyślności, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że był uzbrojony w tygodniową działkę oraz świadomość, że w razie potrzeby dostanie więcej. Był dumny ze swojego nowego schowka. Dołączył do Ministra siedzącego na trawniku.

Minister nie miał na oddziale żadnych bliższych znajomych. Nie grał w szachy, a w ping-ponga tylko z rzadka. Mało czytał, a wolny czas spędzał zazwyczaj, siedząc i gapiąc się w przestrzeń. Ludzie mieli opory przed podchodzeniem do niego, został więc wykluczony z większości grup. Minister uważał każde zgromadzenie liczące powyżej trzech osób za zebranie gabinetu, recytował więc z pamięci uświęcone tradycją protokoły ze spotkań, które nigdy nie miały miejsca; później prosił o podanie porządku dziennego obrad, sam go wygłaszał, przemawiał do zebranych, zadawał pytania, składał i odbierał oficjalne podziękowania. Wszystko to bez jakiegokolwiek względu na tok rozmowy prowadzonej przez innych. Kiedy już ktoś uwikłał się w tę procedurę, trudno było się wycofać, ponieważ każde szaleństwo – jakkolwiek potwornie powtarzalne i nudne dla wszystkich poza głównym zainteresowanym – wymaga należytego szacunku. Nie lekceważy się cudzego obłędu, nie wychodzi się w pół zdania. Trzeba się wyszczerzyć i to znieść, cały czas powtarzając sobie w myślach, że rozmówcę powinni zamknąć u czubków. Tak więc Minister zazwyczaj siedział sam, a zbliżyć się do niego można było tylko na własne ryzyko.

Norman jednak do niego podszedł. Minister siedział na leżaku. Wciąż miał na sobie piżamę plus własny, przywieziony z domu szlafrok, który udało mu się jakoś zatrzymać – wyświechtany, wełniany łach, upstrzony wypalonymi dziurami po papierosach. Szlafrok ciasno oblekał ciało Ministra. Norman przyjrzał się dobrze krawędzi, obszycie było jednak wąskie i poobrywane prawie na całej długości. Jak zwykle Minister miał na nogach własne buty – unikał oddziałowych chodaków – które wydawały się gwarancją piastowanego przez niego stanowiska. Wypolerowane na wysoki połysk buciory zakrywały mu kostki; na tyle wystawały jęczyczki z czarnej skóry, zahaczające o krawędzie nogawek piżamy. Norman przysunął drugi leżak i przysiadł się do Ministra.

– A więc rozwiązałeś swój problem? – szepnął mężczyzna. Mówił szeptem tylko wtedy, gdy nie był Ministrem. Gdy występował w roli ministra zdrowia, przemawiał głośno i z przekonaniem. Kiedy był szeregowym członkiem partii – którego prawdziwego imienia Norman zresztą nigdy nie poznał – szeptał nieśmiało i smutno.

– Tak, znalazłem pewne miejsce – odparł Norman. Minister nie był ciekawy. Po prostu dalej gapił się przed siebie. Norman czuł, że coś go trapi.

– Coś nie tak? – spytał.

– Ona tu przyjedzie. Dzisiaj po południu. Jeśli spróbuje się choćby zbliżyć do mojego łóżka, skręcę jej ten cholerny kark. – „Ona” mogło odnosić się tylko do jego matki. – To potrwa może godzinę. – Normanowi nie przychodziło do głowy żadne pocieszenie poza tym, że to, czego Minister tak się boi, będzie miało swój koniec.

– Lepiej, żeby w ogóle się do mnie nie zbliżała – wymamrotał Minister.

– A co jest z nią nie tak? – spytał Norman. Od razu pożałował, że zadał to pytanie. Było zbyt osobiste jak na takie miejsce. W szpitalu ciała pacjentów były może upublicznione, podobnie jak ich zaburzenia, ale wnikanie w przyczyny ich chorób nie było zbyt stosowne. Blizny i strupy były dość wyraźne; to, co kryło się za nimi, stanowiło jedyną prywatną przestrzeń, której pacjenci mogli się trzymać. – Zresztą nieważne – dodał. – Tak naprawdę, to nie chcę wiedzieć.

– Tak naprawdę to powinni solidnie przeszukiwać gości, którzy tu wchodzi! – krzyknął Minister. Znajdował się już znowu na posiedzeniu rządu. – Kto wie, co te skurwiele tu na sobie wniosą? Jak mam tu utrzymać porządek, kiedy takie szumowiny wchodzi i wychodzą, łążą mi tam i z powrotem, zdeptując podłogę? – mówił z zapalczywością godną doświadczonej sprzątaczkii. – Kto wie, co tu na sobie wniosą?

Norman poczuł już zmęczenie tyradą Ministra. Chciał jakoś wyrwać go z gabinetu.

– A on przyjdzie? – spytał. – To znaczy nowy mąż? Minister utrzymał się na stanowisku.

– Próbowałem nie wpuścić go na posiedzenie – wrzasnął – ale stara krowa na niego zagłosowała. Nazywa to demokracją. W dupie mam demokrację. Ten kraj potrzebuje dyktatora. Gdybym mógł zaprowadzić swoje porządki, nikt by tu nie przychodził i nie świnił tego miejsca. To byłoby ostatnie zdrowe miejsce na świecie. A on, owszem, przyjdzie. Oboje wleżą tu tak, jakby tu rządzili. Ona będzie cała w krowich plackach, a jemu z każdego oka będzie zwisał kutas. – Minister drżał cały z wściekłości i strachu. Nagle wstał i bez słowa pomaszerował na oddział. Norman przez chwile patrzył za nim, po czym ruszył w jego ślady. Przystanął przy drzwiach prowadzących na sale. Minister stał przy umywalce. Norman przyglądał mu się, licząc szklanki wody, które wlewał w siebie mężczyzna. W sumie czternaście. Wyglądało na to, że woda nie zaspokaja jego pragnienia, a jedynie desperacką potrzebę oczyszczenia duszy z odchodów matki. Po czternastej szklance Minister odsunął się od umywalki. Uszedł kilka kroków, przystanął, po czym wrócił do kranu. Jeszcze cztery szklanki. Wzruszywszy ramionami wobec bolesnej jałowości tych zabiegów, powlókł swoje ciężkie buciory w stronę łóżka.

Norman wrócił na trawę. Usiadł na swoim leżaku, sąsiedni leżak odsunął nieco dalej. Był na nim jeszcze osad obecności Ministra, którego Norman chciał się pozbyć. Nawet lubił Ministra, w jego sympatii tkwiła jednak domieszka wrogości, tak naturalna w związkach, w których jedna osoba jest całkowicie zależna od drugiej. Nie chciał o nim myśleć, ale z trudem przychodziło mu całkowite wyparcie Ministra z umysłu. Epizod z piciem wody przyprawił go o mdłości; żałował, że był jego świadkiem. Myśl o ogromnych butach Ministra, odciągających go od jego wodopoju, poruszyła Normana niewymownie. Ministrowi towarzyszyła aura wrodzonej, nieuchronnej zagłady, a dzisiaj Norman czuł się nią zarażony bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wrażenie to nasilały dodatkowo jasne promienie słońca sączące się przez gałęzie drzew oraz przerażająca wylewność pacjentów, żartujących między sobą na temat swojego niewiarygodnego stanu. Norman przymknął powieki, ale promienie słońca i śmiechy pacjentów przebiły się przez nie. Przytulił twarz do płótna leżaka. Materiał grzał go w policzek, ale dawał również ciemność i ukojenie. Norman zastanawiał się, co dzieje się z ojcem. Przez ostatnich parę tygodni starał się o nim nie myśleć. Upłynął już co najmniej miesiąc, od kiedy się ostatnio widzieli. Bella zbywała go jakimiś wymówkami: to była dla niego za daleka podróż, był przemęczony lub zbyt zajęty. Stanowczo zaprzeczała, jakoby zachorował, jednak w głębi serca Norman czuł, że siostra kłamie. Najbardziej rozgniewała go nie sama choroba ojca, ale fakt, że utrzymywali ją w tajemnicy przed nim, jakby stał się nagle kimś spoza rodziny, niegodnym obcym, który i tak nic nie zrozumie. Zastanawiał się, czy w rzeczywistości nie był zawsze kimś spoza rodziny – czy sam ustawił się na tej pozycji, czy może został wybrany na to stanowisko przez rodziców i siostry. Martwił się o ojca. Był przekonany, że ojciec zachorował, zwłaszcza że wcześniej żadne obciążenia czy niedogodności nie przeszkadzały mu odwiedzać syna. Norman zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek go ujrzy. Ogarnął go potworny niepokój.

Zerwał się z łóżka i wrócił na oddział. Gdy zobaczył, że Minister śpi, ucieszył się jego szczęściem. Sobie życzył tego samego. Wyjął z szuflady trochę drobnych i poszedł korytarzem do telefonu. Wiedział, że przed południem nikt nie ma prawa odebrać. Wszyscy będą na dole, w sklepie. Musiał jednak sprawdzić, czy w domu nie dzieje się nic złego. Ogarnęło go nagle przemożne poczucie odpowiedzialności za całą rodzinę. Chciał zaopiekować się wszystkimi, nawet Esther, której imię mógł już wypowiedzieć bez rozgoryczenia. Rozpaczliwie pragnął powrotu do domu, przeklinał teraz białe tabletki, które go tu trzymały.

Wykręcił numer i dla zabicia czasu pochuśtał słuchawką na palcu, oczekując na potwierdzenie, że o tej porze nikt nie odbierze. Nagle, ku jego przerażeniu, w słuchawce rozległ się kobiecy głos, obleczony w biały kitel, niemalże nierozpoznawalny.

– Halo! – krzyknął Norman. – Kto mówi, na Boga? – Czuł się obrażony obecnością obcej osoby w swoim domu; z drugiej strony wpadł w panikę wobec faktu, że głos wydawał się tak znajomy.

Po drugiej stronie na chwile zapadła cisza, przerywana niezręcznym chichotem.

– Tu twoja stara ciotunia Sadie – odparł kobiecy głos. Serce w nim zamarło. Ciotunia Sadie, która pojawiała się tylko w kryzysowych momentach, która podróżowała od jednego łóżka śmierci do drugiego, kolekcjonując ostatnie tchnienia jak suszone motyle.

– Co ty tam robisz? – wrzasnął.

– Po prostu w odwiedziny przyjechałam – powiedziała niewinnie, była jednak równie nieprzekonująca, co grabarz wpadający bez okazji na herbatkę.

– Tata jest chory? – zapytał szeptem Norman. Musiał poznać prawdę.

– Chory? Chory? – zdziwiła się ciotunia Sadie, popisując się powtórzeniami i udawanym zaskoczeniem niewprawnego kłamcy. – A cóż twojemu ojcu mogłoby dolegać?

– Czy mogę go w takim razie prosić do telefonu?

– Teraz jest z Bellą w sklepie – odparła szybko ciotunia Sadie, wykazując niewiele większe przekonanie niż przed chwilą.

– To co ty tam robisz? – spytał znowu.

– W odwiedziny przyjechałam – oznajmiła stanowczo. – Chcesz, żebym do ciebie wpadła?

– Od jak dawna tam jesteś? – zawahał się Norman.

– Wczoraj przyjechałam.

– Jak długo zostaniesz?

– To zależy – odparła.

– Zależy od czego? – prawie krzyknął Norman.

– Od tego, kiedy przestanę być mile widziana – zaśmiała się. To mogło oznaczać właściwie wszystko.

Teraz, gdy jego obawy okazały się uzasadnione, Norman postanowił zaplanować ucieczkę ze szpitala, pojechać do domu i sprawdzić wszystko na własną rękę.

– Bella dziś do mnie przyjedzie? – spytał jakby nigdy nic.

– Nie wydaje mi się. Terry zachorował, w sklepie duży ruch.

– A tata?

– Trochę zmęczony. To dla niego taka daleka podróż. Jak Pan pozwoli, już niedługo wrócisz do domu. Mówią, że jeszcze tylko parę tygodni – starała się zmienić temat, by uniknąć dalszej rozmowy o odwiedzinach.

– To może ty mnie odwiedzisz? – spytał Norman, momentalnie wciągając ją z powrotem w temat.

Znowu to niedające się ukryć wahanie: – Zostanę i towarzystwa twojemu ojcu dotrzymam. W sklepie – dodała.

– Jest chory, prawda? – spytał cicho Norman.

– Kto jest chory? Kto miałby być chory?

– Mniejsza z tym.

Odłożył słuchawkę. Podjął zdecydowane postanowienie, że się stąd wydostanie. Zastanawiał się, czy ojciec jest konający. W krótkiej, cichej modlitwie poprosił o to, aby ojciec zaczekał, aż on wróci do domu. Wszedł na oddział. Wiedział, że do lunchu nie może uciec. Za szybko zwróciliby uwagę na jego zniknięcie i złapaliby go, zanim dostanie się do domu. Lepiej będzie poczekać, aż pojawią się odwiedzający. W zamęcie wywołanym przez przychodzących i wychodzących gości łatwiej będzie się wymknąć. Jedyne kłopot stanowiły ubrania. Ojciec i Bella nie zgodzili się na przyniesienie jego ubrań do szpitala, co go zresztą dotąd nie martwiło. Igrał z myślą, że mógłby zabrać ubrania śpiącego Ministra, ale byłyby dla niego znacznie za duże. A tak poza tym to była odstręczająca myśl. Mógłby zarazić się jego ministerialną rozpaczą. Usiadł na łóżku. Zrozumiał, że napotkał problem nie do rozwiązania. Człowiek nie może w biały dzień iść ulicami w piżamie i liczyć na to, że nikt nie zwróci na niego uwagi. Będzie musiał poczekać do zmroku. Wtedy wymknie się przez okno na korytarzu, po drodze do, powiedzmy, toalety. Później wróci do domu na piechotę lub zaryzykuje złapanie stopa, o ile będzie w stanie wymyślić wiarygodną historyjkę, którą wciśnie kierowcy. Był zadowolony z tej decyzji, a dręczący niepokój o ojca oraz rozpaczliwa potrzeba zobaczenia się z nim zaślepiły go na tyle, że nie dostrzegał już ryzyka, które zamierzał podjąć. Próbował wyobrazić sobie dom, z ciotunią Sadie siedzącą na górze oraz ojcem i Bellą w sklepie. Ciotunia Sadie tam nie pasowała. Nie tak całkiem sama. Ojca w sklepie też jakoś nie widział. Nie miał pojęcia, jak wytrzyma do zmroku.

Złapał za krawędzie łóżka i zaczął wpatrywać się w podłogę. One znowu tu były. Tylko kilka, ale to wystarczyło, by zaznaczyły swą obecność. Już niedługo miały się rozmnożyć, to była tylko kwestia czasu. Ale czego można się spodziewać w tak zapaskudzonym miejscu jak to? Dobrze będzie wrócić do domu. W obliczu innych niepokojów zapomniał już o robactwie, które zostawił w swojej sypialni. Przez chwilę nie potrafił sobie wytłumaczyć, co on tutaj w ogóle robi, jakąż to choroba sprawiła, że zamknęli go z bandą czubków. Zaczął węszyć, chciał sprawdzić, czy one przywlokły ze sobą swój zapach. Jak na razie powietrze było czyste, a jego ciało niepodrażnione. Oderwał wzrok od podłogi i spojrzął przed siebie. Słońce wdzierало się przez okna, przecinając oddział zakurzonymi snopami światła niczym jakiś projektor.

– Dlaczego oni nie potrafią utrzymać tu czystości, do cholery? – jęknął Norman. Był przerażony myślą, że one przyjdą całym stadem i go obleżą, jeszcze zanim zdoła się stąd wydostać i spotkać z ojcem. Nie mógł zмагаć się ze wszystkim jednocześnie. Nie miał odwagi myśleć o problemie z ubraniami, ale modlił się o to, żeby zmrok zapadł jak najszybciej.

– Dobry Boże – szepnął – pozwól mu żyć, a skończę z pigułkami, przysięgam.

W drzwiach oddziału stanął pielęgniarz.

– Norman – zawołał – telefon do ciebie.

Norman wstał z łóżka, ale strach nie pozwolił mu dać kroku w stronę drzwi.

– Umarł – powiedział pod nosem. Rozejrzał się po oddziale. Sala była praktycznie pusta. Minister spał na swoim łóżku. Widok tej smutnej, pogrążonej we śnie bryły napełnił Normana wściekłością. Dlaczego inni mieliby pozostać nieświadomi jego katuszy? – Minister! – krzyknął przez oddział.

Minister podskoczył na łóżku, po czym zdjęty strachem, że oto przybyli jego goście, zerwał się na równe nogi i pognął do drzwi. Norman zauważył, że jego dostawca wciąż ma na nogach buty.

– Norman – powtórzył pielęgniarz – telefon do ciebie.

– Kto dzwoni?

– Chyba ojciec.

Norman poczuł, że po twarzy spływają mu gorące łzy ulgi i wdzięczności. Pośpieszył do telefonu.

Wcześniej, gdy ciotunia Sadie skończyła rozmowę z Normanem, rabin Zweek zawołał słabym głosem ze swojej sypialni:

– Kto dzwonił? – musiał się wysilić, żeby dało się go usłyszeć. Ciotunia Sadie pobiegła do jego pokoju.

– Pomyłka – oznajmiła beztrąsko.

– Długo jak na rozmowy z pomyłką – mruknął rabin. Nie zaprzeczyła, bała się jednak powiedzieć szwagrowi prawdę, z obawy, że ten się zbyt łatwo zdenerwuje. Przez chwilę żywiła do Normana nienawiść za to, co robił ojcu. Zaczęła demonstracyjnie poprawiać pościel. Gdy ubijała poduszki, rabin Zweek złapał ją za rękę.

– To Norman, prawdę? – spytał. Skinęła głową.

– Zamartwia, co jego nie odwiedzam. Wie, o co rozchodzi. Porozmawiać z nim muszę – oznajmił stanowczo. – Telefon proszę przynieść.

Ciotunia Sadie była jednak nieubłagana. W tym stanie nie mógł rozmawiać z Normanem.

– Nie. To dla ciebie zbyt wiele. Nie potrzeba ci więcej zmartwień. Poczekaj, za kilka tygodni na nogach staniesz. Pojedziesz go odwiedzić, a może Pan pozwoli, że Norman wróci do domu.

– Sadie – błagał rabin – jakby chłopak nie dość zmartwień miał, jeszcze się bać o ojca musi. Telefon proszę przynieść. Tylko z nim porozmawiam.

Ciotunia Sadie wróciła jednak do odkurzania całkiem czystej toaletki.

– Sadie, już posprzątałaś. Skoro wiem, co mój syn zamartwia, to ja też zamartwiam. To dla mnie niedobrze. Lepiej mi zrobi, jak z nim porozmawiam. Telefon proszę przynieść.

– W porządku – dała za wygraną – ale tylko parę minut.

– Tylko tyle, coby pewność miał, co ja żyję – odparł rabin Zweek. Uśmiechnął się do niej, gdy wychodziła z pokoju.

Ciotunia Sadie przeciągnęła kabel przez korytarz. Rozciągnięty do granic możliwości ledwo sięgnął do drzwi sypialni. Sadie pomogła szwagrowi wstać z łóżka, usadziła go w fotelu i owinęła kocem. Wykręciła numer i podała mu słuchawkę, w tym samym czasie ocierając chusteczką pot z jego czoła.

– Proszę, czy szpital? – spytał rabin Zweck. – Chciałbym Normana Zwecka – nadał temu imieniu wyzywające dostojeństwo; ułożył usta w uśmiech, by już przygotować radość, która miała rozbrzmieć w jego głosie. Czekał, przyciskał słuchawkę do ucha. Chciał dostępu do wszystkich dźwięków rozbrzmiewających w otoczeniu Normana. Słyszał zanikające kroki oraz brzęk sztućców. Potem zapadła długa cisza, przerwana przez odległy okrzyk – czyjeś imię. Niosące się ze słuchawki echo wykrzykniętego imienia zaniepokoiło rabina, nie tylko ze względu na wysokość wrzasku, lecz również przez to, że w tym głosie brzmiało coś mgliście znajomego. Usłyszał szuranie butów, a potem znowu zapadła cisza. Z jego czoła skapnęła kropla potu. Przeszedł go dreszcz.

– To ci dobrze nie zrobi – stwierdziła bezradnie ciotunia Sadie.

– Czekaj, czekaj – powiedział. – Może śpi.

– To spać mu daj. – Ciotunia Sadie nie potrafiła ukryć złośliwości pobrzmiewającej w jej głosie. – Ty też teraz spać powinienes.

– Coś długo idzie – mruknął rabin Zweck.

– Daj, ja potrzynam.

Nie chciał jej jednak oddać słuchawki. Chciał słyszeć Normana w drodze z oddziału do telefonu. Chciał słyszeć wszystkie otaczające go dźwięki.

Gdy Norman dotarł do telefonu, wsłuchał się w oddech ojca.

– Tato? – spytał łagodnie.

– Norman. Norman. Co to za pomysł, co ja niby choruję? Kto tak mówi? Ciotunie Sadie do sklepu zbiega i takie historie mi opowiada. Okazuje się, co ja nagle zachorowałem – zaśmiał się. Był zadowolony ze swojej historyjki. Skinął głową na Sadie, a ona odwzajemniła mu się tym samym, okazując uznanie dla jego sprytu.

– Nie odwiedzasz mnie od ponad miesiąca – stwierdził Norman. – Co z tobą?

Rabin Zweck zawahał się.

– To sklep – oznajmił pogodnie. – Nagle tyle roboty mamy. No i Bella do ciebie przychodzi. Jak do domu wrócisz, to się zobaczymy.

– Co u was robi ta suka?

Rabin Zweek mocno przycisnął słuchawkę do twarzy, ale ciotunia Sadie i tak zdążyła usłyszeć to słowo. Wzruszyła ramionami.

– Wczasy – wyszeptała do rabina Zweeka, wyraźnie poruszając ustami.

– Wczasy – rabin praktycznie krzyknął do słuchawki. – Wyobraź tylko, twoja ciotunie Sadie wywczas urządziła – zachichotał.

– Gdzie ona teraz jest? – spytał Norman.

– Na dole. W sklepie. Ja na górę pobiegłem, coby ci zadzwonić. Ona z Bellą została.

– Dlaczego nie możesz do mnie przyjechać? – ponownie spytał Norman.

Rabin Zweek westchnął.

– Prawdę mówiąc... – zaczął, chociaż zamierzał wypowiedzieć półprawdę – źle to na mnie działa. Ta długa podróż i to miejsce, którego nie lubię.

– A myślisz, że ja lubię? – spytał Norman. – Cholerny tu syf. Można by oczekiwać, że od czasu do czasu chociaż umyją podłogi. Ale nie, wszędzie się roi od robactwa.

Ciotunia Sadie zwróciła uwagę na nienaturalną bledość zalewającą policzki szwagra.

– Do widzenia, do widzenia – podsunęła niespokojnie.

Rabina Zweeka ogarnęło poczucie bezsilności. Nie potrafił pojąć, jakim sposobem wszystkie objawy choroby Normana tak nagle wróciły. Nie wiedział, co powiedzieć, więc znowu zachichotał nerwowo. Serce w nim jednak zamarło, oczy go piekły.

– Nie ma się z czego śmiać – stwierdził gniewnie Norman. Niepokój o ojca zdążył już przygasnąć, Norman mógł więc skoncentrować się na swoim odwiecznym problemie. – Wszyscy się na to skarżą – ciągnął. – Jeden z pacjentów ogłosił strajk. Nie chce się położyć do łóżka, bo pościel jest brudna. Całe noce siedzi na krześle. Może się do niego przyłączyć. – Norman nie był jeszcze wystarczająco przekonany o mocy swoich argumentów, by podtrzymać je o własnych siłach, musiał więc wymyślić sobie jakieś wsparcie. – Jeśli nic z tym nie zrobią, niedługo cały pierdolony oddział rozpocznie strajk.

Rabin Zweek się skrzywił. Miał ochotę odłożyć słuchawkę i wybuchnąć płaczem. Przez chwilę był oburzony tym, że jego syn musi żyć w takim brudzie; postanowił, że napisze ostry list do kierownictwa szpitala. Wolałby uwierzyć Normanowi niż przyjąć do wiadomości, że syn ma kolejny nawrót. Dobrze jednak wiedział, że brudna pościel jest nie bardziej rzeczywista niż rybiki cukrowe. Nie mógł wspierać syna w jego obłądnie.

– Poprawi – powiedział słabym głosem. – Zobaczysz, za parę dni tobie poprawi. Za parę dni z odwiedzinami do ciebie przyjeżdżam. A teraz do łóżka wróć. Snu potrzebujesz.

– Jezui! – krzyknął Norman. – A wy ciągle o tym śnie. Dlaczego mnie nie uspicie raz a dobrze? Mielibyście problem z głowy.

– Norman, Norman – zaczął błagalnym tonem rabin Zweek.

– Tato – szepnęła Norman – musisz mnie stąd wyciągnąć.

– Przyjadę. Przyjadę. Za parę dni – odrzekł rabin. – Zobaczą. Z doktorem pomówię. Ciotunie Sadie mnie woła – dorzucił w nagłym przypływie natchnienia. Nie był już w stanie więcej tego znieść. – Lecieć muszę. Za parę dni z odwiedzinami do ciebie przyjeżdżam.

– Jak chcesz – stwierdził bezradnie Norman. – Powiedz Belli, żeby przywiozła mi ubrania. – W swoim otępieniu uznał, że w domu faktycznie wszystko jest w porządku, porzucił więc myśl o ucieczce. Komplet ubrań mógł się jednak zawsze przydać.

– Powiem jej. Jutro do ciebie przyjedzie. Pilnuj tam – dodał ojciec. – Niebawem sobie zobaczymy.

– Do widzenia, tato. Nie przemęczaj się.

Rabin Zweek odłożył słuchawkę i zapadł się w fotel.

– Mówiłam, żebyś z nim nie rozmawiał. Patrz, jak to na ciebie działa.

– Nic się nie zmieniło – jęknął. – Wszystko po staremu. Co oni w takich miejscach robią? – spytał z rozgoryczeniem. – Przynajmniej o mnie już nie zamartwia. To już coś.

– Przespać się musisz – oznajmiła ciotunia Sadie. – Odpocząć musisz. Tylko odpoczynek da ci zdrowie. Chodź. Zabiorę poduszki.

Pomogła mu wrócić do łóżka. Rabin Zweek ujął ją za dłoń.

– Sadie – powiedział – bardzo dużo ostatnio myślałem. Wiem, co ja obiecałem Sarah, Panie, obdarz ją pokojem. Ale wiecznie nie będę żył. To wiem. Biedna Sarah nie wiedziała. Myślała, co jej poprawiało. Pamiętasz, jak urlopy planowaliśmy? Biedna Sarah. Ale co do mnie – ja wiem. Ile jeszcze pożyję, Sadie? Ten zawał, następny zawał, kto wie?

– Nie mów tak.

– Słuchaj, Sadie. – Mocno ścisnął jej rękę. – Tak myślałem... – zamilkł, rozluźnił uścisk dłoni i pozwolił swojej ręce opaść na pierzynę. – Moją Esther zobaczyć chciałbym – powiedział.

Ciotunia Sadie ucieszyła się na tę prośbę. Z drugiej strony żałowała, że szwagier musiał aż tak ciężko zachorować, żeby wyzbyć się dumy.

– Napiszę do niej – powiedziała. – Ty śpij, a ja napiszę. Niebawem przyjedzie. Będziesz miał na co czekać. – Uśmiechnęła się, podciągając mu pierzynę pod brodę.

– Sadie, taka dobra dla mnie jesteś. Teraz zdrzemnę.

Po cichu zamknęła drzwi. Zamierzała natychmiast napisać list, a potem modlić się, żeby Esther zdążyła odwiedzić ojca, zanim będzie za późno.

—

Kiedy Norman wrócił na oddział, sanitariusze nakrywali do stołu przed lunchem. Norman nie był głodny; białe zawsze pozbawiały go apetytu. Musiał jednak demonstracyjnie jeść, bo pielęgniarki zaczęłyby coś podejrzewać. Czasami jemu i Ministrowi udawało się zrzucić jedzenie na talerze innych pacjentów, którzy – chociaż obrabowani ze wszystkiego innego – zachowali swój prymitywny, prostacki apetyt. Minister wciąż spał. Pielęgniarka zawołała pogrążonego we śnie mężczyznę. Norman podszedł do jego łóżka. Zamierzał obudzić go delikatnie, zwłaszcza że wiedział, jakie lęki będą towarzyszyły jego przebudzeniu.

– Ministrze – szepnęła – pora na lunch. – Chciał jasno zaznaczyć, że nie budzi go z innego powodu.

Minister odwrócił się do niego. Był już w pełni rozbudzony i zdjęty zgrozą na myśl o czekających go odwiedzinach. Z wyraźnym zmęczeniem wygramolił się z łóżka.

– Dlaczego nie zdejmujesz butów? – spytał Norman.

– Mogę zostać nagle wezwany na posiedzenie – odparł Minister. – A zresztą moje buty są dużo czystsze niż te cholerne łóżka.

Norman z przekonaniem przyznał mu rację, po czym pomógł mu założyć szlafrok. Łączące ich poczucie wyjątkowej więzi było obopólne. Minister objął nagle Normana ramieniem i posadził go obok siebie na łóżku.

– Słuchaj – szepnął. – Nie przyznałbym tego przed kimkolwiek innym. Podejrzewam, że obaj możemy być obłąkani. To znaczy, wszyscy twierdzą, że tu jest czysto, ale my widzimy na własne oczy, że wszędzie pełno syfu. Coś musi być nie tak albo z nimi, albo z nami.

– Zjedzmy lunch – odrzekł Norman. Jego również często nawiedzały podobne wątpliwości, nie śmiał jednak dopuścić ich do głosu. Nie chciał, by Minister zasiał mu w głowie jeszcze większy zamęt.

Minister się nie ruszył.

– Chciałbym umrzeć – szepnął. – Mam dość tego wszystkiego. Nawet tego parszywego gabinetu. Banda kretynów. Nikt już mnie nie słucha. Myślą, że tobie też odbiło. Jaki to ma sens? – Opatulił się szlafrokiem. – Jedyne, co mi zostało, to kopnąć w kalendarz – oznajmił – ale nawet on będzie należał do mojej cholерnej mamusi. Musi być w tej parszywej dziurze jakiś zakamarek, gdzie człowiek mógłby się ukryć, zrobić coś i zachować to tylko dla siebie. Tylko sobie wyobraź nas dwóch spędzających całe pieprzone życie w tym syfie.

– Chodź, zjemy lunch – odparł Norman. Współczuł Ministrowi, nie był jednak zbyt zachwycony tym, że tamten stawia znak równości między ich problemami. Norman nigdy nie wątpił, że Minister ma nierówno pod sufitem, natomiast co do własnego zdrowia psychicznego miewał czasami jedynie mgliste wątpliwości. A dzisiaj, stojąc na progu kolejnego ataku, był święcie przekonany, że sam jest zdrowy. Czuł litość wobec wszystkich czubków, którzy go otaczali, nie wyłączając pielęgniarzy i lekarzy. Złapał Ministra za ramię i poprowadził go do stołu. Zawsze udawało im się rezerwować stolik tylko dla siebie. Każdy z nich wiódł tak samotnicze życie, że zawsze lądowali razem, a pozostali pacjenci starali się zapewnić im możliwie największą prywatność. Dzisiaj natomiast ich stolik był zajęty przez nowego pacjenta, który najwyraźniej nie znał się na tutejszej etykietce. Siedział potulnie, wpatrując się ze zgрозą i niedowierzaniem w potworną mieszaninę leżącą przed nim na talerzu. Podniósł wzrok i ujrzał Normana oraz Ministra stojących po obu stronach. To wyglądało na aresztowanie; mężczyzna mimowolnie wstał, a Norman wyczytał z tego odruchu co najmniej część jego historii. Wiedział już, jak go tutaj przywieziono, i to zapewne nie po raz pierwszy, biorąc pod uwagę, że jego reakcja miała w sobie automatyzm dawno wyrobionego nawyku.

– Nie szkodzi – powiedział. – Siadaj. Starczy miejsca dla wszystkich.

Minister nie chciał jednak z nimi usiąść.

– To nowy – powiedział podejrzliwie – skąd wiesz, gdzie był i co tu przywłókł, znaczy, co ma na sobie? W takim miejscu jak to ostrożności nigdy za wiele. Powinno się go zaszczepić! – krzyknął. – Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie ten gość się płątał. Możemy coś od niego złapać. Stary, trzymaj się od niego z dala – powiedział do Normana. – Tutaj każdy musi pilnować przede wszystkim własnego tyłka.

Poszedł do innego stolika i usiadł tam, gdzie syf był znajomy i mniej przerażający. Trzej mężczyźni siedzący przy stoliku zignorowali jego nadejście, a Minister zasiadł obleczony w splendor odosobnienia.

– Kto chce to paskudztwo? – krzyknął. Trzej mężczyźni przysunęli swoje talerze, nie podnosząc wzroku. Drobiazgowo rozdzielił jedzenie na trzy części, najpierw mięso, potem ziemniaki i warzywa, a na koniec, z nieco mniejszym powodzeniem, sos. – Kto wie, gdzie to się walało? – mruknął. – A ten typak, co tam siedzi. Dlaczego nikt mnie nie obudził, kiedy go przywieźli? Nikt nic do mnie nie zgłasza, a przecież dobrze wiecie, na czym polega moja praca! – krzyknął na nich.

– Przychodzą dziś do ciebie jacyś goście? – spytał jeden z mężczyzn. Chciał wrócić do normalnej konwersacji, nie mógł jednak wybrać gorszego tematu. Minister w milczeniu wstał od stołu. Poszedł na koniec oddziału, do schowka ze środkami czystości, wyjął środek odkażający w aerozolu, po czym wrócił do stolika Normana i – zgodnie z zaleceniami na etykiecie, ustawivszy się na parę kroków od oczyszczanej powierzchni – spryskał nowego pacjenta. Psikał tak długo, aż opróżnił cały pojemnik, podczas gdy jego cel, zapewne od urodzenia żyjący w uległości, siedział bez ruchu. Minister odstawił pusty pojemnik na stół i poszedł do łóżka. Nowy popatrzył na swój zdezynfekowany obiad i odsunął talerz.

– Jeśli chcesz, zjedz mój – zaproponował Norman. – Nie jestem głodny.

Mężczyzna pokręcił głową. Norman zostawił go w spokoju. Nie interesował go nowy pacjent; był absolutnie obojętny wobec jego cichej rozpacz. Postanowił znowu wyjść na trawnik. Przynajmniej tam będzie czysto. Tam ich nie będzie, nie będą wszędzie laziły. A jeśli już miałyby tam być, to i tak lepiej na zewnątrz – tam, gdzie ich miejsce – niż na oddziale, gdzie robiły z niego wariata takiego samego jak wszyscy inni.

Słońce usadowiło się dokładnie ponad trawnikiem. Norman skulił się na ciepłym płótnie leżaka. Postanowił, że przesiedzi tu całą porę odwiedzin – nie chciał być świadkiem popołudniowych przeżyć Ministra. Niebawem słońce zaczęło go drażnić; przeciągnął leżak pod drzewo. Cieszył się, że większość pacjentów była jeszcze na oddziale. Kiedy siedzieli na zewnątrz, ich śmiechy były nie do zniesienia, chociaż, z drugiej strony, ogólna cisza panująca teraz w ośrodku była przerażająca. Był dokładnie taki sam dzień – wypełniony identycznym groźnym, ciepłym spokojem – jak ten, w którym Billy się załamał. To nużąca monotonia nieubłaganego światła i ciepła nakręciła mu mózg tak, że w końcu odjechał. Norman czuł, że sam również się załame, jeśli posiedzi dłużej na tym świetle. Alternatywę stanowił jednak oddział, siedzenie w łóżku, kulenie się w ciemnościach panujących pod kocami – tam czekały go jeszcze większe zagrożenia. Znajdował się w położeniu, w którym nie wiedział, co zrobić z ciałem; nie miał również pojęcia, która konkretnie jego część domaga się kryjówki. Musiał zakryć oczy, bo to właśnie nimi widział rybiki, z kolei nos czuł ich zapach, a całe ciało swędziało od ich nówek – wszystko to trzeba było zakryć. Myśl miał tymczasem jasną i wolną od strachu. Ciało i umysłu nie dało się rozdzielić, musiał więc zanieść wszystko to razem pod koce, zapewniając umysł, że zdaje sobie sprawę z jego niepodatności na zagrożenie. Promienie słońca sączyły się nawet przez gęste gałęzie drzewa. Przerażały go, wiedział bowiem, że niosą kłopoty. Jedynym naprawdę ciemnym pomieszczeniem w szpitalu była toaleta, ale tam nie można było się zamknąć. Trzeba było obwieścić zamiar odwiedzenia ubikacji, a czas pobytu był odmierzany. Wiedział, że właśnie ten potworny brak prywatności w końcu go unicestwi.

Zerwał się na nogi, kopnął leżak, po czym wrócił do budynku i leniwie podreptał korytarzem. Po drodze liczył stoły. Było ich pięć. Na czwartym zobaczył poplamiony herbatą obrus, którego nikt nie zmienił od czasu jego przybycia. Norman wyrobił już w sobie przerażającą znajomość tego miejsca; ten rodzaj zażyłości, który zwykle łączy człowieka z jego domem – do tego stopnia, że człowiek jest w stanie przymknąć oko na niektóre niedoskonałości, ponieważ już wie, iż da się z nimi żyć. Rzadko wracał myślami do domu rodzinnego. Jego topografia zaczęła się zacierać. Kiedy już o nim myślał, nie widział układu pokojów. Wracały do niego odosobnione obrazy: Bella w białych skarpetkach, ulubiony fotel Davida, matka zaplatająca chałki na szabat, Esther ślęcząca nad książkami. Wszyscy razem wzięci jawili mu się jako siła napędowa, która wpełchnęła go w obecny stan izolacji.

Odwinął z łóżka kołdrę i starannie oczyścił prześcieradło długimi pociągnięciami ręki. Kładąc się w łóżku, zauważył, że Minister wpatruje się w niego ze swojej strony sali. To przypomniało mu dzień, w którym go tutaj zamknęli, kiedy to samo spojrzenie wyprowadziło ojca z równowagi. Pogrążył się w pościeli i naciągnął kołdrę na głowę. Było tu ciemno i ciepło, próbował skoncentrować się wyłącznie na tych dwóch przyjemnych aspektach. W miarę, jak się do nich przyzwyczajał, ciemności przestały być pełne, a ciepło stało się duszące. Pomyślał, że w zasadzie mógłby się tu udusić. Nie chciał jednak umierać. Chciał to wszystko przespać i obudzić się, gdy rzeczy będą czyste, gdy będzie można ich dotknąć. Czuł, że się poci; przypisał to gorącu. Potem ciało zaczęło go swędzieć – to również zrzucił na karb ciepła panującego pod kocem. Musiał to zrobić. Musiał czasem się okłamywać, bo inaczej byłby zmuszony do absolutnej kapitulacji. Zaczął drapać się po całym ciele, próbując jednocześnie myśleć o czym innym, odwrócić uwagę od bólu. Zastanawiał się, czy Minister nadal mu się przygląda. Wychylił się spod koca i zerknął na przeciwległe łóżko. Ministra już tam nie było. Zapewne siedział w sanitariacie, przygotowując się na swoją popołudniową gehennę.

Personel zbierał talerze po lunchu, a nowy pacjent wciąż siedział przy stole. Do przybycia pierwszych gości została jeszcze jakaś godzina. To był najgorszy czas; to oczekiwanie, ten potworny lęk, że nie będzie się w stanie zapewnić gościom dość rozrywki podczas wizyty. Te monologi ćwiczone szeptem w ogrodzie. „Co tam w domu?”, „Jak samochód?”, „Dziękuję, czuję się dużo lepiej”, plus te długie, bolesne chwile milczenia, których żadna ilość ćwiczeń nie mogłaby przewyciężyć. „Tak, lećcie już, bo spóźnicie się na autobus; do zobaczenia za tydzień”. Monologi kończyły się i zaczynały od nowa, tydzień w tydzień, bez żadnego urozmaicenia, pstrząc gładkie trawniki osadem słów, dopóki pacjentów nie wyzwalało wezwanie, że oto nadeszła prawdziwa chwila próby.

Norman widział, że nowy zaczął wstawać od stołu, ale rozmyślił się w trakcie i znowu usiadł. Nagle snop światła słonecznego przeciął oddział. Norman zaklął i ukrył się pod kocami. Leżał tak, znowu ciesząc się ciemnością, jednak ciepło wezbrało wokół niego. Usłyszał dzwonek obwieszczający, że podano herbatę. To oznaczało, że do pory odwiedzin pozostał już tylko kwadrans. Norman był zdumiony, że zdołał przeleżeć tyle czasu skąpany we własnym pocie. Postanowił, że uzyska zgodę na kąpiel, a następnie ochłodzi się i obmyje gąbką nasączoną zimną wodą. Już na samą myśl poczuł się dużo lepiej.

Wstał z łóżka i poszedł do dyżurki pielęgniarki. Jeden z mężczyzn powiedział mu, że Minister właśnie się kąpie, ale powinien zaraz wyjść, bo spodziewa się gości.

– Stroi się dla mamy – powiedział z uśmiechem pielęgniarz. – Do ciebie ktoś dzisiaj przychodzi?

– Nie – odparł z ulgą Norman. – Ale wolałbym być poza oddziałem, kiedy pojawią się goście. To mnie przygnębia. Kąpiel to całkiem dobry sposób na zabicie czasu.

– Łazienka jest otwarta. Powiedz Ministrowi, żeby się pośpieszył. Ty masz piętnaście minut, potem po ciebie przyjdę. – Wyjął czysty ręcznik z szafki i podał go Normanowi. Zmrużył oczy, wciąż się uśmiechając, i spytał: – W kółko się kąpiesz, co?

Norman się roześmiał.

– To przez to miejsce. Czyściej by było w jakiejś cholernej kopalni.

– No cóż, masz prawo do własnej opinii na ten temat – stwierdził wspaniałomyślnie pielęgniarz.

Norman ruszył korytarzem. Słońce przesywało wściekle rząd okien po jednej stronie korytarza. Normana znowu ogarnęło to samo złe przecucie, które dręczyło go rano. W łazience na górze będzie miał przynajmniej ciemną, gumową zasłonę, którą będzie mógł zaciągnąć, by słońce choć na chwilę zeszło mu z oczu. Gdy wszedł po schodach, zobaczył je znowu – sączyło się strużkami spod drzwi łazienki. Był zaskoczony, że Minister, który nienawidził światła w tym samym stopniu, co on, nie pofatygował się, żeby zaciągnąć zasłonę. Stwierdził, że zawoła przez drzwi i poczeka pod łazienką. Cenił własną prywatność dość wysoko, by umieć uszanować cudzą.

– Ministrze! – zawołał łagodnie. Nie doczekał się odpowiedzi. Norman pomyślał, że Minister nie ma prawa go usłyszeć. Ludzie często głucho pod prysznicem. Zawołał jeszcze raz, tym razem głośniej. Znowu nic. Milczenie Ministra nie zaniepokoiło jednak Normana w tym stopniu, co absolutna, wszechwładna cisza, praktycznie wrzeszcząca na niego zza drzwi. Chciał je otworzyć, ale był zbyt przerażony. Nie miał odwagi analizować źródeł swojego strachu, wiedział jednak, że ma to coś wspólnego ze strugą światła wypływającą spod drzwi oraz potworną ciszą panującą wewnątrz.

Delikatnie pchnął drzwi nogą i zajrzał przez wąską szparę. Dostrzegł jeden z końców wanny. Zwrócił uwagę na to, jak brudne były krany, przed przystąpieniem do dalszych oględzin poświęcił więc krótką chwilę na przeklinanie ich oraz całego zakładu. Jedna z nóg Ministra opierała się między kranami z ciepłą i zimną wodą. Druga była zanurzona w wodzie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że na obu stopach Minister miał swoje ciężkie buty, a wokół jego kostki pływały nieduże, celofanowe paczuski niczym zbierająca się szumowina. Nawet ten przedziwny widok nie zmartwił zbytnio Normana zagląającego przez szparę w drzwiach. Wszystko dało się wytłumaczyć. Minister nigdy nie zdejmował butów. Zapewne zasnął w kąpeli. Mimo to Normana załała nagle fala zimna. W całym tym obrazku było jeszcze coś, czego Norman nie chciał przyjąć do wiadomości; coś, przez co za żadne skarby świata nie chciałby otworzyć drzwi szerzej, by lepiej się przyjrzeć. Wydawało mu się, że woda w wannie jest czerwona – miejscami mocno zabarwiona, a gdzieś tam poprzecinana smugami bladego koloru. Przypomniało mu się ulubione słowo rodziny. W tych okolicznościach był w pełni gotów je zaakceptować. Miał halucynacje. „Widział” rzeczy. Ma się rozumieć, że co do rybników cukrowych nie mieli racji, ale przecież od czasu do czasu wszystkim zdarza się widzieć dziwne rzeczy pod wpływem stresu. Dzisiaj miał właśnie taki dzień – przez to straszne słońce i milczenie innych pacjentów. Wpatrywał się w wodę bardzo długo, życząc sobie, by okazała się tylko złudzeniem. Jednak w miarę, jak przenikał go coraz większy chłód, woda zdawała się nabierać coraz głębszej barwy. Przeszedł go dreszcz. Musiał przyjąć to do wiadomości. Czerwona woda była halucynacją w nie większym stopniu niż rybiki cukrowe. Wątpiąc w jej prawdziwość, zdradzał siebie. Jeżeli on, Norman Zweck, coś widział, to było to prawdziwe. Ta woda zmieszana z krwią nie stanowiła wyjątku. Zagląając tak przez szparę w drzwiach i czując pełną po ciele chłód, pomyślał o Davidzie. Na to wspomnienie zrobiło mu się słabo. Większość ludzi spędza całe życie, nie musząc ani razu patrzeć, jak ktoś inny kończy swoje – celowo lub w inny sposób. „Dlaczego, na Boga – załkał w myślach – zostałem do tego wybrany, wtłoczony w rolę jakiegoś obmierzłego, wszędobylskiego koronera?!” Otworzył drzwi na oścież.

Minister leżał z zanurzoną głową. Jego ramiona, zsiniałe po łokcie, unosiły się bez życia w wodzie. But na nodze, która opadła do wody, rozkleił się od ciepła. Podeszwa odlazła od wierzchu buta, odsłaniając skrytkę Ministra. Normana kusiło, żeby pozbierać paczuszki z białymi, przypomniał sobie jednak swoją ostatnią sprawę, Bertiego Cassa, który ściągnął pierścionek z palca zmarłej matki. Patrzył na woreczki unoszące się na wodzie. Oparł się pokusie, chociaż był zniesmaczony tym marnotrawstwem.

Wybiegł z łazienki. Czuł, że łzy zalewają mu policzki. Czasami żał mu było Ministra, nierzadko mu współczuł, ale nigdy dotąd nie darzył go jeszcze prawdziwą miłością. Drżał z zimna, zanosił się niepohamowanym szlochem. Czuł się upośledzony przez przerażenie, a z drugiej strony, po raz pierwszy od wielu tygodni, naprawdę chciał żyć. Pobiegł korytarzem, krzycząc:

– Nie żyje! On nie żyje!

Przy jednym ze stolików siedziało dwoje ludzi. Norman mógł tylko podejrzewać, że kobieta jest matką Ministra. Złapał ją za ramiona i zaczął nią potrząsać jak pojemnikiem na tabletki.

– Zabiłaś go! – wrzasnął. – Ty pierdolona kurwo! Zabiłaś go!

Pielęgniarz odprowadził go do swojego pokoiku, gdzie Norman, odzyskawszy wreszcie zdolność mówienia, opowiedział całą historię. Sanitariusz gdzieś zadzwonił i w ciągu kilku minut sytuacja znalazła się pod chłodną, kliniczną kontrolą. Wszyscy goście oraz oczekujący na odwiedziny pacjenci zostali wysłani do ogrodu. Gośćmi Ministra zajęł się lekarz, a oddział zamknięto. Na sali zostało tylko kilku pogrążonych we śnie mężczyzn, w tym nowy pacjent.

Norman usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Słońce znowu zaczynało mu dokuczać, a jego rozpacz ustępowała narastającej panice. Zdał sobie teraz sprawę, że jego źródło zostało odcięte na wieki. Miał jeszcze zapasy na jakiś tydzień, lecz potem czekał go powrót do targanych bólem dni bez białych. Zaczął przesuwac palcami po rąbku szlafroka, przepychając paczuszki w stronę dziury na końcu. Po kilku minutach takich manewrów trzymał w dłoni cały swój dobytek. Jeden z woreczków wcisnął z powrotem do schowka, przez ułamek sekundy ogarnięty mniej obłąkańczą myślą, iż warto zostawić coś na czarną godzinę.

– Co za różnica – mruknął, po czym wysypał pozostałe pigułki na rękę i połknął wszystkie na raz.

Siedział na skraju łóżka jakąś godzinę, osłaniając oczy przed słońcem i zerkając na sylwetki mężczyzn śpiących wokół. Nie był w stanie myśleć o Ministrze. Kiedy próbował, odnosił wrażenie, że wszystko to wydarzyło się wiele lat temu, a jemu pozostało jedynie mgliste wspomnienie tej historii, jakby właśnie wybudzał się z koszmaru. Bardziej zajmowała go krocząca po podłodze armia rybików cukrowych. Nadciągały ku niemu wprost z oślepiających promieni słońca, maszerowały plutonami, zuchwałe i pewne siebie. Patrzył, jak na niego idą. Gdy znalazły się u jego stóp, zaczęły się przegrupowywać, przygotowując się do nadludzkiego wysiłku, z jakim miała wiązać się wspinaczka na jego ciało. Przyglądał się im zdjęty przerażeniem; słyszał ich powolny, regularny oddech. Idąc, zostawiały za sobą odchody, a cała podłoga oddziału była już upstrzona ich śladami. Ogarnięty potworną fascynacją obserwował, jak prowadzą manewry u jego stóp, formując nieduże oddziały. Rozważał podniesienie nogi, wiedział jednak, że jeśli zacznie je rozgniatać stopą, szybko obleżą go całego. Z pewnością nie mogła istnieć w życiu większa zgroza, a jednak, chociaż ich nienawidził, musiał przyjąć do wiadomości, że są uświęcone, że stanowią jedyny dowód jego zdrowia psychicznego. Patrzył więc, jak gromadzą się u jego stóp niczym pielgrzymi. One również wybrały sobie właśnie jego, podobnie jak wybrali go rodzice i siostry; stał więc przed nimi, sparaliżowany strachem, niczym ich oporny wyznawca. Nagle rozpozwały inwazję, a on był już zgubiony.

Otworzył usta, by krzyknąć, jednak nie usłyszał żadnego dźwięku. Na końcu oddziału dostrzegł odkurzacza z podłączonym kablem, porzucony w pośpiechu, gdy rozeszła się wiadomość o śmierci Ministra. Norman przebiegł przez salę, wyjął wtyczkę z kontaktu i złapał kabel. Wykazując się siłą, która nawet jego samego wprowadziła w zadziwienie, rozerwał przewód. Rozdzielił dwa kolorowe kabelki, po czym znowu podłączył wtyczkę. Poczołgał się w stronę łóżka, po drodze rażąc prądem rybiki. Nowy pacjent, który przyglądał mu się przez cały czas, wydał z siebie okrzyk, budząc pozostałych mężczyzn. Norman zaraził wszystkich swoją paniką. Kiedy dotarł do łóżka, wstał i spróbował przytknąć odsłonięte przewody do swojego ciała. Dwaj pielęgniarze wpadli na oddział i złapali Normana, który upuścił kabel i popatrzył na nich błagalnym wzrokiem.

– Uśpijcie mnie – wyskomlał.

Pielęgniarze przychyliłi się do jego prośby. Sam nie wiedział, czy sparaliżowało go oślepiające słońce, czy igła. Jego mięśnie się upłynęły, czuł, że odrywa się od rzeczywistości; gdzieś w swoich rozszalałych myślach podziękował za to sanitariuszom.

W ciągu następnego tygodnia po szpitalu przetoczyła się epidemia załamań oraz wywołana nią fala głębokiego snu. Śmierć Ministra oznaczała bowiem upadek biznesowego imperium oraz pogrążenie się jego niezliczonych klientów w kryzysie.

Esther przyjechała nazajutrz. Rabin Zweek siedział na balkonie, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Wyczekiwał niespokojnie, podniósł się więc z fotela, by zająć czymś ciało. Kiedy wstał, poczuł się nagle kruchy; wiedział, że zasłabnie, jeśli będzie musiał wyjść do Esther na korytarz. Nie chodziło o fizyczny wysiłek związany z utrzymywaniem się na nogach, a raczej o to, że czuł się kompletnie niezabezpieczony, a przy tym spotkaniu – którego bał się równie mocno, co go pragnął – potrzebował oparcia. Usiadł więc z powrotem na fotelu. Podpórki pod ręce objęły go, czuł się już mniej odsłonięty. Pozycja, którą teraz przyjął, kojarzyła się bardziej z podejmowaniem kogoś, a to przecież właśnie zamierzał zrobić z córką, którą odtrącił niemal dwadzieścia lat temu.

Wiedział, że postąpił źle, a zasłanianie się lojalnością wobec Sarah było niewystarczającym wytłumaczeniem. Nie czuł już, że Esther zgrzeszyła przeciwko niemu; miał nadzieję, że córka będzie w stanie mu wybaczyć. Będzie musiał spytać ją o męża, chociaż wiedział, że będzie to bolesne. To również stanowiło element jej powrotu do domu.

Wy tężył słuch, próbując wychwycić jej głos, ale ciotunia Sadie i Bella zagłuszały go swoimi powitaniem. Miał nadzieję, że zostawią go samego z Esther, zwłaszcza na początku, kiedy ujrzy ją po raz pierwszy. Wiedział, że będzie się czuł na przemian winny, zażenowany i podekscytowany, nie chciał więc świadków. Obrócił fotel tak, by siedzieć przodem do drzwi.

Gdy patrzył, jak się otwierają, z trudem ukrywał podniecenie. Framuga przez chwile świeciła pustką; rabin wiedział, że córka się waha.

– Esther – zawołał. Na dźwięk tego imienia przeszedł go dreszcz, spłynęło na niego całe jej dzieciństwo. Jej delikatne, jasne loki, które mierzwił dłonią; jej niemal chłopięca sylwetka, którą widział co rano w biegu, gdy śpieszyła ulicą do szkoły. To właśnie ten pełen ruchu i życia obraz nosił w pamięci przez wszystkie dni jej długiej nieobecności. Kiedy stanęła w drzwiach, rabin lekko podskoczył, próbując ukryć zdziwienie. Uśmiechnął się do niej, jednocześnie walcząc z potworną wściekłością, że w swoim uporze przegapił całe jej dorosłe życie. Teraz już dorastanie miała dawno za sobą, a jej twarz i sylwetka były ustalone. Zrobiła się gruba, twarz miała porytą zmarszczkami. Jedyne, co ją teraz czekało, to intensywniejsze starzenie, ale o jakichś bardziej radykalnych zmianach nie mogło być mowy. Rabin Zweek czuł się tak, jakby wszedł do teatru w połowie sztuki i próbował połapać się w wątkach fabuły.

Zaniepokoiło go jednak coś więcej niż sam widoczny postęp lat. Z jej włosami zdecydowanie coś było nie tak. Teraz, gdy pogodził się z tym, że córka musiała się starzeć – chociaż nie było go w pobliżu, by obserwować i sankcjonować te zmiany – stwierdził, że spodziewałby się, iż jej włosy staną się tylko odrobinę mniej jasne i może nieco rzadsze. Jednak jej włosy były gęste, bardzo gęste, a do tego ciemnobrązowe. Po jej dawnych loczkach nie było śladu. W zasadzie to, co miała na głowie, w ogóle nie przypominało włosów. To było coś grubego i twardego, jakby ktoś wyciął to z wycieraczki. Nagle pełne znaczenie tego, co zrobiła córka, spłynęło na rabina i ścisnęło mu gardło, dodając gorzką adnotację do dwudziestu lat, na które utracił córkę. Po ślubie Esther ogoliła głowę i już zawsze nosiła perukę. Rabin Zweek zdał sobie sprawę, że małżeństwo, którego on sam nigdy nie pozwolił sobie zaakceptować, dla córki było równie wiążące, co gdyby wyszła za jednego ze swoich.

Esther dostrzegła jego zaskoczenie, ale spodziewała się tego i była na to przygotowana. Była gotowa również na zmiany, które zaszły w ojcu. Wyglądał dużo starszej, lecz własna próżność nie pozwoliła jej poczuć zaskoczenia. W jej mniemaniu rodzice zawsze byli starzy. Rozgniewał ją jednak fakt, że ojciec tak wyraźnie zdziwił się jej wyglądem. Czego on się spodziewał? Zakładał, że córka przestanie rosnąć, że zatrzyma się jak w stop-klatce do czasu, aż on będzie znowu gotowy ją zaakceptować?

– Jestem starsza – powiedziała w drzwiach – i szczęśliwa.

Było za wcześnie na ten protest, a do tego w jej głosie krył się cień złośliwości. Rabin Zweek potraktował to jednak jako część swojej kary.

– Tak cieszę, co cię widzę – powiedział prostodusznie. – Chodź, daj na siebie spojrzeć.

Gdy do niego podeszła, przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę. Rabin nie mógł przyzwyczać się do wycieraczki leżącej na jej głowie, próbował więc na nią nie patrzeć. Rety, nawet Sarah – Panie, obdarz ją pokojem – która była przecież bardzo religijna, rety, nawet ona po ślubie nie posunęła się tak daleko. Pomyślał, że może powinien o tym wspomnieć, żeby sprawa była otwarta i mniej kłopotliwa.

– *Szeit!* Nosisz, widzę – odważył się.

– Tato, przecież jestem zamężna.

– Tak, tak. Jak tam miewa... no... John? – To było takie nieżydowskie imię, jakoś jednak przeszło mu przez gardło.

– Dobrze – odrzekła. – John ma nadzieję, że niedługo ci się poprawi.

Dotknęła jego rękawa, a on zdał sobie sprawę, że jeszcze się nie uściskali. Jednak ten jej dotyk miał w sobie coś ostatecznego. Nie stanowił preludium do pocałunku; był odrębnym gestem, na własnych warunkach. Rabin zastanawiał się, czy córka da mu cokolwiek więcej. A może to on powinien wykonać pierwszy ruch. Żałował, że był z nią tak daleko. W jego sercu wzbierała miłość gromadzona od dawna, patrzył jednak na zupełnie obcą osobę. Musiało istnieć jakieś magiczne słowo, jakiś gest, który przywróciłby mu córkę.

– Z Normanem nie najlepiej – powiedział, samemu nie zdając sobie sprawy po co. Może po to, żeby włączyć ją znowu w rodzinę. – Co za szkoda, co ty już mamusi nie zobaczyłaś – szepnął. Delikatnie wplatał ją w dawne i obecne żale, wtapiał ją we własne łzy, sprowadzał ją w pełni do domu. Usłyszał, że córka płacze. Uklękła u jego boku, a on wziął ją w swoje wątłe ramiona i zmusił się do pogłaskania jej po sztucznych, szorstkich włosach. – Mnie nadal masz – powiedział – swojego starego tatusia. Razem jesteśmy, więc razem pozostaniemy. – Zaczął łkać razem z nią. Trwali tak, dopóki Esther nie przestała być obcą osobą.

Teraz czuli się już swobodniej. Dołączyły do nich Bella i ciotunia Sadie. Esther nie wspominała o życiu z Johnem i nie miała im za złe, że nie potrafili się do niego odnieść w rozmowie. To rabin Zweek wyszukiwał kolejne tematy. Nie rozmawiali o wydarzeniach, które miały miejsce po odejściu Esther – czy to w ich życiu, czy to w jej. Rozmowa skupiała się na wspólnych wspomnieniach. Kiedy rozpamiętywali jej czasy szkolne, *cheder*, lata pracy rabina Zweeka w synagodze, gdy przywoływali do życia przypadkowe wspominki z tamtych lat, wydawało się, że nie potrzeba nic więcej, by przywrócić Esther na łono rodziny. Później natomiast ich rozmowa straciła impet, zahamowana ciągłym unikaniem wzmianek o Normanie. Żadne z nich nie czuło się zażenowane milczeniem. Rodziny nie siadają ze sobą po to, by konwersować. Zbierają się raczej na narady, na dyskusje dotyczące bardzo konkretnych tematów. Gdy milczenie zaczęło dawać się we znaki, Esther poprosiła:

– Opowiedzcie mi o Normanie.

Rabin Zweek i Bella popatrzyli na siebie. Oboje czuli potrzebę opowiedzenia tej historii, a jednocześnie oboje wiedzieli, że snucie jej będzie bolesniejsze niż zachowanie jej dla siebie. Każde chciało zaoszczędzić tego bólu drugiemu. Zaczęli więc opowiadać razem, a w miarę, jak historia się rozwijała, dzielili ją między sobą. Wyszła z tego nie tyle opowieść o chorobie Normana, co raczej o ich własnym cierpieniu. To również na dobre przypieczetowało powrót Esther. Czuła się winna, że nie miała udziału w ich bólu. Żałowała Normana, ale to cierpienie ojca i siostry ją poruszało; wyobrażała ich sobie siedzących przy tym samym stole razem z matką i Normanem, po tym, jak opuściła dom. Często stawali jej przed oczami, dobrze rozumiała ich męki, lecz dopiero teraz poczuła w głębi serca autentyczny ból po tym, co zrobiła.

Przeklinała Normana za to, że zachęcał ją do odejścia. Cała rodzina sądziła zaś, że on jest niewinny. Często sobie wyobrażała, jak odczytuje im tamten list, który wcześniej sam jej podyktował. Wyobrażała sobie jego udawane zdziwienie, wydumane oskarżenia, nieszczerzy smutek. Zastanawiała się, czy pogodził się ze śmiercią Davida; czy już przyznał przed sobą, że był za nią częściowo odpowiedzialny. Pomyślała o Johnie i od razu za nim zatęskniła. Już go nie kochała. Tak po prawdzie, miłość zwiędła wiele lat temu. Małżeństwo natomiast przetrwało z tego prostego powodu, że nie mogło być inaczej. Gdyby się rozpadło, śmierć Davida stałaby się jeszcze bardziej bezsensowna. Eshter była całkiem zależna od męża, jakby jej poczucie winy było zbyt potężne, by mogła je nieść sama. Całymi latami dzielili smutne konsekwencje tego, co zrobili. Gdy była sama, czuła się przytłoczona i niepewna. Gdyby jednak ojciec jej przebaczył, byłaby gotowa odejść od Johna – już od wielu lat była przygotowana, by to uczynić, czekała na choćby najdrobniejszy gest pojednania ze strony rodziców. A John, chociaż wciąż mocno ją kochał, pozwoliliby jej odejść, żeby wreszcie zaznała ukojenia. Matka jednakże umarła, ani razu nie wypowiedziawszy jej imienia. Esther musiała więc zadowolić się połowicznym przebaczeniem. Matka nigdy nie poznała prawdy. Ojciec zresztą również się nie dowiedział. To nie była pierwsza lepsza ucieczka, to nie było małżeństwo zawarte, byle tylko odciąć się od rodziny. Tak po prawdzie to gdy Esther opuszczała dom, nie była jeszcze zamężna. Nie, to nie było takie proste, nie wydarzyło się również tak szybko. Wszystko zaczęło się wiele lat wcześniej – dużo wcześniej, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać.

To był ostatni rok jej nauki w szkole. Często chodziła do biblioteki, by przeglądać książki i czasami się pouczyć. Johna znała jako przyjaciela rodziny. Załatwił jej ojcu specjalną zgodę na wypożyczenie pozycji z księgozbioru podręcznego, często więc do nich przychodził, uzbrojony w kolejne zamówienia rabina. Był tylko odrobinę starszy od Normana, jednak nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. John przychodził, żeby zobaczyć się z jej ojcem – uwielbiał go słuchać, a przez lata posiadał dzięki niemu więcej niż powierzchowną wiedzę o żydowskiej tradycji.

Pewnego dnia Esther poszła po szkole do biblioteki, a ponieważ padało, została dłużej, żeby poczytać. Biurko Johna stało pośrodku sali; to tam urzędował, obstawiony katalogami i telefonami. Usiadła przy stoliku dokładnie naprzeciw jego biurka – nie dlatego, żeby miała jakiś konkretny zamysł, ale po prostu to miejsce było wolne, w przeciwieństwie do pozostałych. Czytała bez większego zainteresowania, czekając, aż deszcz ustanie. Od czasu do czasu podnosiła wzrok znad książki i zerknęła za okno. Za którymś razem spojrzała na Johna siedzącego za biurkiem i odniosła wrażenie, że musiał się jej od jakiegoś czasu przyglądać. Wróciła do książki. Udawała, że czyta, a po chwili znowu podniosła wzrok. On wciąż się jej przyglądał. Odprowadziła jego spojrzenie na kartki książki. Poczula, że zaczyna drżeć. Jego twarz odbijała się na zadrukowanej kartce niczym światło lampy, które – raz ujrane – przenosi się na oku na inne obiekty. Po raz pierwszy Esther zwróciła uwagę na jego gęste, ciemne włosy, na wysokie czoło, na oczy łagodne jak u kobiety. Bała się znowu na niego spojrzeć. Wyprostowała nogi, by unieruchomić ciało. Instynkt ostrzegł ją, by więcej na niego nie patrzyła, by wstała i wyszła z biblioteki. Podniosła się, przepełniona obawą, że jej drżenie jest widoczne. Gdy ruszyła w stronę drzwi, on ją zawołał. Zawahała się; wiedziała, że jeśli wróci, będzie igrzać z ogniem, usprawiedliwiła się jednak przed sobą tym, że niegrzecznie byłoby zignorować Johna. Gdy wracała do biurka, jej nogi zdawały się sztywnieć od intensywnego, oszałamiającego bólu, jakby rosły. Nie postrzegала już Johna w kontekście rodziny. W tej chwili takie skojarzenie stało się nie do pomyślenia. Podczas gdy zbliżała się do jego biurka, on zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł jeszcze odwiedzić jej ojca.

– Mieszkam po drugiej stronie ulicy – powiedział. – Możesz schować się przed deszczem w moim mieszkaniu. Jeśli pójdziesz prosto do domu, przemokniesz do suchej nitki. Ja wrócę za jakieś pół godziny. – Nie musiał się silić na żadne wymówki. Klucz i karteczkę, na której naskrobał adres, przyjęła od niego tak, jakby się tego spodziewała, jakby wszystko było od dawna ustalone. Poszła do jego mieszkania, by tam na niego czekać.

Tak to się zaczęło, czy raczej tak przyjęli do wiadomości fakt, że się zaczęło. Prawie codziennie spotykała się z nim po szkole. Od czasu do czasu ryzykowali wspólny spacer, zazwyczaj jednak zostawali w mieszkaniu; to lepiej wpisywało się w realia potajemnego romansu. Bardzo się kochali, ale żadne z nich nie odważyło się mówić o przyszłości. John wiedział równie dobrze co Esther, że małżeństwo nie wchodzi w grę. Zdarzało się, że Esther uparcie nie chciała przyjąć prawdy do wiadomości, a wtedy proponowała, by lepiej skończyli z tym związkiem. Unikali się później przez dwa czy trzy tygodnie, ale i tak w końcu zawsze wracali do siebie.

Tamtego dnia, gdy David spojrzął na nią w synagodze, Esther przyjaźniła się już z Johnem od niemal dwóch lat. Zareagowała czułością, a przede wszystkim wdzięcznością, dostrzegła bowiem w Davidzie sposób na wyplątanie się ze związku, który, jak dobrze wiedziała, musi ją ostatecznie unieszczęśliwić. Spotykała się więc z Johnem rzadziej i rozpaczliwie próbowała odwzajemnić miłość Davida. W końcu musiała jednak przyznać przed sobą, że to niemożliwe. Postanowiła poślubić go mimo wszystko; sądziła, że dopuszczalność ich związku z czasem ją wyzwoli. Dręczył ją jednak fakt, że okłamuje obu mężczyzn, w końcu więc, rozpaczliwie próbując zrzucić z siebie to brzemie, oznajmiła Normanowi, że chciałaby z nim porozmawiać. Rodzice nigdy by jej nie wysłuchali, a Bella by nie zrozumiała. Esther wybrała więc Normana, bo choć za nim nie przepadała, ceniła jego inteligencję i zdolność pojmwania problemów.

Byli w domu sami, a ona od razu przeszła do rzeczy:

– Nie kocham Davida – oznajmiła. Zdawało się jej, że brat się uśmiechnął. Przypisała to jego nerwowości oraz bliskości, do której nie byli przyzwyczajeni. – Nigdy go nie pokocham – dodała.

– To dlaczego chcesz za niego wyjść?

– Muszę – odparła. – Tylko w ten sposób skończę z tym drugim.

– Z Johnem?

– Skąd wiesz?

– Tak zgadłem. To już pewnie ze dwa lata? – Zauważyła, że zadał to pytanie nie bez satysfakcji. – Spokojnie – dodał. – Nikt nic nie podejrzewa.

– A jak ty się dowiedziałeś?

– No cóż, często się z nim widuję w bibliotece. Nigdy nic mi nie powiedział, ale sam się domyśliłem po sposobie, w jaki wypowiada się na twój temat. W każdym razie – zaśmiał się – jesteście dla siebie stworzeni. Dlaczego nie chcesz się z tym pogodzić?

Była mu niezmiernie wdzięczna za zrozumienie, które było na tyle głębokie, że zaaprobował ich romans.

– Nie mogę za niego wyjść – powiedziała.

– A to dlaczego?

Była przerażona jego bezdusnością.

– Nie mogę tego zrobić mamie i tacie. No, może mamie, ale na pewno nie tacie. Tata by się załamał.

– Rodzice nie załamują się tak łatwo – odrzekł. – Wpadną w histerię, ale potem im przejdzie. Jeśli kochacie się z Johnem, nie możesz postąpić inaczej.

– Nie potrafię. Rodzice nigdy mi nie wybaczą. A tak poza tym, co się stanie z Davidem? Jak poczuje się David?

Norman nachylił się do niej.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Naprawdę chciałabyś wiedzieć, co poczuje David, jeśli za niego nie wyjdiesz?

Esther była zaskoczona wagą, jaką brat nadał jej pytaniu.

– Tak – odparła niepewnie. – Chce wiedzieć, co poczuje David.

– Poczuje ulgę. Całkowitą, absolutną ulgę.

Przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

– Słuchaj – powiedział – nie mówiłbym ci o tym, gdyby to nie było konieczne, ale to oczywiste, że powinnaś się dowiedzieć, i to od razu. Myślałem, że może sama już się zorientowałaś. Bo widzisz, David... – mówił teraz powoli, by lepiej podkreślić każde słowo – David zamierza poślubić cię z tych samych powodów, dla których ty miałabyś wyjść za niego. On również chce skończyć z pewnym przyzwyczajeniem.

– Ma kogoś? – spytała. Poczwała lekkie ukłucie zazdrości. – Ale w takim razie... – dodała – w takim razie możemy się dogadać. Możemy być wobec siebie uczciwi od samego początku.

– Widzisz – odparł Norman – to nie takie proste. On chce skończyć z czymś nieco innym niż ty.

– To znaczy z czym? – była poirytowana własnym brakiem spostrzegawczości.

– Jeszcze się nie domyśliłaś? – spytał. – Znasz go już przecież dość długo.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, co było takiego niezwykłego i skomplikowanego w przyzwyczajeniu Davida.

– Nie, nie domyśliłam się. Lepiej po prostu mi powiedz.

– No cóż, to może być dla ciebie wstrząs. U Davida nie chodzi o inne kobiety. – Przyjrzał się jej, szukając oznak zrozumienia, ale ona po prostu nadal się w niego wpatrywała zdezorientowana. – Esther, on... woli mężczyzn. Mówiąc wprost, jest homoseksualistą.

Często widywała to słowo w książkach; znała jego znaczenie. Odnosiła je jednak zawsze do jakichś zamierzchłych czasów i nieznanymi krain, nie potrafiła bowiem wyobrazić sobie, że mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z nią czy jej otoczeniem. W pierwszym odruchu poczuła gorycz, niesmak i gniew, że została oszukana w taki sposób. Po chwili jednak poczuła litość do Davida oraz ogromną ulgę, że Norman powiedział jej o tym na czas.

– W takim razie to oczywiste, że nie mogę za niego wyjść – stwierdziła. – To zupełnie nie wchodzi w grę.

Norman znowu się uśmiechnął, lecz ona nie potrafiła zrozumieć, co w całej tej sytuacji było wesołego.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała.

– Nie uśmiecham się – odparł szybko. – Jestem podenerwowany. I chyba mi ulżyło, że wreszcie poznałaś prawdę. A ty masz rację – dodał. – Cieszę się, że to twoja własna decyzja. Nie możesz za niego wyjść. Musisz z nim zerwać.

Ona nie była jednak dostatecznie silna, by podjąć jakąkolwiek decyzję.

– Nie mogę – posmutniała – bo co ja mu powiem? On nie może się nigdy dowiedzieć, że o tym wiem. Mamie i tacie też nie mogę o tym powiedzieć. Nie zniosłabym ich rozczarowania. Już mnie uważają za męczatkę. Już rozmawiają o wnukach.

– Czy to nie pora, żebyśmy przestali robić wszystko ze względu na nich? Spójrz tylko na Bellę. Ona jest do nich przykuta na całe życie. Spójrz na mnie. Mam dwadzieścia sześć lat, a wciąż mieszkam z rodzicami. Ze względu na nich, bo pozbawili mnie odwagi do bycia sobą. Słuchaj, Esther, jeśli nie jesteś w stanie patrzeć na ich rozczarowanie, to po prostu zabieraj się stąd. Odejdź i nie mów im nic zawczasu. Ja powinienem był tak zrobić. Ale ja chciałem dyskusji, pragnąłem błogosławieństw – zaśmiał się. – Z nimi nie ma dyskusji. Uwiążą cię tutaj poczuciem winy i skończysz jak Bella. Uciekaj z Johnem. Wyjdź za niego i bądź szczęśliwa.

– Musisz to zrobić – odparł z jeszcze większą stanowczością. – Esther, to ty tutaj wychodzisz za mąż, a nie oni. Jeśli nie chcesz wyjść za niego od razu, to poczekaj. Ale rodzicom powiedz, że jest już po ślubie. Postaw ich przed faktem dokonanym. Powiadom ich o tym w liście. Pomogę ci go napisać.

Dziwiła ją jego gorliwość. Wyczuł to.

– Nie chcę, żebyś skończyła tak jak Bella – wyjaśnił. – Kiedyś mi za to podziękujesz.

Upierała się, że nie wyjdzie za Johna, jednak brat nalegał, by powiedziała rodzicom, że jest już po ślubie. A zresztą, z jakiego innego powodu miałyby wynieść się z domu?

– Chyba że chcesz powiedzieć im o Davidzie – dodał. – To jednak nie byłoby w porządku ani wobec Davida, ani wobec jego matki.

Teraz przyparł ją do muru. Pozostanie w domu rodzinnym nie wchodziło w grę. Norman napisał jej na brudno dwa listy: jeden do rodziców, a drugi do Davida, przepełniony bezgraniczną troską i miłością.

I tak wszystko zostało ustalone. Przygotowując się do odejścia, Esther podawała w wątpliwość motywów brata. Zastanawiała ją gorliwość, z jaką próbował doprowadzić do jej małżeństwa z Johnem. W żaden sposób nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Poruszył ją fakt, że brat sam przyznał się do swojej porażki i utraty wolności, co w zasadzie tłumaczyło jego zaangażowanie w jej sprawę. Esther nie miała jednak zamiaru poślubić Johna. Wynosiła się z domu, ponieważ tak było łatwiej, ponieważ nie zniosłaby poczucia winy wywołanego rozczarowaniem rodziców. Była wdzięczna Normanowi za to, że potrafił opisać jej słabość jako przejaw siły.

Sam Norman natomiast nie odczuwał większych skrupułów w związku z tym, co zrobił. Wmówił sobie, że David ma problem, a małżeństwo by go nie rozwiązało. Norman wyświadczał mu więc tylko przysługę. Chciał mieć Davida tylko dla siebie, a jego potrzeba usprawiedliwiała wszystko.

I tak najpierw znalaziono list Esther, później zwłoki Davida. Esther była w mieszkaniu Johna sama, kiedy Norman przyszedł jej o tym powiedzieć. Przekroczył próg chwiejnym krokiem, półprzytomny od płaczu. Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

– Coś nie tak z mamą? – szepnęła. Norman nie panował nad szlochem. – Coś nie tak z tatą? – Esther przerażała myśl o tym, jakie wiadomości mógł przynieść brat; instynktownie już winiła go za wszystko, co się wydarzyło. – Po coś tu przyszedł? – krzyknęła.

Podniósł wzrok, ale jej nie zobaczył.

– Chodzi o Davida – wyjąkał. – Zabiłaś go.

Tej drugiej informacji Esther nie przyjęła od razu do wiadomości. Usłyszała ją i odłożyła na później, by poradzić sobie z nią kiedy indziej.

– Miał jakiś wypadek? – spytała. Nie godziła się na postawienie znaku równości między swoim listem a śmiercią Davida.

– Zrobił to sam – odparł cicho Norman. – Teraz idź, powiedz o tym jego matce. Zrobił to po przeczytaniu twojego listu.

– Mojego listu? – szepnęła. – To był twój list – powiedziała błagalnym tonem. Musiała najpierw wyjaśnić tę sprawę. Rozpacz zostanie na później. Pomyślała z goryczą, że bez wątpienia zostanie na bardzo długo. – To był twój list – powtórzyła.

– On nie żyje – załkał Norman. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Podobno miał poczuć ulgę. Kiedy cię spytałam o Davida, powiedziałeś, że poczuje „całkowitą, absolutną ulgę”. – Złapała go za ramiona i zaczęła nim potrząsać, wkładając w to całą moc swej nienawiści. – Dobrze wiedziałeś, że David mnie kocha, co?

– Esther, wróć do domu – powiedział załamany brat. – Musisz wrócić do domu.

Zdjęła rękę z jego ramion, oszołomiona tym żądaniem.

– O nie – odparła. Normana zdumiała dojrzała gorycz pobrzmiewająca w jej głosie. – O nie. Ty do tego doprowadziłeś i ty za to zapłacisz. Ty stoisz za moją winą, możesz więc zabrać ją do domu i żyć z nią po kres swoich dni. Doskonale się uzupełni z twoim własnym drobnym wkładem w tę historię – dodała zjadliwie. – Zabierz to wszystko do domu: to, co moje i to, co twoje. Obyś się tym udławił.

Zapałała do siebie nienawiścią za to nieprzemyślane, łatwe okrucieństwo. Kiedy brat wyszedł, poddała się rozpacz i przyjęła do wiadomości własną odpowiedzialność. Wydawało jej się, że ma obowiązek wyjść za Johna, aby śmierć Davida nie okazała się zupełnie bezsensowna, jednak jej miłość do przyszłego męża powoli wyparowała pod wpływem zgryzoty. Wyszła za niego, żeby wymierzyć sobie karę. To również Norman miał nosić ze sobą po kres swoich dni. A gdy miesiąc później doszło do ceremonii zaślubin, Esther tak naprawdę wyszła za Davida, i właśnie dlatego ogoliła głowę.

—

Rabin Zweck ujął córkę za dłoni.

– Trochę zostaniesz? – spytał. – Do domu śpieszyć nie musisz?

– Tu jest mój dom – powiedziała łagodnie. – Nie wrócę tam. Zostanę z tobą i Bellą.

Ciotunia Sadie westchnęła.

– Będzie zupełnie jak za dawnych lat. Tobie się poprawi, Abie, a Norman do domu wróci. Czemu byśmy nie mieli wszyscy trochę szczęścia zaznać?

Nikt nie kwestionował decyzji Esther. Była im za to wdzięczna.

– Jutro pojedziemy odwiedzić Normana – powiedziała. To była ostatnia przeszkoda, jaką musiała pokonać, aby na dobre wrócić do domu.

18

Nikt ze szpitala nie poinformował rodziny Normana o jego ostatnim kryzysie. Gdyby Bella zadzwoniła, usłyszałyby standardowy komunikat o tym, że pacjent znajduje się pod wpływem środków uspokajających, co było eufemizmem oznaczającym, że dopuścił się chuligańskich wybryków, a oni nie potrafili sobie z nim poradzić. Rabin Zwick był podekscytowany perspektywą wizyty. Minął już ponad miesiąc, odkąd ostatnio widział się z Normanem, a tym razem przywoził jeszcze ze sobą wyjątkowych gości. Zanosilo się na piękne rodzinne pojednanie; rabin wiązał z tym wielkie nadzieje. Esther była podenerwowana. Nie miała pojęcia, co powiedzieć bratu. Wzdrygała się na myśl o porządku i jednorodności panujących w miejscu jego przymusowego odosobnienia, było jej go żal. Nie potrafiła przygotować się do tego spotkania. Musiała poczekać na reakcję brata. Dobrze wiedziała, że może zetknąć się z wrogością.

Rabin Zwick poprowadził ich korytarzem jak przewodnik, witając skinieniem głowy niektóre znajome twarze.

– Na oddziale, na końcu – poinformował, odwracając się do rodziny.
– Nu, do środka wejdźmy. – Odstąpił na bok, by puścić je przodem. – Ależ niespodziankę będzie miał. – Rabin Zwick chciał zaczekać przy drzwiach jak widz, by zobaczyć, jak Norman zareaguje na przyście Esther. Gdy tak czekał, podszedł do niego jeden z dyżurnych pielęgniarzy.

– Rabinie Zweek – powiedział łagodnie mężczyzna – czy zechciałby rabin wstąpić do mojego pokoju?

Rabin spłoszył się, ale ruszył za nim.

– Coś nie tak? – spytał potulnie, jakby już przyznawał się do odpowiedzialności.

– Proszę usiąść – powiedział McPherson. – To nic poważnego. Po prostu wczoraj mieliśmy małe zamieszanie na oddziale – nie chciał wspominać o śmierci Ministra – które zaniepokoiło niektórych pacjentów. Norman przeszedł lekki kryzys, musieliśmy więc znowu podać mu środki uspokajające. Szkoda, bo radził sobie bardzo dobrze. To dla niego lekki krok wstecz. Nie ma jednak powodów do żałobienia. To tylko chwilowy stan, już niebawem Norman będzie dalej wracał do zdrowia.

Rabin Zweek zareagował na te wieści gniewem.

– W domu być powinien – oznajmił. – Jakby mało własnych kłopotów miał, to jeszcze go inni niepokoją. Do domu go zabieram – powiedział wyzywająco.

– To niemożliwe – stwierdził McPherson. – Co by się nie działo, Norman musi tu spędzić co najmniej trzy najbliższe tygodnie. Gdyby teraz wrócił do domu, musielibyśmy zaraz znowu po niego jechać.

Rabin Zweek zadrżał na wspomnienie pierwszej podróży z Normanem do szpitala. Nie zniósłby kolejnej.

– Posiedzieć przy nim można? – spytał nieśmiało. Był zły, że dał za wygraną. Od kiedy Norman zachorował, rabin bardzo często odczuwał tę złość, gdy musiał uginać się przed władzą, której nie ufał. A wszystko przez własną ignorancję, która sprawiała, że był bezsilny.

Poczuł lekkie ukłucie w ramieniu, stary, dobrze znany ból. Nie odczuwał jednak strachu. Jego orężem była miłość, którą odgradzał się od świata.

– Posiedźcie przy nim – powiedział McPherson. – Możecie powiedzieć do niego parę słów, ale z pewnością zauważycie, że jest bardzo senny.

Rabin Zweck wrócił na oddział. Bella siedziała w nogach łóżka, ciotunia Sadie nachylała się nad twarzą Normana. Przyjechała, żeby się z nim zobaczyć, zamierzała więc go zobaczyć i koniec. Esther stała przy łóżku. Myśl o tym spotkaniu napawała ją przerażeniem, poczuła więc lekką ulgę, że zostało ono odroczone. Teraz mogła stopniowo przyzwyczajając się do Normana, tak że może w końcu żadne słowa nie będą już potrzebne. Pomyślała, że brat we śnie wygląda bardzo młodo i niewinnie, jakby nie był odpowiedzialny za całe cierpienie, jakie im zadał. Stwierdziła, że jego włosy się przerzedziły, ale we śnie jego twarz była spokojna i pozbawiona zmarszczek. Ciekawił ją wygląd jego ciała, a chociaż nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je widziała, nawet jako małe dziecko, jego sylwetka stała się dla niej istotna. Musiała zobaczyć jego ciało, aby potwierdzić upływ wszystkich tych lat, które ich dzieliły – na chwilę bowiem całkiem straciła świadomość rozłąki. Gdy ojciec podszedł do łóżka, przyniosła mu krzesło i stanęła w pewnej odległości od nich, wpatrując się w bezwładne ciało Normana, oplakując w duszy to, do czego zostali zredukowani.

Rabin Zweck nachylił się nad łóżkiem i dotknął ramienia Normana.

– Norman – powiedział – to tata. Tatusi cię odwiedził. Kto mówił, co ja chory jestem? Tutaj jestem, przy twoim łóżku. Norman, to tata. Tatusia przywitaj. – Lekko nim potrząsnął, choć ciotunia Sadie próbowała go przed tym powstrzymać. Nikt nie miał odwagi spojrzeć na twarz rabina. – Tatusi przyszedł – ciągnął. – Aż tak dobrze ze mną. Nie masz co zamartwiać, co ja choruję. Norman, słyszysz mnie?

– On wie, że tu jesteś – powiedziała Bella. – Nie trap się tak.

– Norman – spróbował znowu rabin, ale Esther delikatnie odciągnęła go w stronę krzesła.

– Odpocznij, tato – doradziła. Potem spojrzała na pozostałych. – Nie widzę w tym najmniejszego sensu. – Poczuła się nagle poirytowana własną rozpaczą. Norman leżał tak przed nimi, nieruchomy i zamknięty w sobie, ale i tak jego władza nad otaczającymi go postaciami była niezbywalna. Esther chciała bić go tak długo, aż odzyska przytomność, a następnie pokazać mu, co zrobił. – Bella, jak ty to wytrzymujesz? – spytała. – Jak możesz zachowywać taki spokój?

– Miałam mnóstwo okazji, żeby poćwiczyć. Z czasem się przyzwyczaisz – odparła Bella, uśmiechając się do siostry. Zdążyła już odczuć ulgę płynącą z tego, że dzieli z kimś to brzemię. Nagle wydało jej się, że właściwie nie jest to wcale ciężar.

Rabin Zweck odwrócił się od łóżka syna. Zwrócił uwagę na znajomą twarz pacjenta siedzącego na posłaniu obok i wpatrującego się w przeciwną stronę oddziału wzrokiem, który przypomniawszy rabinowi pierwszą wizytę w szpitalu. Sam również zerknął na łóżko po drugiej stronie i stwierdził, że jest puste. Wtedy to stamtąd pochodziło świdrujące spojrzenie, to tam widział bezczelną, pociągłą twarz mężczyzny leżącego naprzeciw Normana. Teraz, zauważywszy jego nieobecność, zadrżał – sam nie wiedział dlaczego. Twarz mężczyzny stała się jednym ze znajomych widoków na oddziale; rabina przestraszyło zniknięcie tego rozpoznawalnego elementu w otoczeniu Normana. Ten sam strach poczuł w dniu, w którym z oddziału zniknął Billy. Teraz został tylko mężczyzna na łóżku obok, wpatrujący się w puste miejsce po przeciwnej stronie, bezskutecznie próbujący podtrzymać dawny wygląd oddziału. Nosił jednak ten błędny wyraz twarzy jak jakiś niechciany spadek.

– Gdzie Minister? – wykrzyknął rabin Zweck, przypomniawszy sobie nagle imię nieobecnego. Kilku pacjentów odwróciło się, by na niego popatrzeć, a gdy powiódł wzrokiem po ich twarzach, stwierdził, że żadna z nich nie jest znajoma; że na oddziale zmieniło się właściwie wszystko, za wyjątkiem jego leżącego bezwładnie syna, trwającego w smutnej, upartej niezmienności.

Przypomniał sobie, że twarz mężczyzny siedzącego na łóżku obok wydała mu się jednak znajoma; obrócił się, rozpaczliwie próbując nawiązać z nim kontakt, odnaleźć jakiś wspólny grunt, który tamten mógłby dzielić z Normanem. Twarz uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech był również znajomy – bezcelowy i sympatyczny, mignął i zniknął niczym światło gasnącej lampy. To był Billy. Rabin Zweck nie posiadał się z radości. Nie wszyscy odeszli, porzucając jego śpiącego syna. Billy był wciąż na linii frontu i miał wycofać się dopiero, gdy Norman będzie gotów do opuszczenia szpitala.

– William? – zagadnął rabin Zweck. – Pamiętasz mnie? Dawno się nie widzieliśmy. Jak tam, poprawia sobie?

– Wróciłem na oddział dzisiaj rano – odparł z uśmiechem Billy. – Tak, poprawia mi się.

– Matkę ciebie dzisiaj odwiedza? – Rabin Zweek miał nadzieję, że tak. Dzięki rodzicom mężczyzny to miejsce również wyglądałoby bardziej znajomo. Oni też zostaliby tutaj, dopóki wszyscy nie będą mogli wrócić do swoich domów. – Tak cieszę, co ciebie widzę – powiedział rabin, podchodząc do łóżka. – Słuchaj, William – szepnęła – co z Ministrem?

– Nie żyje. Zabił się wczoraj. Szkoda.

Rabinem Zweekiem wstrząsnął dreszcz. Pomyślał o rodzicach Ministra – o ile ich w ogóle miał – i pożałował ich. Był teraz zły na siebie za to, że go nie lubił. Z drugiej strony stwierdził, że przeklina go w myślach za fakt, iż przyprawił Normana o wstrząs, przez który syn musiał zapaść w głęboki sen. W odmętach własnej rozpaczki próbował opłakiwać tragedie innych, lecz nie potrafił. Było mu wstyd, że stracił zdolność współczucia. William był jednak prawdziwy i wciąż żywy, chociaż Bóg jeden raczy wiedzieć, jak grubą warstwą śniedzi pokrył się jego umysł w ciągu wieloletniego pobytu w tym miejscu.

– Kiedy mój syn zbudzi – powiedział do siebie rabin – do domu go zabieram, bez względu na wszystko. Do domu go zabieramy.

Wrócił do łóżka syna. Ciotunia Sadie głąskała Normana po czole. Od czasu do czasu Norman wiercił się i jęczał. Bella położyła dłoń na koślawym namiocie, który powstał z jego podkulonych nóg, a Esther stała nieco dalej i patrzyła na to wszystko z obrzydzeniem.

– Moim zdaniem nie ma sensu dłużej tu siedzieć – stwierdziła nagle.

– Esther, na chwilkę usiądź – odparł ojciec. Nie chciał zostawiać Normana. Żył mgliste nadzieje, że syn się obudzi, przynajmniej na dość długo, by go dostrzec, by się dowiedzieć, że ojciec nie jest chory. Z drugiej strony, sam dobrze wiedział, że jak najbardziej jest chory. Od kiedy tu przyszedł, czuł się coraz gorzej, a na wiadomość o śmierci Ministra znowu poczuł kłujący ból. – Jestem blisko, jestem blisko – mamrotał rabin pod nosem. Chciał zostać przy Normanie, nie ze względu na niego, ale na siebie. Czuł bowiem, że już niedługo zostaną rozdzieleni na wieki. – Esther, na chwilkę usiądź – powtórzył, poklepując koniec łóżka.

Esther podeszła do ojca i usiadła przy nim. Nie mieli sobie teraz nic do powiedzenia, unieruchomieni przez śpiącą postać, ostrożni, by nie naruszyć jej cichej, leżącej plackiem władzy.

– Dobrze, że śpi – szepnęła ciotunia Sadie. – Trochę posiedzimy, a później do domu pojedziemy i dobrej herbaty z cytryną zrobimy. Potem załatwimy wszystko tak, żeby jak najszybciej wrócił. Powinna się nim opiekować ciotunia. Prawda, Norman? – spytała, znowu głaszcząc go po czole. – Jak dzieciaczek wygląda.

„Owszem, wszyscy kiedyś byli dziećmi” – pomyślał rabin Zweek. Spojrzawszy na obie córki, ujrzał je jako małe dziewczynki, niewinne i zależne od rodziców. Znowu zdał sobie sprawę, że niebawem je opuści, a wszystko, co może im zostawić w spadku, to ta bezwładna bryła leżąca na łóżku.

– Norman, obudź – szepnęła rozpaczliwie – zbudź, zanim odejdę.

Norman zaczął się niespokojnie wiercić we śnie. Rabin Zweek nachylił się nad nim, po chwili jednak Norman znowu się uspokoił. Oparł głowę na poduszce, dumnie wysuwając brodę do góry. Spał tak spokojnie, jakby chciał, aby przy nim zostali. Siedzieli tak więc, czuwając nad nim i przyglądając mu się w milczeniu.

O czoło Normana bił jakiś czarny cień. Norman prosił niebiosa, by cień jak najszybciej odszedł. Próbował krzyknąć, ale wargi miał bezwładne i suche. Chciał podnieść ręce i odegnąć ciemny kontur, ale jego ramiona były stopione z ciałem i nie chciały się od niego oderwać. Leżał tak bezbronny, a czarny, roztrzepotany cień przeniknął do jego mózgu i wtedy rozległo się dudnienie. Norman zastanawiał się, w jaki sposób taka mglista rzecz jak cień może łomotać w tak precyzyjnym, stanowczym rytmie; jak mogła odcisnąć piętno na materiale, z którego zrobiony jest mózg. Doszedł do wniosku, że jego mózg musiał przeistoczyć się w pianę.

Znowu spróbował uderzyć się dłonią w czoło, musiał jednak przyjąć do wiadomości, że stracił władzę nad ciałem, że było ono teraz w cudzych rękach.

Piana wezbrała i osiągnęła przeciwległą ścianę oddziału. W fali Norman dostrzegł kilka sylwetek. Uśmiechnął się, stwierdziwszy, że się topią. Na moment dudnienie ustało, jednak po chwili czarny cień zanieczyścił pianę obietnicą dotyczącą szklanki herbaty z cytryną. Ręce Normana znowu były swobodne, utopił więc cień kobiety, ponieważ jej troska była nazbyt znajoma i bolesna. Piana podpłynęła z powrotem do ściany, pod którą leżał, a cienie rozleciały się po jego umyśle jak śmieci wyrzucone na plażę. W oddali majaczyła jedna sylwetka, którą Norman rozpaczliwie próbował uratować, nie potrafił jednak tego zrobić, nie zachowując również pozostałych. Pragnął ocalić tylko ten jeden cień, ten jeden ciemny kształt, zanurzający się głębiej niż inne; ten słaby cień, ten dobry, który trzeba było utrzymać przy życiu dość długo, by potworna fala przyływu zdążyła opaść. Ocalił więc je wszystkie, a niski cień nabrzmiał z wdzięczności. „Nie trap się tak” – dobiegło do jego uszu. To była matka ze swoimi utrapieniami. Jej cienia nigdzie jednak nie dostrzegał. Obawiał się, że przeoczył go w wielkim pobjowisku, w które zmienił się jego umysł. Czuł, że ten nieobecny kształt ciągnie go w dół niczym kotwica, nigdzie nie było jednak po nim śladu. Znowu rozległo się dudnienie i znowu ramiona przywarły mu do boków. Ponownie sprawił, że piana wezbrała, a tym razem fala rosła i rosła, aż wreszcie z przygnębieniem zdał sobie sprawę, że znowu wymknęła mu się spod kontroli. Patrzył, jak piana wypełnia oddział od ściany do ściany, czuł, jak rozprzestrzeniając się, łomocze mu w czaszce. Czekał, aż fala osiągnie najwyższy punkt, bo wiedział, że wtedy ból ustąpi. Przyływ jednak wycofał się, zanim osiągnął pełnię, jak fala, która zmienia zdanie i się nie załamuje; niczym zbliżający się orgazm, który w końcu nie przychodzi. Rozpoczął się odpływ, ale ból nie zelżał. A jednak, kiedy fala znowu zbliżała się do niego, kiedy wracała do jego jestestwa i jego ściany, zaczęła znowu wzbierać. „Załam się, załam, na Boga” – próbował krzyknąć. Usłyszał głos ojca: „Jestem blisko, jestem blisko”. Obawiał się, że fala pochłonie ich wszystkich. Nagle załamała się na poszarpanych krawędziach jego umysłu. Nie odczuwał już bólu. Wszystkie cienie zniknęły, a dudnienie ustało. Czuł, że szmerząca piana delikatnie wnika w jego oczy. Stwierdził, że stała się czerwona. Z oczu płynęły mu krwawe łzy, a rybiki cukrowe wślizgiwały się w głąb jego suchego gardła, gdzie bezskutecznie walczyły o życie i w końcu zdychały. Po chwili znowu rozległo się dudnienie, a piana rozsadziła

przeciwną ścianę. Musiał trzymać się z dala od niej, więc się skurczył; stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zmienił się w mały punkcik na oddzielnej tratwie, spoglądający na pobożowisko z radosnym uniesieniem ocalałego. U jego boku zamajaczył cień. „Nie ma sensu dłużej tu siedzieć” – oznajmił głos. Norman chciał wykrzyknąć: „Idźcie, idźcie”. Zepchnął cień z pokładu. Pragnął znowu wrócić na wezbraną falę. Tak było jednak bezpieczniej – nurzać się w zamęcie własnego autorstwa. Walczył, by dotrzeć z powrotem do piany, która przetaczała się po oddziale. Z trudem wypłynął na powierzchnię i podniósł głowę wysoko, a gdy zadarł brodę do góry, cienie stały się niewidoczne.

Rabin Zweck popatrzył na twarz syna. Był zadowolony, że Norman wie, iż ojciec jest przy nim. Gdy dostrzegł wchodzących na oddział rodziców Billy’ego, natychmiast załała go fala sympatii. Oni także cieszyli się, że znaleźli się w znajomym miejscu. Przez cały zeszły miesiąc ich wizyty u Billy’ego również odbywały się w milczeniu, jednak otoczenie było przesiąknięte bardziej ewidentnym obłędem niż tutaj. Popatrzyli na Normana leżącego bezwładnie na łóżku i w milczeniu przekazali wyrazy współczucia.

– Znowu gorzej się poczuł? – spytała matka Billy’ego.

– Wszystko w porządku – odparł szybko rabin Zweck.

– Po prostu śpi. Parę tygodni pośpi, a potem wszystko będzie w porządku. – Własny optymizm przyprawiał go o mdłości.

– Widzę, co wasz syn wrócił.

– Tak – odparła matka. – Przeszedł paskudny kryzys. Ale już wszystko w porządku, prawda? – spytała Billy’ego, klepiąc go po głowie. – W przyszłym tygodniu wracamy do pracy, co? Bo twojej biednej mamie zabraknie towarów na kiermasz.

Billy uśmiechnął się do matki i uściśnął dłoń ojca. Rabina Zwecka poruszył oficjalny charakter gestu. Ten uścisk dłoni zwracał im obu godność, którą matka Billy’ego z takim zapamiętaniem próbowała im odebrać.

Rabin Zweek przedstawił swoją rodzinę. Przypomnił sobie wrogość, którą z początku odczuwał wobec tych dwojga. Gorzko żałował za swoją pogardę, teraz więc próbował jakoś im zadośćuczynić – czy był lepszy sposób niż ofiarować swoich krewnych? Usadził bliskich wokół łóżka Billy’ego; wszyscy ucieszyli się z poruszenia i okazji do rozmowy. Sam rabin wrócił do Normana i zasiadł przy nim, by na niego patrzeć. Wymacał pod kołdrą dłoń syna i ujął ją w swoją. Gdy ją chwycił, poczuł zdecydowaną reakcję, a jego serce wypełniło się oszałamiającą radością.

– Norman, to tatuś – szepnął rabin. – Razem jesteśmy. – Ścisnął dłoń syna i znowu doczekał się tej samej odpowiedzi. Zdawało się mu, że radość go zaraz rozsadzi. Nagle poczuł kłujący ból w plecach i z jękiem padł na łóżko.

Bella przyskoczyła do ojca, a ciotunia Sadie, oceniwszy sytuację w mgnieniu oka, wybiegła z oddziału, by sprowadzić pomoc. Esther, która nie była w stanie się ruszyć, dalej siedziała przy łóżku Billy’ego. Ciotunia Sadie wróciła na salę z McPhersonem i dwoma mężczyznami wyposażonymi w nosze. Pielęgniarki delikatnie podnieśli i ułożyli na noszach rabina, który wciąż pojękiwał, ale nie odczuwał już tak silnego bólu. Ponieśli go w stronę wyjścia z oddziału. Ciotunia Sadie szła u jego boku, Bella podążała za nimi.

– Chodź – powiedziała, odwracając się do Esther z wyciągniętą ręką. Nagle zrobiło jej się żal siostry. Esther przegapiła żywych, jeśli można tak powiedzieć: bliźniacze owoce jej przebaczenia leżały teraz bezwładne i nieme. Siostra ujęła dłoń Belli niczym onieśmielona debutantka.

Gdy zbliżyli się do drzwi, rabin Zweek zaczął gestykulować, więc noszowi przystanęli, a McPherson nachylił się, nadstawiając ucha na to, co rabin próbował powiedzieć. Bez względu na to, czy to usłyszał, czy nie, wykazał się ogromnym zrozumieniem, nakazał bowiem pielęgniarkom obrócić nosze tak, by rabin Zweek mógł po raz ostatni popatrzeć na syna. Bella i Esther przytrzymały ojca za ręce, podczas gdy on wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w to wszystko, co miał zostawić córkom w spadku. To było wszystko, dla czego żył, a teraz pałał do tego miłością, która go uśmiercała.

Zanieśli go do małej, odosobnionej salki na końcu korytarza. Ułożyli go na kozetce i czuwali nad nim, czekając na przyjście lekarza. Rabin chciał z nimi rozmawiać, próbowali go więc uspokoić.

– Oszczędzaj siły – poprosiła ciotunia Sadie.

– Na co? – dobiegło do ich uszu. – Dziękuję – szepnął, próbując odnaleźć McPhersona pośród sylwetek otaczających łóżko.

– Na nadejście lekarza – odparła Esther, nie chcąc pogodzić się z naturalnymi konsekwencjami tej sytuacji. Widziała, że Bella już je zaakceptowała, że już trzymała ojca za rękę tak, jak zamierzała trzymać do samego końca.

Nagle zobaczyli, że rabin się uśmiecha; ciotunia Sadie głaskała go po czole.

– W takim miejscu umierać – mruknął. – I kto tu w końcu jest *meszuga*?

Próbowali go uciszyć, ale chciał za wszelką cenę z nimi rozmawiać. Nakazał im gestem, aby podeszli bliżej. Każde z nich złapało za jakąś część ciała, ściskając jego ręce i ramiona tak, jakby chcieli wpompować w niego swoje życie.

– Bella – szepnął – Esther, Sadie. Chodźcie. *Szema* ze mną zmówcie. – Bella już pogodziła się ze śmiercią ojca i świadomie odłożyła smutek na później. Dla ciotuni Sadie taka scena oznaczała niemal pewne zakończenie zawodowych zobowiązań.

Żadna z nich nie uchyliła się więc od prośby rabina. To Esther nie chciała się na to zgodzić.

– Tatusiu – powiedziała – nie ma potrzeby. Przecież przeżyjesz. Nie poddawaj się. Poprawi ci się, tak jak po ostatnim zawale.

– To jak z Normanem – stwierdził cicho ojciec. – Poprawia mu, a potem wszystko zaczyna od nowa. Już tyle razy umierałem, co zmęczony jestem. Proszę, *Szema* ze mną odmówcie. *Bellale*, ty zacznij.

To była zamiana ról, które wypełniali przez całe życie. Dotąd to on był ich nauczycielem, to on ich prowadził. Teraz prosił o to Bellę. To był jego sposób namaszczenia jej na swoją spadkobierczynię – bo w końcu kto jest głową rodziny, jeśli nie osoba prowadząca modlitwę?

– *Szema* – powiedziała łagodnie Bella.

Rabin Zweck powtórzył po niej. Sadie włączyła się do modlitwy.

– Nie, proszę – próbowała im przerwać Esther.

– Powtórz, Esther – zachęcił rabin Zweck. – Lżej tobie będzie.

Słowa zasyczały jej na ustach, zdołała jednak wypowiedzieć tę deklarację ostatecznej kapitulacji. – *Szema Israel* – zaintonował rabin, a jego głos stał się silniejszy i jak za dawnych lat poprowadził do modlitwy chór wiernych – *adonaj elohenu, adonaj echad*.

– Słuchaj, Izraelu – powiedziała ciotunia Sadie, zapewne z uwagi na McPhersona, który stał przy końcu łóżka, smutny i oszołomiony. – Słuchaj, Izraelu! Wiekuisty jest naszym Bogiem, Wiekuisty jest Jedyny!

McPherson powtórzył za nią. On również chciał towarzyszyć rabinowi Zweckowi w chwili odejścia.

Gdy lekarz wszedł do salki, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jego obecność stała się już nieistotna. Gdy podchodził do łóżka, patrzyli na niego beznamiętnie. Kobiety cofnęły ręce, aby nie utrudniać lekarzowi dostępu do pacjenta i zrobić miejsce dla chłodnego narzędzia, który położył na jego piersi.

– Niech będzie, niech będzie – wymamrotał rabin Zweck. – Słyszysz, jak odmawiam *Szema*. Wyraża zgodę. – Przez jego twarz przemknął nikły uśmiech. Dziękuję wam – dodał.

Doktor cofnął stetoskop. Popatrzył na Bellę – jedyną osobę stojącą poza polem widzenia rabina – po czym pokręcił głową. Ona skinęła do niego w podziękowaniu. Lekarz podprowadził McPhersona do drzwi, rozmówił się z nim szeptem, po czym wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Trzy kobiety zbliżyły się znów do łóżka i złapały rabina za ręce.

– Teraz zasnę – oznajmił rabin. Wyczuł dojmującą melancholię, która go otaczała. – Zdrzemnę na chwilę – doprecyzował. Przekręcił głowę na poduszce i zamknął oczy.

Kobiety słyszały, że coś mruczy, Bella nachyliła się więc do niego.

– Sarah – dobiegło do jej uszu. Rabin powtarzał to imię. A po chwili chrapliwie powiedział: – Norman, wybacz mi. Wybacz. Wszystko to moja wina. – Jeszcze raz otworzył oczy i ujrzał to, co miał po sobie zostawić. Dwie smutne, niezamężne córki – chociaż jedna miała na głowie swój nakazany prawem *szeitl* – oraz złamanego syna leżącego na sali obok. – Zawiodłem – szepnął. – Wybaczcie.

Ponownie zamknął oczy. Kobiety wiedziały, że teraz to już tylko kwestia czasu. Mimo wszystko wciąż trzymały go za ręce, dopóki nie upewniły się, że nie zdaje sobie już sprawy z ich obecności.

McPherson wyszedł z pokoiku – nie tyle przez wzgląd na ich prywatność, co przez fakt, że gdyby został, szloch, który nim wstrząsał, mógłby zakłócić ich spokój. Widział się z rabinem Zweekiem tylko kilka razy, przy okazji jego wizyt, był jednak poruszony do głębi jego oszołomieniem, dziecięcym optymizmem, jego niezachwianą wiarą. Teraz rabin konał, a chociaż nie okazał strachu, nie była to spokojna śmierć. Rabin Zweek dobrze wiedział, jaki chaos tu zostawia i obwinił się za to.

Kobiety zostały w pokoiku. To było długie popołudnie, wypełnione czuwaniem. Najpierw przy łóżku Normana, gdy każdy grymas jego twarzy, każde drgnienie jego ciała musiało zostać odnotowane i doczekać się reakcji, a potem tutaj. Tutaj ciało było spokojne. Nieregularny, płytki oddech zdawał się mu nie przeszkadzać. Kobiety liczyły każdy jego wydech i z drzeniem wyczekiwały na kolejny. Każda z nich w myślach dawała mu jeszcze jakąś konkretną liczbę oddechów, zakładając, że jeśli przebije tę liczbę, to przetrwa.

Esther zaczęła łkać, a Bella pocieszała ją, podobnie jak pocieszała Normana, gdy konała matka. To była jej mocna strona – pocieszanie i podtrzymywanie innych. Miała niejasne przeczucie, że przyjdzie jej jeszcze przeżyć ich wszystkich.

Stały u jego boku bardzo długo. Od czasu do czasu głaskały go po czole. W jego skroni dało się wyczuć słabe tętno; czoło było chłodne. Bella przyłożyła do niego palce, jakby chciała zachęcić puls, by bił mocniej. Ciotunia Sadie pokręciła głową ze zmęczeniem charakterystycznym dla osoby, która widziała to już nazbyt wiele razy.

Nagle drzwi się otworzyły, jakby same z siebie, bowiem obejrzawszy się, kobiety nie dostrzegły nikogo na progu. Wyglądało na to, że anioł śmierci postanowił przejść do rzeczy. Szybko spojrzały na rabina Zwecka, ale on wciąż delikatnie oddychał. Znowu spojrzenie na drzwi, a tam już stał Billy, w szlafroku luźno zarzuconym na ciało. Mężczyzna nieśmiało podszedł do łóżka. Popatrzył na rabina Zwecka, a później na kobiety.

– Przykro mi – powiedział. – Bardzo go lubiłem. Mówił na mnie William. – Następnie uklękął przy łóżku i zaczął się modlić. Modlił się w milczeniu, przez dłuższy czas. Kobiety na niego nie patrzyły. Z jednej strony były wzruszone jego gestem, z drugiej jednak odczuwały pewien niesmak wobec faktu, że ich ojca żegna modlitwa szaleńca. Kiedy skończył, popatrzył znowu na śpiącą postać. – Dziękuję – powiedział, po czym opuścił pokój.

Kiedy tylko wyszedł, Bella znowu wyrecytowała z innymi *Szema Israel*, głośno i wyraźnie, aby oddalić wszelkie ślady bluźnierstwa, jakie Billy mógł pozostawić w nogach łóżka. I tak, oddany w opiekę zarówno Bogu, jak i Jego Synowi, rabin Zweck umarł. Kobiety cofnęły ręce.

Na oddziale Norman zaczął gwałtownie wiercić się we śnie. Nagle podskoczył i przebudził się. Nie dostrzegł u swojego boku nikogo, kto mógłby go obudzić, uznał to więc za efekt koszmaru, który mu się przyśnił. Z westchnieniem znowu pogrążył się we śnie.

Pozwolono, by sen Normana płynął swoim tokiem. Po jego przebudzeniu przez kilka dni delikatnie przywracano go do dawnego rytmu życia. A potem mu powiedziano.

Norman wrócił na oddział z dyżurki pielęgniarzy. Uczucie żalu i skruchy, towarzyszące jego wyjściu spod wpływu środków uspokajających, bynajmniej nie pomogło złagodzić druzgoczącej wiadomości o śmierci ojca. Przyjąłby to lepiej, gdyby był agresywnie usposobiony. Jednak w jego obecnym stanie – gdy łaknął pokuty, gdy pożył prębaczenia – oba jego pragnienia straciły sens. Na żal za grzechy było już za późno. Wreszcie był gotów zaakceptować swoją uświęconą przez czas rolę kozła ofiarnego, chociaż to akurat nie przynosiło mu większego pocieszenia. Ukrył twarz w dłoniach. W dyżurce słuchał uważnie wypowiedzi lekarza. Nie zadawał żadnych pytań; po prostu stał tak, przyjmując ciąg słów. Teraz został sam i musiał je poskładać w całość.

A jednak kiedy już tego dokonał i był w stanie powiedzieć sobie: „Mój ojciec nie żyje”, a chwilę później: „Tatusz nie żyje”, nadal coś uniemożliwiało mu wybuchnięcie szczerym płaczem. Próbował zrozumieć, dlaczego łzy nie chcą popłynąć. Być może przyczyną było miejsce, w którym umarł ojciec – świadomość ponizenia, którego musiał tutaj doświadczyć, tego kompletnego upokorzenia płynącego z faktu, że nie potrafił z tym nawet poczekać, aż dotrze do własnego łóżka. Norman przyznał przed sobą, że była to jego wina. To przez niego ojciec umarł w takim miejscu. A może był winny i tego, że ojciec w ogóle umarł. Rozpaczliwie próbował przywołać chwile radości, które dał ojcu, aby oddalić od siebie to potworne poczucie winy. Cieszyło go każde takie wspomnienie. Oczywiście jednak wciąż miał suche, chociaż dławił się smutkiem. Wyobrażał sobie ojca leżącego na oddziale, tylko kilka kroków od miejsca, w którym on teraz siedział. Przespał konanie i śmierć ojca, pogrzeb i żałobę. Przespał wszystko. A teraz doświadczał tych wydarzeń po kolei. Musiał je przeżyć – to było jego synowskie prawo. Zobaczył trumnę ojca opuszczaną do ziemi. Zobaczył siebie: obojętnego, pogrążonego we śnie. Ujrzał Bellę siedzącą na niskim stołku, usłyszał *kadisze* odmawiany przez mężczyzn, podczas gdy on, najstarszy syn, wciąż spał. A łzy nadal nie chciały popłynąć.

Ktoś położył rękę na jego ramieniu. Gdy podniósł wzrok, ujrzał Billy’ego, z tym jego pozbawionym adresata uśmiechem na twarzy.

– Widziałem go – powiedział Billy. – Odszedł w pokoju. Modliłem się za niego. Prosiłem Jezusa, by przyjął go do nieba.

Norman strząsnął jego rękę ze swojego barku. Zaciśnął zęby i wzdrygnął się z odrazy. Jakim prawem ten obłąkaniec żegnał jego ojca? Jakim prawem się za niego modlił? I to jeszcze do Jezusa – Chryste Panie! – do tego imienia, które przez blisko siedemdziesiąt lat nie mogło przejść ojcu przez gardło.

Billy stał przed nim oszołomiony.

– Norman, poszedłem tam w twoim imieniu – powiedział nieśmiało.
– Spałeś, więc poszedłem za ciebie.

Norman dotknął jego ramienia. Pożałował swojej niewdzięczności. Rozpaczliwie chciał się pomodlić. Czuł, że jeśli zdoła się pomodlić, łyż wreszcie przyjdą. Jak jednak mógł odmówić *kadisz* za ojca, skoro jego serce nie było skłonne do modlitwy? Zastanawiał się, kiedy ostatnio tak naprawdę wierzył oraz kiedy – w którym dokładnie momencie – utracił wiarę. Wrócił myślami do lat młodości i zdał sobie sprawę, że niewiara spływała na niego powoli, zrodzona z głębokiego przekonania ojca, iż Żydzi są ludem wybranym. Norman nigdy nie był w stanie się z tym pogodzić, nie potrafił nawet teraz, chociaż to umożliwiłoby mu modlitwę. Przeklinał żydowskiego Boga za to, że obezwładnił jego język.

Wzbrał w nim pałący gniew. Norman stanął przy swoim łóżku.

– Drogi Boże! – krzyknął. – Najdroższy Boże! – wyolbrzymił swą czułość, by oddalić od siebie przyływ furii. – Dlaczego nas wybrałeś? Czyżbyśmy byli Twoją rodziną, czyżbyś wybrał nas na kozły ofiarne, niosące wszystkie Twoje nerwice? Czy wybrałeś nas, byśmy nieśli Twój gniew, Twoją zazdrość, Twoje oczekiwania, Twoją wszechmoc, Twoje miłosierdzie i litość, Twoją żądzę krwi?

Usiadł na łóżku, rozedrgany. Gdy spojrzął na Billy'ego, zdał sobie sprawę z jałowości swoich przekleństw. On i Billy byli sąsiadami z zakładu dla obłąkanych, więc nie mogło ich oddzielić żadne wypowiedziane słowo. Obaj znajdowali się poza Bogiem, poza Jezusem, poza czymkolwiek widzimisie; należeli bowiem do wybranych i odpowiadali tylko przed sobą.

Ale dlaczego oni wszyscy tutaj byli? Dlaczego właśnie oni stanowią elitę, a nie kto inny? Zaczął przyglądać się sobie z chłodną logiką, którą zwykł posługiwać się w latach lepszego zdrowia psychicznego. Pomyślał o rodzinie, ponieważ – jak musiał przyznać – to oni go tutaj wtrącili, obciążając go brzemieniem, którego nie był w stanie udźwignąć.

– Bella nie może dorosnąć – powiedział do siebie – a ja to dźwigam, Esther wyszła za mąż, żeby uciec z domu, a ja to dźwigam. Ojciec – Panie, obdarz go pokojem – zawiódł, a ja to dźwigam. Matka nie chciała mnie puścić, aż w końcu skrzyła mi kark. Wspólnie wyszali ze mnie życie z wilczym apetytem.

Czym ja jestem poza tym, że ich narzędziem? Czym jestem poza czymś, co im się „przydarzyło”? Czym jestem, poza tą smutną powłoką?

Popatrzył na Billy'ego błagalnym wzrokiem.

– Naucz mnie, jak się modlić – poprosił. Billy wziął go za rękę.

– Chodź – powiedział – uklękniemy.

Norman jednak wzdrgał się przed bałwochwalstwem. Klękanie było takim samym bluźnierstwem co wzywanie imienia Jezusa. To należało się od niego ojcu – powinien wystrzegać się tych słów, podobnie jak czynił to rabin. W jego umyśle zapanował zamęt. Wszystko, co było w nim żydowskie, wezbrało w bolesnym przebudzeniu. Billy był jednak u jego boku, Billy miał swojego Boga, podobnie jak wszyscy, którzy go otaczali – czy to smutas w kącie, tulący się do tych ścian już od dawna, czy to nerwicowiec z natręctwem mycia rąk, wciąż odprawiający swoje rytuały przy umywalce, czy to mężczyzna, który wiecznie coś nucił i nigdy normalnie się nie odzywał. Patrzył na nich wszystkich i dostrzegał w nich własną samotność oraz rozpacz. Czuł łyzy cisnące mu się do oczu. W tej chwili pojął, że ojciec go opuścił, że jest już sam, że płakać może tylko nad sobą oraz nad tymi, którzy go otaczają. Łzy przełamały zapórę i wreszcie rozplakał się, jak przystało na osierocone dziecko.

Puścił rękę Billy'ego. Musiał pomodlić się sam. Musiał zanieść modlitwę z głębin swojego zamętu, złożoną z własnych, odziedziczonych, dozwolonych słów. Musiał spróbować. Złożył ręce; ucieszył się, że ten gest – tak dawno niepraktykowany – przyszedł mu tak swobodnie. Zamknął oczy i błagał starą, wyświechtaną wiarę, by go przeppełniła.

– *Szema* – zaczął. Mówił po hebrajsku, żeby było jasne, do którego Boga się zwraca. Był jednak świadomy obecności Billy'ego; za niego również musiał się pomodlić. – Jezu – szepnął. Przelotnie zerknął na towarzysza. Był zadowolony, że to, co nazywali jego obłędem, wykraczało poza dziecinną nieprzyzwoitość tego słowa. – Jezu – powtórzył, a po chwili dodał: – Słodki Jezu.

Dławił go szloch. Płakał nie tylko nad ojcem, któremu niemal zazdrościł spokoju, ale nad sobą, nad Billym, nad wszystkimi wokół, tak niepewnie osadzonymi w życiu. Rozejrzał się po oddziale, wdychając zapach osamotnienia. Samotność ma bowiem zapach, podobnie jak ma zapach dom pogrążony w żałobie. Popatrzył na Billy'ego, na szachistę, na połykacza, na pomywacza, na śpiewaka, wreszcie na milczącego smutasa w kącie. Wspomniał też Ministra. Objął ich wszystkich swoją modlitwą.

– Ty! – krzyknął w sufit. – Do cholery, dobrze wiesz, do kogo mówię! – Opadł na łóżko, łkając. – Dobry Boże – powiedział. To było przecież słowo, które obejmowało wszystkich. – Miej w opiece nas zziębniętych, nas wybranych.

Motto – cytat z książki *Polityka Doświadczenia* R. D. Lainga
– według przekładu Agnieszki Grzybek